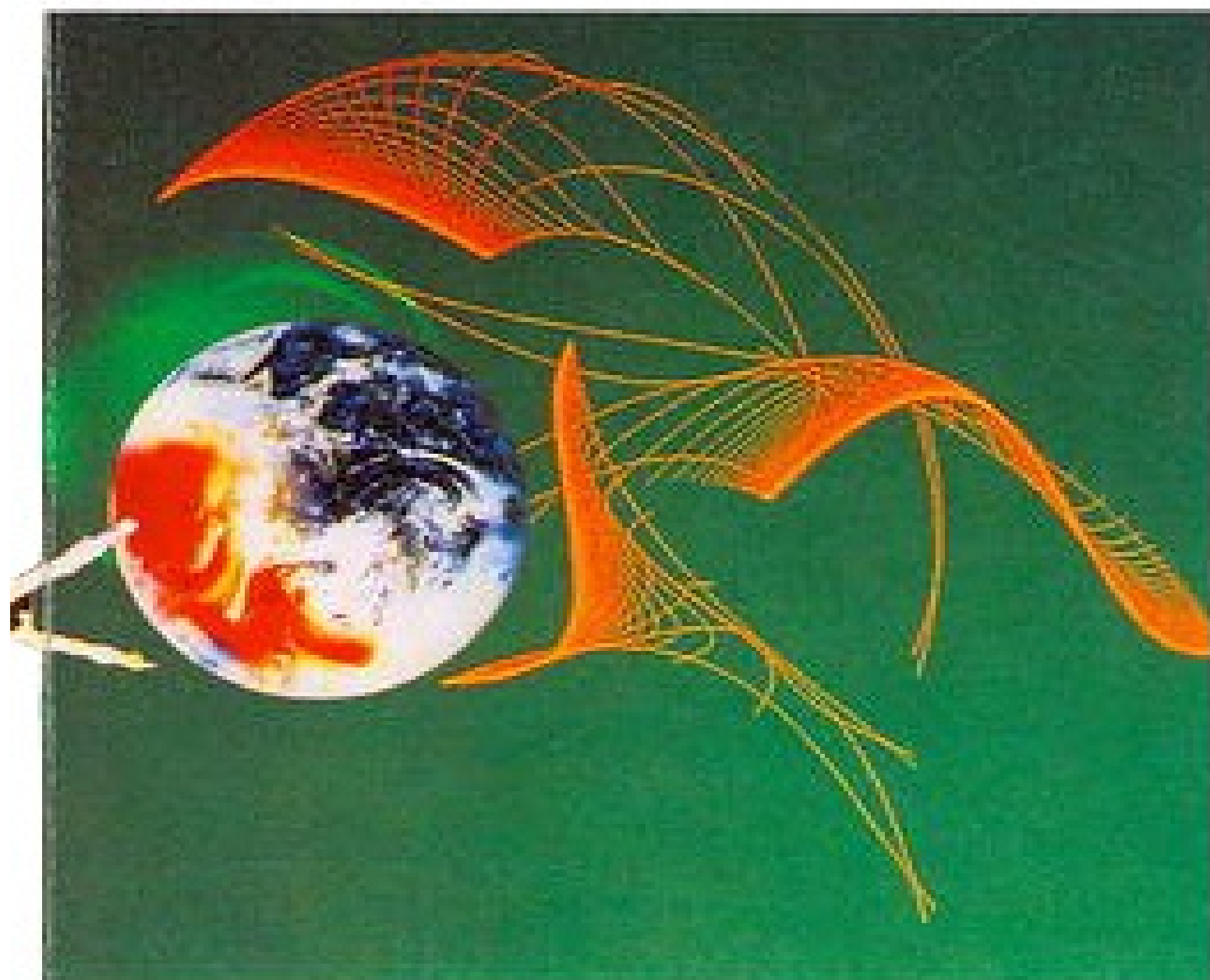


D... ERICH VON DÄNIKEN

Wszyscy jesteśmy dziećmi bogów



Erich von Däniken

WSZYSCY JESTEŚMY DZIEĆMI BOGÓW

Gdyby groby mogły mówić.

I. Było sobie raz dwoje królewskich dzieci

Na zwiadach w Jemenie

Baśń jest mostem prowadzącym do
prawdy.

przysłowie arabskie

Starożytny Rzym założono około 733 roku prz. Chr., sto lat wcześniej powstało słynne miasto Majów - Tikal. Początki Aten datuje się mniej więcej na rok 1500 prz. Chr. Jerycho zbudowano najprawdopodobniej około 6000 prz. Chr. Czy są jeszcze starsze miasta na naszej planecie? To możliwe, kronikarze arabscy bowiem zapewniają, że Sana, leżąca 2500 m n.p.m. na płaskowyżu jemeńskiego masywu górskiego, jest najstarszym miastem świata - założono je podobno zaraz po spłynięciu wód potopu. Dotychczas poznałem Rzym, Ateny, Tikal i Jerycho. Powinienem więc poznać jeszcze Sanę. Nie leży ona wprawdzie w pobliżu najważniejszych szlaków komunikacyjnych, dojadę tam więc bocznymi drogami - te zaś oferują zazwyczaj podróżnemu mnóstwo przygód. Takich, jakie będą i naszym udziałem. Jemen, czyli Jemeńska Republika Arabska, leży w południowej części Półwyspu Arabskiego. Są to tereny zamieszkałe przez ludzi już od prehistorycznych czasów. Nierzadko powstawała tu wysoka kultura - zdarzyło się tak na przykład około 1200 roku prz. Chr., w czasach królestwa Saby. Był to wówczas kraj niezwykle bogaty, posiadał bowiem - o czym wspomina każda encyklopedia - system irygacyjny, wspaniały jak na ówczesne czasy. Stąd eksportowano znaczne ilości kadzidla - jest ono nadal towarem bardzo poszukiwanym.

Zdarzyło się w 1951 roku.

"Wyrzuciliśmy z ciężarówek wszystko, Co się dało i ruszyliśmy przez wadi. Ludzie znajdujący się na platformach ciężarówek trzymali się ze wszystkich

sił, wypatrując jednocześnie na równinie wielbłądników z Maribu... gdy Chester który w jednej chwili zrozumiał ogrom groyącego nam niebezpieczeństwa.. skreślił ostro w lewo z trudem jednak udało mu się uciec przed zbliżającymi się Jemenczykami I utrzymać ciężarówkę poza zasięgiem strzałów."

Przeżycia z tego napadu, który miał miejsce trzydzieści sześć lat temu, były udziałem młodego amerykańskiego paleontologa Nwendella Phillipsa, który wraz ze swoim kolegą, Williamem Frankiem Aibrightem, prowadził prace wykopaliskowe 180 kilometrów na wschód od Sany.

Pozwolenia na podjęcie prac przez badaczy z American Foundation for the Study of Man udzielił dwuczesny król Jemenu imam Ahmed. O istnieniu w okolicy Maribu zespołu świątyń Amerykanie dowiedzieli się z relacji niemieckich uczonych: Carla Rathjensa i Hermanna von Wissmanna, przebywających w tamtym rejonie w 1928 roku. Chodziło jakoby o tajemniczą świątynię królowej Saby.

Mimo to na skutek obecności żołnierzy i urzędników, których imam przydzielił do ekspedycji, po kilku miesiącach pracy atmosfera w obozie stała się prawie nie do zniesienia. Jemenczykom nie podobało się, że niewierni - a za niewiernego jest tu uznawany każdy, kto nie wierzy w Allaha - szukają w ich kraju ukrytych skarbów.

Zarządzenia archeologów były udaremniane przez rozkazy urzędników królewskich. Pierwsze rozruchy spowodował nieszczęśliwy wypadek. Jeden z robotników potrafił przez nieuwagę drewniany stempel, co spowodowało upadek sześciu antycznych kolumn, niewielkie obrażenia odniósł jeden robotnik egipski i jeden jemeński. Urzędnicy imama natychmiast zażądali wydania

lateksowych odbitek, które w trakcie wielomiesięcznej żmudnej pracy zdjęto ze starych inskrypcji znalezionych na ścianach świątyń.

Powróciwszy z krótkiego pobytu w Ameryce dokąd udał się, żeby zdobyć pieniądze na dalsze prowadzenie prac Phillips zastał w obozie atmosferę tak wybuchową, że nie było już mowy o kontynuowaniu wykopalisk. Podczas potajemnej nocnej rozmowy archeolodzy postanowili podjąć próbę natychmiastowej ucieczki. Rozpuścili pogłoskę, że następnego dnia będą krecić film z pobliskich wzgórz.

Oszustwo to podziatalo tym skuteczniej, że wsiadając wraz z egipskimi pomocnikami do ciężarówek pozostawili w obozie prawie całe wyposażenie ekspedycji, mające wartość ponad 200 tys. dolarów. Urzędnicy i żołnierze imama wyraźnie się ucieszyli - nareszcie będą mogli bez przeszkód robić to z czym dotychczas musieli się kryć, czyli kraść.

Trzydzieści Sześć lat później

Dzisiaj miejscowość, którą Phillips opuszczał w takim pośpiechu, jest jedną z atrakcji turystycznych Jemenu - w 1984 roku Marib połączono asfaltową drogą ze stolicą. W czasie stu siedemdziesięciopięciokilometrowej trasy mój współpracownik Raif Lange podziwiał wraz ze mną wspaniałe widoki przesuwane przed naszymi oczami. Land-Cruisera prowadził młody Jemeńczyk z zakrzywionym sztyłem (dyambia), obowiązkowo zatknętym za pas. Gdy jemeński chłopiec kończy czternaście lat, o jego męskości świadczy posiadanie

takiego sztyletu. Od pojemności sakiewki natomiast zależy, czy sztylet będzie szeroki, wielki, czy nieco skromniejszy; czy rękojeść będzie z bogato zdobionego srebra, czy tylko z rzeźbionego drewna bądź mniej szlachetnego metalu; pochwa ze skóry lśniącej od srebrnych nitów czy po prostu zwyczajny futerał. Najwajniejszy jest sztylet! Obok kierowcy praży się w słońcu nasz przewodnik. Jest w marynarce - ubiór zdradza człowieka z awansu społecznego. Jak mieliśmy się wkrótce przekonać, wiedza oraz inteligencja nie były najmocniejszą stroną tego osobnika.

Urzednik biura turystyki, znajdującego się w centrum miasta, bo właśnie tam wydaje się zezwolenia na podróżowanie po kraju, polecił mi zaangażować jemeńskiego kierowcę. Była to niezła rada. Samodzielne prowadzenie wynajętego samochodu bowiem byłoby dla nas rodzajem cichego samobójstwa. W tym kraju nie liczy się fakt, czy ktoś jest winny, czy nie, bo i tak przepisy drogowe są nadal uzależnione od praw religijnych i plemiennych, uszkodzenie ciała traktowane jest na równi z morderstwem. Jeśli ktoś według przepisów zachodnich będzie nawet zupełnie bez winy, to według praw islamu musi zapłacić rodzinie rannego czy zabitego stosowne odszkodowanie. W roku 1986 wynosiło ono 50 tysięcy marek za zabicie mężczyzny, połowa zaś tej sumy za kobietę. W okresie pielgrzymki i ramadanu kwoty ulegają podwojeniu.

A poza tym może to mieć jeszcze znacznie gorsze następstwa - na przykład wówczas, gdy rodzina poszkodowanego będzie chciała się zemścić na sprawcy wypadku. Według naszego prawa byłoby to po prostu morderstwo - tu jednak przepisy podporządkowane są zwyczajom lub prawom plemiennym, a samo morderstwo jest uznawane za czyn na wskros honorowy.

Na wszelki wypadek wolalem juz nie pytac, czy jako towarzysz podróży nie zostane również w razie wypadku poproszony do kasy.

Drugą dobrą radą dal mi portier hotelu. Powiedzial, zebym zrobil sobie przede wszystkim dostateczną ilość fotokopii zezwolenia na podróż. I miał po stokroć rację! Juz w trakcie pierwszej kontroli, którą przeprowadzili uzbrojeni mlodzi ludzie, pozbawiono mnie oryginału. Posterunek włączył go po prostu do akt. Następna kontrola odeslalaby mnie z powrotem.

W oddali, lecz jakby zbliżone przez wizjer kamery, lśnią w słońcu góry, rysując się jasnym brązem na tle czarnych cieni. Droga, wijąca sie pośród zapierających dech w piersi przepaści, prowadzi przez przełęcz Bin-Ghaylan, wznosząc się 2315 m n.p.m. Od przeleczy Al-Fardah mijamy prehistoryczne rumowiska kamienne - czworokątne monolity skalne ogromnej wielkoscii wznoszą sie ku niebu niczym drapaeze chmur. Cóż za widok! Kamienne bloki jakby zawisly nad spiętrzonymi sześcianami. Barwne szczyty skalne lśnią w dali rozświetlone sloncem, jak gdyby dopiero co pomalowali je kolorysty. Z przełęczy roztacza się widok na wadi, suche doliny ciągnące się w żółtobrązowej pustyni. Po przejechaniu wielu zakretów, wykutych w litej skale, ujrzelimy rozciągającą się 1000 m pod nami równinę, na której znajduje sie Marib. z każdą chwilą zbliżającą nas do dna doliny - a lezy ona i tak 1300 m n.p.m - robi sie coraz goręcej. Skraj drogi porastają nieliczne krzewy i karlowate drzewka. Dalej jest juz tylko piach, pustynia, na której widok czlowiek zadaje sobie pytanie, czym zywią się Beduini oraz ich zwierzęta i jak w ogóle udaje im sie przeżyć. Niemal nie do przebycia są czarne jak smola wulkaniczne rumowiska kamienne przy drodze - czerń prawie

piekielna, księżycowy krajobraz Góry wyrastają zeń jak gigantyczne hałdy węgla. Wspaniały spektakl natury w południowym słońcu. Migotliwe światło. Cienie czerni Wszechowiata. Srebrne błyski antracytu.

Po dwóch i pół godzinach jazdy docieramy do starej wsi Marib, w której stoją kilkupiętrowe budynki. W pobliżu wydobywa się ropę naftową. W piekącym słońcu na załadunek czekają samochody-cysterny.

Nigdzie jednak nie widać starożytnych ruin.

Tylko ciężki upał południa pohamował moją ciekawość - poza tym nadszedł już czas na posiłek dla moich towarzyszy. Idziemy do hotelowej restauracji, której czystość pozwala domniemywać, że firma wydobywająca ropę naftową zbudowała ją dla swoich gości.

Dochodzi do groteskowej pantomimy. Moi Jemenczyki, poza określeniem money, nie znają oczywiście żadnego słowa po angielsku, zapraszam ich więc na posiłek za pomocą gestów. Na szczęście jadłospis jest i po angielsku, i po arabsku. Ralf i ja zamawiamy omlet ze świeżymi pieczarkami, nasi towarzysze powiedzieli coś po arabsku, co kelner nagryzmolił w bloczku. Zjedliśmy już nasz "omlet" - dwa jajka sadzone z pieczarkami z puszki gdy przed

Jemeńczykami pojawiły się dwa soczyste steki. Ani drgnęli. Znow spróbowałem więcej gestów. Tak jak zachęca się dzieci do jedzenia pokazując ręką na usta powiedziałem "chap, chap". Nic. Jak zahipnotyzowani tkwili nad bryłami mięsa, nad talerzami i nad sztuczkami. Modlą się po cichu, czy co? Może nie trzeba im przeszkadzać. Nagle pewna myśl jak błyskawica przebiega mi przez głowę. Złapałem za kość, wystającą z jednego ze steków, i przysunąłem ją sobie zachęcająco do ust. Tamy runęły. Uśmiechnąwszy się z ulgą, sięgnęli

palcami po jedzenie - po pewnym czasie kilkoma potężnymi beknięciami dali nam znać, że już nic nie stoi na przeszkodzie w kontynuowaniu podróży.

Tajemnicza królowa Saby

Mielismy zamiar obejrzeć tamę, która już przed tysiącami lat była uważana za niezwykle osiągnięcie techniki, a w literaturze określana jest mianem cudu starożytności.

Tylko kto postanowił ją tu zbudować? Przedsięwzięcie to przypisuje się legendarnej królowej Saby. Kim była królowa? Nawet Stary Testament wspomina o jej odwiedzinach u króla Salomona - archeolodzy jednak nie trafili dotychczas na żaden ślad jej istnienia. Fascynujące jest, jak mgliste kształty tej tajemniczej postaci przenikają do rzeczywistości. Szukajmy więc!

Arabski poeta Semeida ibn Allaf napisał:

"Hadhad (potężny król) udał się pewnego dnia na polowanie. Po pewnym czasie wypadł na niego wilk, który zapędził właśnie gazy w wąwóz bez wyjścia. Radhad ruszył na wilka, spłoszył go i uratował gazę, a potem poszedł jej śladem. Oddalał się coraz bardziej od swojej swity, aż nagle ujrzał wielkie, wspaniałe miasto - przed jego oczami rozciągnął się widok świetnych budowli, licznych stad wielbłądów i koni, gęstych lasów palmowych i urodzajnych pól. Naprzeciw wyszedł doń jakiś człowiek, który rzekł, iż podobnie jak jego rezydencja również miasto nazywa się Ma'rib, ale mieszkający tu lud zwie się Arim i jest plemieniem dzinnów - on sam natomiast

jest ich królem i władcą, zważym się Ieleb i Sa'b. Gdy rozmawiali, obok przeszła dziewczyna tak nadzwyczajnej piękności, że Hadhad nie potrafił oderwać od niej wzroku. Wówczas król dzinnów rzekł: 'Dziewczyna ta jest moją córką, jeśli więc chcesz, dam ci ją za żonę, albowiem uratowałeś jej życie. To ona wiasnie była gazelą, która ocalałeś od wilka, i całego jej życia nie starczy, by ci się za to odwdzięczyć. Przybądź więc za dni trzydzieci na uroczystości weselne wraz ze swoją rodziną i książętami.'

Hadhad zawrócił i wkrótce miasto duchów zniknęło mu z oczu. Po dniach trzydziestu jednak ściągnął wraz ze swoją świtą na weselne gody. Tymczasem dzinny zbudowały palace z fontannami i założyły ogrody. Król Ieleb przyjmował ich i gościł w najwspanialszy sposób przez trzy dni i trzy noce, dopóki jego córki Harury nie wprowadzono w komnaty Hadhada.

Palac stał się teraz jego rezydencją. A Harura została matką Bilkis".

(Bilkis jest arabskim imieniem królowej Saby.)

Jakby nie dość było owych cudowności, historyk i leksykograf Nashwan ibn Sa'id, zmarły około 1195 roku, pisał, że miasto, które wynurzyło się z nicosci, było zbudowane z metalu, stało na czterech potężnych kolumnach ze srebra, a woda płynęła przez nie metalowymi kanałami. Baśń z "Tysiąca i jednej nocy" czy starożytna science fiction?

Nieco bardziej pomocny jest tu stary Semeida ibn Allaf, który wie, że królowa Saby alias Bilkis miała dwa ogrody nawadniane przez dwa źródła, wytryskujące z ogromnej zapory wodnej. Właśnie tam kieruje się moja ciekawość.

Co było niegdyś, a co pozostało

Gdyby istniała wówczas Księga Rekordów Guinnessa, to znalazłaby się w niej na pewno zaporą wodną z Maribu! Starożytni autorzy pisali o niej, przedstawiając ten cud techniki jako najwspanialsze osiągnięcie arabskiej sztuki inżynierskiej i kamieniarskiej. Mur zapory miał u podstawy 70 m szerokości, a jego długość wynosiła 615 m - wielkości te są porównywalne z dzisiejszymi zaporami. Rozciągając się między wzniesieniami górskimi nad doliną zaporą zatrzymywała coroczne okresowe powodzie nadchodzące z Wadi Adana. Przy zboczach gór budowniczy wzniesli z dokładnie obrobionych ciosów kamiennych śluzy i kanały odpływowe - kierowano tamtędy drogocenne strumienie wody do północnego i południowego ogrodu królowej. Wykonane tu prace kamieniarskie przywodzą mi na myśl inkaskie budowle, znajdujące się na odległej wyzninie Peru. Zarówno tam, jak i tu w spójniach między kamieniami nie da się wcisnąć nawet ostrza scyzoryka.

Najlepiej zachowała się śluza południowa. Monolityczne mury wpuszczono w kamienne podłoże. Między skałami a murem zapory dawni inżynierowie zbudowali właściwą śluzę - składają się na nią prostokątne ciosy kamienne łączone na krzyż. Ściana śluzy przetrwała, mogłem ją więc zmierzyć. Jej szerokość wynosi 4,63 m, najcięższe najniższe leżące bloki kamienne mają długość 3,54 m i grubość 51 cm. Z właściwych wrót śluzy nie pozostało niestety ani śladu.

W razie powodzi masy wody wpadały najpierw do specjalnej niecki wypadowej, rozpraszającej impet wynikający z różnicy poziomów, a następnie wpływały do

kanalu głównego, skąd licznymi kanałami bocznymi kierowano je na pola, leżące na południu. Ówczesni budowniczowie bardzo chytrze rozwiązali problem chwilowego przepełnienia kanału głównego - zaopatrzyli go w specjalny upust, przejmujący nadmiar wody i kierujący go w dół wadi.

Od budowli po stronie południowej zaporą ciągnie się w poprzek doliny przez prawie 600 m do budowli po stronie północnej. Także i tu śluzę zachowała się w całkiem niezłym stanie, także i tu woda trafiała najpierw do niecki wypadowej, dopiero potem zaś kanałem głównym do "ogrodu północnego". Ogromne masy usypanej ziemi pomagały murom wytrzymać napór wody; tutaj też zbudowano żeby być przygotowanym na każdą sytuację - wznoszący się stopniowo mur przelewowy, regulujący poziom wody w jeziorze zaporowym.

Cud z Maribu

W 1982 roku na Uniwersytecie Zuryjskim Ulrich Brunner przedstawił rozprawę doktorską na temat starej oazy Marib; w swojej pracy przytoczył między innymi wyniki badań przeprowadzonych w tamtym rejonie przez firmę Elektrowatt z Zurychu, która buduje zapory wodne na całym świecie. Firma ta zresztą zaprojektowała na zlecenie rządu jemejskiego również nową zapórę w okolicach Maribu.

W studium tym przedstawiono tezę, że w czasach królestwa Saby w okolicach Maribu nawadniano sztucznie około 9 tys. ha pól uprawnych i że największy przepływ wody w okresie dwuletnim wynosił 950 m³ na sekundę. "Przeciętnie

raz na dziesięć lat można było oczekiwać największego przepływu w granicach 3750 m³ na sekundę, a w przypadku stuletniej największej wody należało się spodziewać przepływu wynoszącego 7250 m³ na sekundę." Oznaczało to, że zapora mogła się wówczas napełnić "w czasie nieco dłuższym niż dwie godziny" - zaprojektowanie muru przelewowego zapobiegало katastrofie runięcia zapory.

Według najświeższych obliczeń każdy kanał główny zapewniał odpływ wody z szybkością około 30 m³ na sekundę, zapas wody zgromadzony w jeziorze mógł tym samym pokryć dwunastodniowe zapotrzebowanie obu ogrodów na wodę tzn. około 60 mln m³. Ulrich Brunner reasumuje: "Najgenialniejsza w systemie nawadniającym z Maribu była prawdopodobnie prostota całego projektu, zapewniająca mu przetrwanie prawie dwóch tysięcy lat".

Ogrom zastosowanej tu techniki można zrozumieć, jeśli człowiek uświadomi sobie, że przecież sto lat prz. Chr. starożytni Rzymianie zbudowali w Górnej Bawarii zapórę, która mogłaby funkcjonować do dziś!

Ale żadna budowla starożytności nie jest chroniona przed klęskami żywiołowymi. Zapewne więc i system irygacyjny z Maribu był kilkakrotnie uszkodzony. Dotyczy to jednak tylko samej zapory - śluzy pozostały nienaruszone. Legenda mówi, że pierwszą zapórę wodną w Maribie zbudowano z ziemi i z kamieni już w 1700 roku prz. Chr. dopiero Sabejczycy wybudowali tamę murowaną i wyposażoną w śluzy, które można podziwiać po dziś dzień. Zachował się też przekaz mówiący o zawaleniu się zapory około 500 roku prz.

Chr. - naprawa wymagała pracy 20 tys. ludzi. W końcu nastąpiło najpoważniejsze przerwanie zapory. Ogromne masy wody porwały ze sobą to, co zbudowano przed tysiącami lat, niszcząc przy okazji pola i ogrody. Mówi o tym

XXXIV sura Koranu, "Sabejczycy" (w. 16 n.):

"Oni jednak odwrócili się / Posłaliśmy wtedy na nich powódź z Al-Arim /
i zamieniliśmy ich dwa ogrody / na dwa inne ogrody, posiadające gorzkie
owoce: / tamaryszki i kilka drzew lotosu. / Tak zapłaciliśmy im za to, /
iż oni nie uwierzyli",

Tylko dlaczego zapora ta zbudowana właśnie w Maribie, znajdującym się na
równinie tuż obok pustyni? Urządzenia irygacyjne budowano wprawdzie w
całym starożytnym Jemenie, również zapory małe - wszystkie one razem
nie gromadziły jednak tyle wody, co zapora w Maribie, który dzięki temu
wyrósł na wielkie miasto handlowe, otoczone bujnymi ogrodami i polami
dającymi obfite plony.

Dziś ropa naftowa - wozoraj kadzidło

Rozwiązaniem zagadki jest kadzidło.

Historia biblijna zawiera wzruszającą opowieść o Dzieciątku Jezus,
któremu trzech królów ze Wschodu przynieśli do betlejemskiej stajenki
mirrę i kadzidło. Kadzidło było hojnym darem - miało wartość złota. Grecki
historyk Herodot (ok. 490-425 prz. Chr.), podróżujący po Bliskim
Wschodzie pisze że w Babilonie wydawano rocznie tysiąc talentów srebra
na kadzidło palone na cześć boga Baala.

Egipcjanie - którzy kadzidłem poprawiali jakość powietrza w świątyniach i
dodawali go jako substancji zapachowej do smoły ziemnej używanej przy

muminkowaniu zwłok - pokrywali swoje zapotrzebowanie na kadzidło robiąc wyprawy nad Morze Czerwone.

W trakcie pogrzebu swojej długoletniej kochanki a późniejszej żony, Poppei Sabiny, cesarz Neron urządził w Rzymie prawdziwą kilkudniową kadzidlana orgię - w niebo wzniosło się więcej kadzidia, niż zbierała go w ciągu roku cała Arabia - spóźnione pachnące zadośćuczynienie za kopniaki, którymi ją obdarzył i z których powodu zmarła.

Ale kadzidło było nie tylko balsamicznym i narkotycznie pachnącym środkiem płatniczym i kosztowną ofiarą dla bogów. Grecki lekarz Hipokrates (ok. 460-375 prz. Chr.) odkrył jego lecznicze właściwości w przypadku astmy i chorób macicy oraz jako dodatku do balsamów kosmetycznych. Ten cudowny środek przepisywany przez jego uczniów był prawdziwym przebojem ówczesnej medycyny.

To, co Hipokrates uważał za nowość, Mojżesz i jego lud stosowali już w trakcie exodusu, 800 lat wcześniej, do dezynfekcji zapobiegającej zarazom.

"I rzekł Mojżesz do Aarona: Weź kadzielnicę, włóż w nią ogień z ołtarza, nasyp kadzidla i udaj się śpiesznie do zboru, i dokonaj za nich przeblagania, gdyż Pan rozgniewał się i zaczęła się plaga. Aaron wziął kadzielnicę, jak mu powiedział Mojżesz, i pobiegł w sam środek zgromadzenia, gdzie już zaczęła się plaga wśród ludu. Nasypał kadzidia i dokonał przeblagania za lud. Stanął pomiędzy umarłymi, żywymi, i plaga została powstrzymana". (IV Mojż. 17, 11 - 13)

Można więc stwierdzić bez przesady - a wcale nie będzie to kolejna baśń z "Tysiaca i jednej nocy" - że tym, czym dla współczesnych Arabów jest ropa

naftowa, przynosząca stale duże dochody, w zamierzonych czasach było

kadzidło, zasilające finansowo władców.

Kadzidło pozyskuje się z aromatycznej żywicy kadzidłowca (*Boswellia carteri*)

te dziko rosnące drzewka czy raczej krzewy, sięgające do trzech metrów

wysokości, udają się najlepiej na suchych wapiennych wybrzeżach Hadramaut,

nad dzisiejszą Zatoką Adenską, aż po Zufar w Omanie. Ich kora jest szorstka i

pstrokata, czym przypomina nieco kore naszych brzoź. Pod spodem znajduje się

warstwa bardziej miękka, zawierająca - podobnie jak drzewo gumowe - kleistą

żywicę o barwie mleka. Wczesną wiosną żywica pulsuje w pniu, który nacina

się w wielu miejscach, żeby dać jej odpływ. W ciepłym powietrzu krople

żywicy zastygają w grudki, które po tygodniu zeskrobuje się i wyrzuca. Po

miesiącu czynność ta się powtarza. Żywice, płynącą teraz ze zranionego drzewa

i szybko wysychającą, sprzedaje się jako kadzidło pośledniejszej jakości.

Dopiero trzecie nakuwanie drzewa podczas gorących miesięcy letnich pozwala

na otrzymanie kadzidła najwyższej jakości. Niewolnicy ugniatają zebrany

surowiec w grudy, potem następuje proces oczyszczania i w końcu kadzidło

dostarcza się w koszykach na miejsce magazynowania i rozdziału.

Tak, przyroda łaskawie postąpiła z Arabami - czy to pozwalając im uprawiać

kadzidło, czy wydobywać ropę naftową. Nie bez powodu geografowie rzymscy

nazywali zawsze Półwysep Arabski *Arabia frux*, Arabia szczęśliwa.

Następnie kadzidło transportowano wielkimi karawanami do miejsc, gdzie

towar ten ceniono na wagę srebra, a niekiedy złota. Największe zyski z handlu

kadzidłem czerpał właśnie Marib.

Wyjaśnialoby to zarówno problem finansowania tak ogromnych budowli... jak i

upadku kwitnącego miasta i królestwa Sabejczyków. Ostatnie zawalenie się zapory, której nie dało się już odbudować, spowodowało po prostu zanik dochodów. Potem kadzidło transportowano drogą morską. Gdy w Ameryce Środkowej dzungla zarastała świątynie i pałace Majów, ruchome piaski pustyni zasypywały Marib i plantacje kadzidłowca. Wkrótce już tylko historycy starożytności, jak Herodot, Strabon (63 r. prz. Chr. -26 r. po Chr.) i Pliniusz (24 - 79), pisali jeszcze o szczęśliwym królestwie Saby. Gdyby w Starym Testamencie i w Koranie nie było tak konkretnych informacji o tym bogatym kraju i jego władczyni, owianej mgłą tajemnicy, to zapewne epoka ta zostałaby zupełnie niezauważona i zapomniana - i nikt nie próbowałby jej nawet badać.

Zaskoczenie i zdziwienie są początkiem zrozumienia

Ortega y Gasset (1883- 1955)

Jadąc z Hadramaut do Sany w roku 1589, jezuita Pero Pais przejeżdżał przez Marib - zwiedzał to miejsce z szacunkiem, a potem napisał o potężnych blokach z kamienia i nieznanym napisach, których nikt nie potrafi odczytać.

Prawie dwieście lat później, w roku 1762, po Jemenie jeździła duńska ekspedycja pod kierownictwem niemieckiego podróżnika-badacza, Carstena Niebuhra (1733 - 1815). Niebuhr jako jedyny członek wyprawy powrócił do Europy, gdzie w wielu swoich książkach ukazał nauce arabskie skarby -

wspinałe pomniki przeszłości i nie dające się odczytać inskrypcje.

W 1843 roku ta mało znana część świata wyraźnie zbliżyła się do Europy -

Francuz Thomas Joseph Arnaud przywiózł w swoim bagażu do Paryża 56 kopii

sabejskich inskrypcji. Niemiecki baron Adolph von Wrede (1807 - 1863),

wróciwszy z podróży po Jemenie, mówił o grobach, budowlach oraz

inskrypcjach - nie znalazł jednak wydawcy dla swojej książki Podróż do

Hadratnaut, między innymi dlatego, że Aleksander von Humboldt zarzucił mu

przesadę w opisach. Praca Wredego ukazała się dopiero w trzynastu lat po

śmierci autora

- dziś wszyscy wiedzą, że Wrede opisywał wyłącznie fakty. W 1870 roku

Francuz Joseph Halevy (1827- 1917) wśliznął się podstępem do jemeńskiej

ekspedycji i udało mu się skopiować, nierzadko z narażeniem życia, ponad 600

starożytnych inskrypcji.

Ale naprawdę problemem zainteresowali się Europejczycy dopiero

po powrocie Austriaka Eduarda Glasera (1855-1908), który podróżował Po

Jemenie od 1882 do 1889 roku. Przebrawszy się za Araba, mógł przez blisko

sześć miesięcy mieszkać u jednego z szejków w okolicach Maribu.

Posłuchajmy więc, co przed ponad stu laty zobaczył i opisał Glaser:

"Ruiny świątyń mają kształt elipsy, której dłuższa oś przebiega dokładnie z

północy na południe... Dokładnie w kierunku północnego wschodu, patrząc od

centrum budowli, stoją cztery kolumny...". W świątyni opisanej przez Glasera

uczeni zaczęli podejrzewać pomnik religii nawiązującej do astronomii. W 1904

roku Ditlef Nielsen poddał pod dyskusję swoją wizję staroarabskiego kultu

Księżyca:

"Astronomiczne ukierunkowanie według określonych stron

nieba... oraz cały kompleks wydaje się służyć celom astronomicznym...

Wszystkie obrzędy były w najdrobniejszych szczegółach związane z obserwacjami astronomicznymi, albowiem bieg ciał niebieskich po firmamencie był zarazem drogą istot boskich."

Jest to opinia obowiązująca po dziś dzień. Od pewnego czasu jednak zaczęły się nasuwać następujące pytania: Czy królową Saby otaczał kult kosmiczny? Czy jej nie dające się określić tajemnicze pochodzenie nie wykazuje być może jakiegoś związku z Wszechświatem i bogami?

W każdym razie Jemen stał się teraz centrum zainteresowania. Wyrusza tam podrodziny-badacze, archeolodzy oraz zwykli poszukiwacze przygód.

W 1928 roku dwaj Niemcy, Hermann von Wissmann i Carl Rathjens, odkopali tuż za granicami Sany ruiny świątyni. W 1936 roku Anglik Harry St. John B.

Philby opisał tajemnicze budowle i nie dające się odczytać inskrypcje z

krainy Asir, znajdującej się dziś na granicy Jemenu, a podjęta w latach 1948

- 1949 ekspedycja Ryckmansa, Philby'ego i Lippensa wprawiała wszystkich w

zduwienie odkryciem w południowej Arabii monolitycznych kręgów kamiennych zorientowanych astronomicznie - podobnie jak europejskie (Stonehenge). W roku

1952 William Frank Aibright i Wendell Phillips rozpoczęli szeroko zakrojone prace wykopaliskowe w okolicach Maribu.

Od tego czasu nie prowadzi się tam żadnych poszukiwań. Wprawdzie

Niemiecki Instytut Archeologiczny ma filię w Sanie oraz placówkę w Maribie, zajmującą się zabezpieczaniem i katalogowaniem pozostałości historycznych, to jednak prace wykopaliskowe na wielką skalę będą możliwe dopiero wówczas,

gdy Jemen jako państwo będzie na tyle silny, żeby jego prawa zdołały zdominować prawa poszczególnych plemion, rodów, uważających każdy przedmiot znaleziony na swoim terenie za prywatną własność.

Wizja lokalna

Rozczarowany i zdezorientowany zwiedzałem miejsca, o których archeolodzy napisali tyle zdumiewających rzeczy. Cóż pozostało po Haram Bilkis, świątyni Królowej Saby? Wielkie elipsoidalne rumowisko z piasku wznosi się tylko kilka niewielkich kolumn. Za nieistotnymi resztkami murów stoi rząd ośmiu słupów.

Pary złomów kamienia. To wszystko. Ale nawet te kilka kolumn pozwala zrozumieć dokładność sztuki inżynierskiej stosowanej przez budowniczych.

Zeby zapewnić możliwie dużą stateczność kamiennym poprzecznicom, spoczywającym niegdyś na samej górze, w szczytach kolumn wykuto jakby trzpienie, a w poprzecznicach otwory, które pasowały dokładnie do trzpieni.

Dzięki temu "sufit" był mocno połączony z podporami. Tak samo powstają dziś betonowe mosty z prefabrykatów.

Kilka kilometrów od miejsca, w którym znajdowała się niegdyś świątynia królowej, mamieją resztki świątyni Księżyca. Pięć piętnastometrowych monolitów wznosi się w błękitne niebo, sprawiając wrażenie pięciu palców olbrzymiej skarżącej się ręki: Gdzież jest, o bogowie, wasza świetność, gdzie wasza wspaniałość? Boki kamiennych słupów są jak wypolerowane, kanty ostre. Na ziemi leżą boki wapienia, na których przy odrobinie szczęścia da

się jeszcze odkryć sabejskie inskrypcje. Niezależnie od kierunku padania promieni słonecznych pięć kolumn wznoszących się w niebo zawsze rzuca na piach pustyni ogromne i czarne jak smoła równoległe cienie. Cienie te, jak gigantyczne wskazówki zegara Słonecznego, raz dziennie wędrują wokół kamiennego kwintetu. Czas płynie.

Tego dnia byliśmy jedynymi zwiedzającymi nie licząc siedmio- czy osmioletniego chłopca, który zjawił się tu zupełnie nagle i nie wiadomo skąd. Stał między dwiema kolumnami, o jedną oparł się nogami, o drugą plecami, i jak akrobata, bez pomocy rąk, zaczął się wspinać. Najpierw ruch kolan i stóp, potem siedzenia i pleców - i już wznosił się o piętnastie centymetrów utrzymując równowagę rękami. Nie było tam ani występu, ani najmniejszego zagłębienia, gdzie mógłby się wesprzeć bosymi stopami. Nagle poczułem strach: czy w razie wypadku nie spotka mnie krwawa zemsta plemienia tylko z powodu mojej tu obecności? "Ach, co tam!" - powiedziałem sobie, gdy szczuplutki chłopiec przeskakiwał z jednego monolitu na drugi, klanając się nam machając rękoma. Robi to zapewne od dawna - podobnie jak jego ojciec - skoro tylko zobaczy turystów. po spektaklu - a na dół zszedł jak wiewiórka - otrzymawszy obfity bakszysz zniknął równie szybko, jak się pojawił. Nie wiadomo gdzie.

Dziennikarz telewizyjny Volker Panzer, który wraz z dr. Gottfriedem Kirchnerem stworzył dokumentację TERRA X, pisze: "Ostatnie badania prowadzone przez Niemiecki Instytut Archeologiczny wykazały, że Marib był zasiedlony z całą pewnością około 1500 r. prz. Chr. - o ile nie wcześniej".

Dziś od tego czasu minęło prawie 3500 lat, a ślady znajdują się tylko 15 metrów pod moimi stopami. Rozbijam się namiętnie po różnych dziedzinach

wiedzy - korciło mnie więc, żeby zacząć rozgrzebywać piach gołymi rękoma.

Nie mogłem patrzeć, jak pustynia nieubłaganie pochłania plony ekspedycji Aibrighta i Phillipsa, które, prawie wyrwane przeszłości, znów zapadają się w nicość.

Łamigłówka z królową Saby

Jeżeli czegoś nie udaje się odkryć z pomocą archeologii, to należy sięgnąć do starych inskrypcji, układać łamigłóvkę z legend, podejrzanych przekazów, odnajdować zamierzchną przeszłość idąc drogami, którymi nie uda się pójść historykom.

ponieważ trzeba będzie tu sięgać do Starego Testamentu, przytoczmy więc legendy z I Księgi Królewskiej (10, 110, 93):

„A gdy królowa Saby usłyszała wieść o Salomonie opartą na chwale Pana, wybrała się do niego, żeby go doświadczyć przez stawianie trudnych pytań. Przybyła do Jeruzalemu z nadzwyczaj wspaniałym orszakiem na wielbłądach objuczonych wonnosciami, wielką ilością złota i drogimi kamieniami, i przyszedłszy do Salomona rozmawiała z nim o wszystkim, co miała na sercu. Salomon zaś odpowiadał na wszystkie jej pytania i nie było takiego pytania, na które król nie umiałby dać jej odpowiedzi. Gdy więc królowa Saby poznała całą mądrość Salomona i obejrzała pałac, który zbudował, potrawy na jego stole i stanowiska jego dostojników, i sprawność w usługiwaniu jego sług, ich stroje, podawane napoje oraz jego ofiarę całopalną, jaką złożył w przybytku

Pana, nie mogła wyjść z podziwu i rzekła do króla:

Prawdą okazało się to, co o twoich sprawach i o twojej mądrości slyszalam w mojej ziemi, lecz nie wierzyłam tym słowom, aż przybyłam i zobaczyłam na własne oczy; a i tak nie powiedziano mi ani połowy tego, bo znacznie przewyższyłeś mądrością i zacnością to, co o tobie slyszalam [...]. po czym podarowała królowi sto dwadzieścia talentów złota i ogromną ilość wonności i drogich kamieni. Nigdy już nie nadeszło tyle wonności, ile wtedy podarowała królowa Saby królowi Salomonowi [...]. Król Salomon zaś podarował królowej Saby wszystko, czego zapragnęła [...]. potem ona wybrała się w drogę powrotną i pojechała do swojej ziemi wraz ze swoimi dworzanami".

Kiedy mogło mieć miejsce owo królewskie spotkanie na szczycie?

Król Salomon żył podobno około 965 -926 r. prz. Chr. Teoretycznie więc mogło się ono odbyć właśnie w tym czasie, który pokrywa się zresztą z okresem rozkwitu Maribu. Świadczenia jednak są sprzeczne.

Według Żydów do Starego Testamentu należą również midrasze, zawierające wyjaśnienia i komentarze. Były one odczytywane wraz z fragmentami Pisma w czasie służby bożej. Midrasze stanowią kopalnię wiedzy o religii żydowskiej.

Z tego zbioru pochodzi również drugi chaldejski targum (tłumaczenie z

komentarzem) Księgi Estery. Nie da się określić, kiedy powstała ta nowela

historyczna. specjaliści datują ją na VII wiek prz. Chr., autorzy

jednak, kimkolwiek byli, powołują się na źródła jeszcze wcześniejsze, już nie

istniejące. W drugim targumie znajdują się nawet opisy tulaczek Salomona,

informacje o wypędzeniu Żydów (ok 597 r. prz Chr.) za czasów

Nabuchodonozora II, wiadomości o tronie Salomona i wizycie królowej Saby na

dworze króla. Można tu znaleźć więcej szczegółów niż w Starym

Testamencie. W drugim targumie król Salomon przesyła nawet królowej Saby groźnie brzmiące posłanie, w którym donosi, że oczekuje jej bezzwłocznej wizyty.

Królowa przeczytała wiadomość, która przeraziła ją do tego stopnia, że zaczęła rwać na sobie kosztowne szaty i rozpaczliwym krzykiem wezwała swoich doradców. Mędrcy ci odrzekli: Nie znamy króla Salomona i nie obchodzą nas jego rządy. Ale królowa nie posłuchała ich rady.

"Wyposażyła jednak wszystkie morskie statki w perły i kamienie szlachetne jako dary dla Salomona, a nadto przesłała mu sześć tysięcy chłopców i dziewcząt, zrodzonych o tej samej godzinie, tego samego dnia, miesiąca i roku, wszystkich jednakiego wzrostu i wyglądu, wszystkich odzianych w purpurowe suknie. Dala im list do Saloniona, w którym prosi, że choć ma jeździć ze swego kraju do jego co pełne siedem lat, to żeby jednak mogła pojawić się za lat trzy. Gdy przybyła po upływie tego terminu, Salomon zasiadł w szklanej komnacie. Jej zdalo się jednak, że siedzi w wodzie, podniosła więc swoje suknie, żeby do niego dojść. Wówczas zobaczył, że ona ma owłózione nogi, i rzekł: "Piękność twa jest pięknością kobiety, ale twe owłosienie jest owłosieniem mężczyzny. Owłosienie jest ozdobą mężczyzny, lecz szpeci kobietę."

Sześć tysięcy chłopców i dziewcząt, podobnych do siebie jak sześć tysięcy kropli wody, było zapewne wytworem fantazji arabskich bazarzy. Husein ibn Muhammed ibn al Hasan, biograf Mahometa, redukuje tę liczbę do pięciuset, twierdzi jednak - podobnie jak kronikarz perski Mansur, autor arabskiej

kroniki, obejmującej historię całego świata, który mówi już tylko o stu chłopcach i dziewczętach - że wszyscy wyglądali tak samo. Zdziwiające.

Nieważne, ile młodych osób znalazło się w ekspedycji, należałoby raczej zadać pytanie, co właściwie mieli oni robić u Salomona. Mówi o tym Husein ibn Muhammed ibn al Hasan:

"Na potrzeby misji. przebrała pięciuset młodzieńców za dziewice, a pięćset dziewczec za młodzieńców, polecając pierwszym zachowywać się jak dziewczeta, drugim zaś jak chłopcy. Razem z nimi przesłała Salomonowi zamkniętą skrzynkę z nieprzewierconą perłą i kręto przewierconym diamentem, wreszcie puchar, który król miał napełnić wodą, która ani nie spadła z nieba, ani nie wytrysnęła z ziemi".

Nadzwyczaj sprytnie, chciała bowiem podejść w ten sposób króla Salomona, który miał opinię niezwykle mądrego. Nie udało się jej to jednak - Salomon przewiercił perle cudownym kamieniem, przez diament przewlekl jedwabną nić z pomocą jedwabnika, a puchar wypełnił końskim potem. Odkrył również tajemnicę pięciuset chłopców i dziewcząt obserwując, jak się myją. Chłopcy zawijali rękawy, dziewczeta nie.

Tajemnicza jest też sama misja Bilkis do królewskiego kolegi - na podróż do jego kraju zużyła pełne siedem lat. Odległość dzieląca Marib od Jerozolimy wynosiła wówczas - i nadal wynosi - około 2500 kilometrów. Załóżmy więc, że karawana - podróżowano bowiem wtedy na wielbłądach - poruszała się z prędkością 30 kilometrów dziennie: podróż trwałaby więc trzy miesiące. Ale gdyby królowa - jak chce drugi targum - użyła do tego "morskich statków", wsiadłszy na nie w którymś z portów Morza Czerwonego, a wysiadłszy na ląd

w dzisiejszej Akabie, to droga trwałaby znacznie krócej.

W tym samym źródle można znaleźć informacje, że królewscy partnerzy w końcu się pobrali i że od tej chwili Salomon "co miesiąc spędzał przy niej trzy dni w stolicy - Maribie". Przy takiej odległości i takim czasie podróży? Salomon chyba naprawdę chował w zanadrzu jakąś tajemnicę, bo fakt comiesięcznej wizyty w Maribie zaakceptowali nawet intelektualiści świata arabskiego.

Opierają się oni m.in. na komentarzach do Koranu, które napisali w XI w. arabscy uczeni al-Kisa'i oraz ath-Tha'lab. Według tych komentarzy Salomon przebywał w Mekce - w czasach przedislamskich było to święte miejsce Abrahama. Nie ma o tym wprawdzie ani słowa w Starym Testamencie, ale to jeszcze o niczym nie świadczy, bo Żydzi unikają w swoich pismach wszelkich nawiązań do świętych miejsc staroarabskich.

Bedąc w Mekce, król postanowił pojechać do Jemenu, żeby obejrzeć kwitnące ogrody królowej Saby. Gdyby podróż miała przebiegć według założonego planu, to na miłą wycieczkę należałoby przeznaczyć co najmniej miesiąc:

"Ale z pomocą wiatrów, którymi władał, Salomon wraz ze swoją armią przebył całą drogę w czasie od wschodu do zachodu [gwiazdy] Canopus".

Według przekazów udało się królowi pokonać ów odcinek drogi w tak rekordowym czasie dzięki pomocy demonów i wiatrów...

I "nadprzyrodzonego środka transportu". Bez samolotów, śmigłowców, a co najmniej bez balonów na gorące powietrze, romantyczne

comiesięczne weekendy, jakie kochankowie spędzali w altanie w Maribie, nie byłyby przecież zupełnie możliwe... "Nadprzyrodzony środek transportu"?

Salomon miał poważne problemy z damą swego serca! Kronikarze arabscy przysięgają na wszystkie świętości, że królowa miała owłosione nogi, uznając zarazem ten zwierzęcy defekt urody za dowód jej pozaziemskiego, demonicznego pochodzenia. Miłość jednak jest bardzo pomysłowa - swojemu nadwornemu lekarzowi kazał Salomon spreparować pierwszy w historii środek do depilacji!

Całkowicie zmechanizowany, zwariowany tron królewski

Autorzy Biblii obdarzyli Salomona pięknym przydomkiem "mądry".

"Salomonowe wyroki" ogłaszano z wyżyn tronu, który nie miał sobie równego na całym świecie. Był to cudowny mechanizm, którego zadziwiający opis przekazano w targumie do Księgi Estery. Z niekończących się partii tekstu zaczerpnąłem informacje dotyczące funkcjonowania tronu. Opisy te wprawiają czytelnika w najwyższe zdumienie:

"Nigdy jeszcze na żadnego króla nie stworzono takiego dzieła...

A tak zbudowany był ów cud:

Obok tronu stało naprzeciwko siebie dwanaście złotych lwów i dwanaście złotych orłów tak, że prawa łapa lwa znajdowała się naprzeciw lewej łapy orla. W sumie były 72 złote lwy i 72 złote orły. W górnej części oparcia tronu znajdowała się okrągła kopuła, do której prowadziło sześć złotych stopni... Na pierwszym stopniu leżał byk a naprzeciw niego lew, na drugim niedźwiedź a naprzeciw niego jagnię, na trzecim orzeł a naprzeciw niego anka,

na czwartym orzeł a naprzeciw niego paw, na piątym kot a naprzeciw niego kogut, na szóstym jastrząb a naprzeciw niego gołąb - wszystkie te zwierzęta były ze szczerego złota. Nad tronem przymocowano dwadzieścia jeden złotych skrzydeł, dających Salomonowi cień.

Od którejkolwiek strony zechciał Salomon wejść na tron, mógł to zrobić za pomocą mechanizmu. Gdy tylko król postawił nogę na najniższym stopniu, złoty lew podnosił go wnet na stopień drugi, lew z drugiego stopnia na trzeci i tak dalej na czwarty, piąty a w końcu na szósty stopień. Potem sfruwały orły, chwytaly króla i unosiły na góry tronu. W mechanizmie tym umieszczono również srebrnego smoka...

A kiedy król spoczął już na tronie, wielki orzeł brał koronę i wkładał mu ją na głowę. Potem smok powtórnie wyzwalał mechanizm - teraz wstawaly lwy i orły i ocieniały głowy króla Salomona... Jeśli przed królem stawali świadkowie, wtedy ruszał mechanizm kół zębatach - byk porykiwał, lwy ryczały, niedźwiedź pomrukiwał, owca beczala, pantera wyła, anka zawodzila, kot miauczał, paw krzyczał, kogut piał, jastrząb kwilil, ptaki ćwierkaly...

Gdy jednak przepelnila się miara grzechów Izraela, w potęgę urósł Nabuchodonozor II, występny król Babilonu... Kazał sprowadzić sobie również tron króla Salomona, a gdy, nie znając mechanizmu, zaczął nań wstępować i postawił nogę na pierwszym stopniu, lew przetrącił mu prawe biodro i uderzył w lewe, na skutek czego Nabuchodonozor okulał na cale zycie. Po nim tron króla Salomona zdobył Aleksander Macedoński i przywiózł do Egiptu. Gdy Szyszak, król Egiptu, ujrzał tron tak wspanialy, najpiykniejszy ze wszystkich tronów królewskichb, też zapragnął nań wstąpić i usiąść na nim, nie wiedzial

jednak, że mechanizm sam zaczął go podnosić, gdy więc postawił nogę na pierwszym stopniu, lew przetrącił mu prawe biodro, uderzył w lewe, dlatego też Szyszak był później przez całe życie zwany Faraonem Kulawym".

„Dopiero oko stwarza świat” - powiedział Christian Morgenstern (1871 - 1914). To, co ujrzeli i opisali kronikarze starożytności, było niepojętym cudem.

Kto go jednak wymyślił? Kto nakazał urzeczywistnić pomysł? Kto wreszcie skonstruował ten szczególny rodzaj robota? Do poruszania zwierząt pomagających królowi niezbędna była bez wątpienia jakaś energia. Jaka energia?

Mądry król musiał nią dysponować. Ten zadziwiający człowiek był przecież "władcą wiatrów" oraz posiadał "nadprzyrodzone środki transportu". To trochę za wiele jak na tamte czasy. Cóż to był za świat?

Dar Salomona - pojazd powietrzny

Najstarszą etiopską legendą jest epos Kebra Nagast, Co znaczy "Chwała Królów Abisynii" - jej najwcześniejsze wersje datuje się mniej więcej na 800 rok prz. Chr., czyli blisko czasów Salomona.

Przekładu na niemiecki podjął się asyriolog Carl Bezold (1859 - 1922) na zlecenie Królewsko-Bawarskiej Akademii Nauk. Przekład opiera się na tekstach Etiopczyków Izaaka i Jemharany-Aba, które pochodzą z 1409 r. prz. Chr. - te powołują się znów na wersje jeszcze starsze. Kebra

Ncigast ukazuje wizyty królowej Saby u króla Salomona. Królowa nosi tu etiopski wariant sabejskiego imienia Bilkis - Makeda. I znów przedstawia się czytelnikowi buchatteryjne wyliczenia ilości zjedzonego chleba, przyprawionych przez orszak królowej wołów tucznych, owiec itd., - także tu dochodzi do gwałtownych amorów Makedy i Salomona; kronika opowiada jednak i o innych jego kochankach. Przed Makedą królewski bałamut rozacza całą swą sztukę uwodzicielską, chce królową nie tylko zaciągnąć do łóżka, lecz również proponuje jej małżeństwo, a nawet godność królewską. Makeda uprawia z nim miłość, pragnie jednak, co łatwo zrozumieć, powrócić do swego pięknego zielonego kraju. Monarcha pozwala jej odjechać, a na pożegnanie obdarowuje naprawdę po królewsku - jak utrzymują kronikarze jednym z prezentów był pojazd powietrzny:

"I [...] dal jej wszystkie, jakie można było zapragnąć, wspanialosci i bogactwa, i piękne szaty pociągające oczy, i wszystkie wspaniatosci, których zapragnąć mogła Kraina Etiopii, wielbłądy i wozy około sześciu tysięcy, obładowane drogocennym sprzętem, którego można było zapragnąć, i pojazdy, którymi jedzie się po lądzie, jeden pojazd, który jedzie po wodzie, i jeden pojazd, który pędzi w powietrzu, a które zbudował dzięki mądrości, jaką Bóg go obdarzył". (KN, r. 30)

Niebiańska podróż królewskiego syna

W dziewięć miesięcy po powrocie - jak widać, czas trwania ciąży nie zmienił

się od tamtej pory - królowa Makeda wydaje na świat owoc tej miłości. Gdy syn nieco dorasta, ojciec odwiedza go w Jerozolimie. Tam chłopaczek, obmywany wszelkimi wonnościami Arabji, kradnie ojcu świętą Arkę Przymierza, którą Mojżesz wedle wskazówek Jahwe kazał zbudować na cześć Boga Izraela. Była to tajemnicza skrzynia z drewna akacjowego, wyłożona złotem wewnątrz i na zewnątrz. Miała 1,75 m długości, 1 m szerokości i 1 m wysokości. Poza tym przedmiotem, najbardziej chronionym przez Salomona, synalek przywłaszczył sobie jeszcze z wyposażenia ekspedycji ojca jeden - a może więcej - latający wóz. W Ketrze Nagast opisano i ten przypadek. podróż z Etiopii do Jerozolimy odbywa en gros i en detail poruszająca się ociężałe w promieniach palącego słońca bogata karawana - podróż powrotną zaś królewski syn odbywa szajając na pokładzie wozu niebieskiego.

„Wszystko pędziło na wozie, jak okręt na morzu, który ponosi wiatr [...] i jak orzeł, gdy lekko unosi się na wietrze (KN, r. sz) [...] odpowiedzieli im [żołnierzom króla Salomona] mieszkańcy Egiptu:

Dawno temu przeszli [tędy] ludzie Etiopii, pędząc na wozie jak anioły, szybsi od orłów na niebie [...]. To jest trzeci dzień, jak odszedł. A gdy załadowali swoje wozy, nie posuwały się one po ziemi, lecz zawieszani byli w powietrzu, i szybsi byli od orłów na niebie, i cały ich dobytek posuwał się z nimi w powietrzu na wozie." (KN, r. s8)

W ten sposób król i wszyscy, co byli posłuszni jego rozkazom, lecieli na wozie bez cierpień i chorób, bez głodu i bez pragnienia, bez potu i bez zmęczenia, przebywając jednego dnia drogę, na którą trzeba trzech miesięcy. Właśnie to może być wyjaśnieniem comiesięcznych wizyt króla u królowej -

wóz niebiański Salomona skracal trzymiesieczną drogę do jednego dnia!

Czy zamek moze zniknąć?

Gdybyż to Koran i Biblia byly tylko zbiorami basni Wschodu, nad którymi można z przymrużeniem oka przejść do porządku dziennego! De facto są to jednak wielkie księgi zawierające historię ludzkości. Tresci biblijne akceptuje 1,6 mld chrześcijan, 850 mln mahometan tresci Koranu. Skądkolwiek pochodziłyby niezwykle przekazy, czy ze starych źródeł, czy z inspiracji boskiej - to przecież Koran (Sura XXX IV, w. 12 n.) podaje informacje o tym, że Allah przydzielił Królowi Salomonowi posluszne mu duchy:

„A Salomonowi podporządkowaliśmy wiatr [...] / A wśród dzinnów byly takie, / które pracowaly dla niego, / za pozwoleniem Boga. [...] /I robili dla niego, co on chcial: / sanktuaria I posągi, I misy jak sadzawki [...]"

Wszyscy kronikarze staroarabscy byli zgodni Co do jednego - że Salomon za pomocą "demonów" i "geniuszów" kazal zbudować dla królowej trzy ogromne zamki - po jednym mialy pozostać ruiny w Baalbek. Zagadką natomiast pozostaje, co wspólnego mialo Baalbek, leżące w dzisiejszym Libanie, z mocarstwem jemenskiej królowej. Jak podkreślano, Salim oraz Gumdan, czyli drugi i trzeci zamek, zostały zbudowane nie przez robotników Salomona, lecz przez "istoty widmowe". Zamek Gumdan, pierwsza budowla powstała po potopie, został uznany przez wszystkich archeologów jemenskich za jedyny, który istniał naprawdę - Choć po dziś dzien brak na to niezbitych dowodów.

Zamku trzeba szukać na wschodnich krancach dzisiejszej Sany, tam gdzie stoi teraz cytadela. Byłoby dobrze, gdyby zezwolenie na prace wykopaliskowe otrzymał Niemiecki Instytut Archeologiczny - można by zacząć grzebać w ziemi przed drzwiami budynku zajmowanego przez tę placówkę.

Arabski historyk al-Hamdani pozostawił po sobie wiele prac. W yIII Księdze jednego ze swych dzieł zapewnia ze ruiny potężnego zamku Gumdan widział na własne oczy. Ogledziny te musiały się odbyć około 930-940 r.

Wypowiedz dziejopisa pokrywa się z opinią jego afgańskiego kolegi Biruniego, który żył w tamtym okresie i opisał olbrzymie ruiny znajdujące się w pobliżu Sany. Również wspomniany już Carsten Niebuhr przywiozł ze swojej wyprawy opis zamku Gumdan.

"Miasto Sana leży na 15°21' szerokości północnej u podnóża góry zwanej Nikkum lub Lokkum, na której widać jeszcze ruiny niezwykle starego kasztelu, zbudowanego jakoby przez Sema, najstarszego syna Noego."

Z lat siedemdziesiątych naszego wieku pochodzą informacje, zdobyte przez włoskiego archeologa i orientalistę Gabriela Mandela. Przejrzał on wiele źródeł w Jemenie - na ich podstawie stwierdził, że pałac Gumdan miał jakoby około 200 m wysokości, był więc najwyższą budowlą świata po wieży Babel.

Ai-Hamdani scharakteryzował Marib jako "miasto o podniebnych wieżach".

Po dziś dzień turyści zwiedzający Sane podziwiają stare wielopietrowe budynki. Tylko dlaczego stawiano w Jemenie budowle tak wysokie, skoro naprawdę nie brakowało tam miejsca? Czyżby opierano się na wzorach z Muribu Gumdan?

Nawet jeśli kronikarze arabscy nie zgadzają się w opisie szczegółów,

to jednak cały czas zapewniają unisono: Sana była najstarszym miastem świata, założonym przez Sema, najstarszego syna Noego, zaraz po spłynięciu wód potopu. Nam, ludziom Zachodu wcale nie jest tak powszechnie znane, że zarówno Arabowie jak i Żydzi są Semitami - wywodzą się właśnie od Sema. W wiele pokoleń po Semie Arabowie podzielili się na dwa podstawowe rody: jedna linia miała wywodzić się od Izmaela, syna Abrahama, druga zaś od Quahtana, który w Starym Testamencie pojawia się jako Joktan. Bezpośrednim potomkiem Quahtana był Abd-Szams, przez Arabów zwany Szeba - w Europie Saba. Abd-Szams znaczy "czciciel gwiazd", tym samym znaleźliśmy się znów przy Sabejczykach, którzy holdowali kultowi gwiazd.

Historycy arabscy przekazali nam dokładne genealogie, z których można się dowiedzieć, kto był czyim dzieckiem. Czy są one bezbłędne, można stwierdzić w równie niewielkim stopniu, jak w przypadku starotestamentowych list dziedzicznych. W poszczególnych przypadkach arabskie drzewa genealogiczne wywodziły się bezpośrednio od gwiazd, które czcili panujący:

"Himyar modlił się do Słońca.

Kinanah czcił zwłaszcza Księżyc.

Misam modlił się do pięciu gwiazd Byka.

Lachm i Dżuzam czcili planetę Jowisz.

Tasm modlił się do konstelacji Canopusa.

Kajs czcił Psią Gwiazdę Syriusza.

Asad czcił planetę Merkury."

W istocie owe nie kończące się listy imion są już dziś nie do sprawdzenia, bezsprzeczne jest tylko to iż istnieją od dawna. W IX w prz. Chr. arabski historyk Ibn Wadih al-Ya'qubi próbował uporządkować drzewa genealogiczne - tylko linia południowoarabska, rozpoczynająca się od Qahtana (Joktana), zawiera trzydziści jeden dynastii, które miały rządzić przez ok 3500 lat. Według tych dokumentów król Salomon okupował rzekomo tron Saby przez pełne 350 lat. Czysty obłąd! Stary Testament przyznaje, że okres rządów Salomona obejmuje na pewno lata 960 - 932 prz. Chr. Później, jak twierdzi Biblia, jego królestwo rozpadło się na dwa państwa - królestwem Judy rządził Rechabeam, syn Salomona, Jeroboam zaś, urzędnik Salomona przejął królestwo Izraela. Arabowie są innego zdania: po śmierci Salomona Rechabeam przejął również regencję w królestwie Saby, tym samym po interregnum powrócono do starej linii dynastycznej.

Legendy lubują się w cudach

Podczas trzydziestoletniego obcowania z podaniami ludowymi zrozumiałem, że wprawdzie legenda rozkoszuje się przesadą i cudami, ale zarazem - jako literacki towarzysz historii - zawiera w sobie sporo prawdy. Choć legenda stoi w opozycji do historii, może być jednak uzupełnieniem prac dziejopisów.

O tym, że daty oraz imiona postaci z legend rzadko zgadzają się z rzeczywistością, niech zaświadczą dwa "klasyczne" przykłady.

Zgodnie z biblijnym opisem potopu Noe zbudował statek, na którym

przeżył zalew wód razem ze swoją rodziną, służbą i zwierzętami.

O podobnym zdarzeniu opowiada o wiele starszy epos sumeryjski

Gilgamesz, powstały 2000 lat prz. Chr. Biblijny Noe nazywa się tam

Utnapiszti, a swoją historię - choć treść jest taka sama - przekazuje

w formie pierwszoosobowej. Poprzednikiem Utnapiszti był jeszcze

starszy Ziusudra. Wszystkie ludy starożytne pozostawiły po sobie

legendy o potopie i wszystkie te legendy miały bohatera, któremu udało

się przeżyć.

Każdy zna oczywiście wzruszającą historyjkę o chłopczyku noszącym imię

Mojżesz, który - zostawiony w skrzynce z papirusu na brzegu rzeki - popłynął

z biegiem Nilu, a uratowała go miłosierna córka faraona. W indyjskim eposie

Mahabharata - był to bestseller już IV w. prz. Chr. - dziewczica Kunti oczekuje

dziecka poczętego przez boga Słońca. Obawiając się hańby, umieszcza dziecko

w wyplatany koszyku uszczelnionym smołą i spuszcza do rzeki. Dzielny

człowiek Adhirata wylawia dziecko z wody, a następnie wychowuje. Na

glinianych tabliczkach spisano legendę o babilońskim królu Sargonie, który

opowiada, że matka ułożyła go w trzciniowym koszyku, uszczelnionym smołą,

a rzeka poniosła koszyk do człowieka nazywającego się Akki, który wychował

Sargona.

Mojżesz, Kunti i Sargon żyli w różnych rejonach i w różnych czasach. Kiedyś

tam jednak, ktoś tam, położył gdzieś tam na wodę nowo narodzonego... i

wszędzie znalazła na uwielbianego władcę. Takie właśnie jest prawdziwe

sedno opowieści.

Przed siedemdziesięciu laty dr J. Bergmann, rabin gminy żydowskiej Berlina,

napisał:

"Legenda nie zgadza się ze źródłami historycznymi, lubuje się w cudach, wędrując bez wytchnienia po stuleciach i krajach opowiada w różnej formie o wielu osobach i zdarzeniach. Nie wszystko wprawdzie, o czym mówi, jest wymyślone fantazja ludowa przecież nie stwarza czegoś z niczego, lecz nawiązuje do zdarzeń rzeczywistych osób żyjących naprawdę".

Dlaczego bogów wymazano z pamięci

Salomon i królowa Saby byli oczywiście bohaterami legend, które jednak były ściśle związane ze "zdarzeniami rzeczywistymi i osobami żyjącymi naprawdę".

podania żydowskie i arabskie opierają się na materiale wcześniejszym, do którego nowi gawedziarze dodawali własnych bohaterów. Gdyby twierdzeniu temu miała zaprzeczyć teza, że Biblia nie jest legendą, lecz wprost przeciwnie - zawiera słowo Boże, to można by zacytować owo słowo Boże, które w Księdze Estery (6,1) potwierdza, że Biblia przytacza również stare źródła:

"ponieważ tej nocy sen odbiegł króla, kazał sobie więc przynieść księgę pamiętnych wydarzeń dziejowych i o nich królowi czytano".

"Lepiej zapalić niewielkie światelko, niż przeklinać wielką ciemność" — twierdził filozof chiński Konfucjusz (551-479 prz. Chr.). Zapalmy więc owo światelko, które pozwoli nam zrozumieć, iż "księga pamiętnych wydarzeń dziejowych" zawiera przecież podania!

Z przejściem do żydowskiego monoteizmu, czyli do wiary w jednego boga, wykreslono ze starych podań wszystko, co było w jakikolwiek sposób związane z innymi bogami i bóstwami minionej epoki. Redaktorzy Biblii postąpili niezwykle mądrze, zastępując - żeby nie pozbawić swego ludu wszystkich związków z przeszłością - imiona przekazane w legendach nowymi, semickimi. Przypisali także całkowicie niezrozumiałe zdarzenia minionego już świata bogów Bogu nowemu jedynemu.

Podobne operacje kosmetyczne przeprowadzono również w świecie arabskim w religii islamskiej. Mahomet potępił kult bogów starożytności uprawiany w czasach przedislamskich, używając tak przerażających gróźb, że dawniejsze podania - jeżeli w ogóle się zachowały - niezwykle trudno powiązać z rzeczywistością na podstawie imion i dat. Nic dziwnego, że arabscy uczeni w okresie powstawania islamu nie zdobywali się prawie nigdy na odwagę wymieniania starych podań - Allah karał przecież bezlitośnie wszystkich odszczepieńców.

To samo zdarzyło się i wówczas, gdy posłannicy chrześcijaństwa nawracali Indian w Ameryce środkowej. Zlikwidowano wszystkie pogańskie wierzenia - obowiązująca i słuszna była tylko religia nowa, stara zaś nieważna i fałszywa.

Zakrawa prawie na cud, że mimo to na wszystkich tych obszarach pojawiali się kronikarze, którzy w tajemnicy spisywali stare legendy, przekazując je tym samym przyszłym pokoleniom. Dzieła takiego dokonał między innymi Ibn al-Kalbi, a praca jego nosi tytuł *Kitab Al-Asnam*, czyli *Księga bóstw*.

Przez przytaczanie imion i dat al-Kalbi starał się zapewnić podaniu atmosferę

wiarygodności.

"W imieniu Allaha najlitościwszego.

Szejk Abū 'l-Husain al-Mubarak ben Abd al-Gabbar ben Ahmad as-Sarafi

opowiadał nam... gdy ja słuchałem... że - gdy ismâ'il, syn Ibrahima (obu

niech Bóg błogosławi), mieszkał w Mekce i urodziło mu się tam dużo dzieci,

tak że wypełniły Mekkę i wygoniły z niej Amalekitów - wkrótce Mekka stała się

dla nich za ciasna. Doszło między nimi do walk i nienawisci i jedna ich część

wypędziła drugą...

Doszło do tego, że poczuli się modlić, jak im się podobało... Modlili się

więc do wizerunków bóstw, zwracając się ku religiom ludów istniejących przed

nimi, i wydobyli z ukrycia bożki, które czcił lud Noego (niech będzie

błogosławiony!), opierając się na pamięci, która wśród nich przetrwała."

W Księdze Bóstw można znaleźć również historię nawiązującą do postaci

pierwszego człowieka. Dzieci Seta, jednego z synów Adama, sporządziły Pięć

posągów bóstw, czczonych podobno jeszcze za czasów Noego. W końcu wody

potopu splukały posągi aż na brzeg morza w Dżiddzie. Mieszkańcy nizin

znaleźli owe figury i czcili je nadal - zwały się one Wadd, Sowa, Jaghut,

Ja'uk i Nasr. Opisano je dokładnie i przypisano plemionom, które się do nich

modliły. O bożku Wadd mówiono:

"Wadd był posągiem wielkiego mężczyzny, największego, jaki tylko może

być mężczyzna. postać była okryta dwiema szatami, wykutymi w kamieniu...

Wadd miał nadto miecz oraz łuk przerzucony przez ramię. Przed sobą trzymał

włócznię z proporcem i skórzany koleczan pełen strzał."

Nie są to więc tylko urojenia wschodnich bajarzy. W Księdze bóstw czytamy

na przykład, że Nasr był "ustawiony w pewnej miejscowości kraju Saba, zwanej Bal ha, gdzie służyli mu ludzie narodu Himjar (Himjaryci - południowoarabski lud z czasów przedislamskich. Stare inskrypcje południowoarabskie są określane jako himjaryckie.) i ludy sąsiednie". I rzeczywiście na obszarze zajmowanym niegdyś przez królestwo Sabejczyków znaleziono himjaryckie inskrypcje, zawierające linię Nasr. Wprawdzie to tylko legenda, ale informacja dotycząca terenu, na jakim czczono Nasra, wcale nie była błędna.

Trochę to przykre dla uczonych, którzy w legendach chcieliby widzieć wyłącznie coś w rodzaju starożytnej literatury science fiction. Podobnie twierdzi zresztą Wemer Daum, jeden z najwybitniejszych znawców Jemenu, pisząc o analizie postaci bóstw południowoarabskich:

"Właśnie tu otwiera się jakże szerokie pole dla spekulacji i właśnie dlatego nie istnieje inna dziedzina wiedzy, której przedstawiciele byliby od dawna tak ze sobą skłóceni, jak nauka zajmująca się południowymi rejonami Arabii".

Prom kosmiczny "Columbia" potwierdza prawdziwość legendy

"Doświadczenie to okulary rozumu" brzmi arabskie przysłowie. Tylko przez jakie okulary oglądać przeszłość? Znam uczonych, którzy najchętniej wydaliby legendy na pastwę płomieni w pseudonaukowym auto da fe - żeby móc się potem opierać wyłącznie na faktach historycznych. Ten sposób pojmowania "wiedzy" może się utrzymać tylko do chwili, gdy światło dzienne ujrzą

inskrypcje, posągi albo budowle, co do których nie było dotychczas żadnych świadectw sprawdzonych historycznie.

To, Co określa się mianem "sprawdzonego historycznie", w momencie całkowitego zaskoczenia wymaga mimo wszystko sprowadzenia przeklętych legend na pomoc w poszukiwaniach. Czy bowiem nawet ich najzacieklejszy przeciwnik zaprzeczy, że legendy były nierzadko bodźcem do rozpoczęcia prac archeologicznych? (Schliemann!) O tak, istnieją prawdy "legendarne", które niczym grom z jasnego nieba zmieniają całe krajobrazy nauki. Od dawien dawna na przykład istnieje legenda, przekazywana przez arabskich bajarzy ludowych, która opowiada o Bahr-Bela-Ma, wielkich rzekach płynących przez Saharę. Miały one być szersze od Nilu, a nad ich brzegami rozwijała się wysoka kultura. Bezsens, fata morgana, ludowe bajdy - tak brzmiała ocena fachowców. W listopadzie 1982 roku misja amerykańskiego wahadłowca "Columbia", która dysponowała specjalistycznymi urządzeniami radarowymi, potwierdziła prawdziwość tej legendy. Pod powierzchnią Sahary istnieją koryta pradawnych rzek, które miały do 15 kilometrów szerokości. Próbné wiercenia doprowadziły do wydobycia żwiru rzeczno-jeziornego już z głębokości kilku metrów. Archeolog amerykański, Vance Haynes, uważa, iż po przeanalizowaniu wszystkich danych, dostarczonych przez "Columbię", będzie można stworzyć "pewnego rodzaju mapę dróg", łączących siedliska prehistorycznych grup etnicznych. Legendy są trwalsze od skóry, potrafią przetrwać w mumii, za których życia przekazywano niegdyś z ust do ust podania ludowe.

Tajemniczy pan Z. z Koranu

Koran, podobnie jak Stary Testament, jest niewyczerpanym źródłem tajemniczych informacji. Prawda, którą chce się wydobyć, znajduje się nie w intrydze opowiesci, lecz w jej sednie. Przed rozpoczęciem poszukiwań trzeba odpowiednio zorientować swój kompas, zadając następujące pytania: Co chciał nam naprawdę przekazać człowiek opowiadający legendę? Co poznał tylko ze słyszenia, Co zaś przeżył sam? Takie jest właśnie sedno przekazów, które wciąż dostarcza nam nowych niespodzianek.

Koran (Sura XVIII, w. 92 m.) opowiada historię o potężnym Zu'l-Karnajnie, który przybył do kraju Arabów. Nikt nie wiedział, kim jest nieznanomy pan Z. Jedna szkoła egzegetów Koranu przypuszcza, że był to Aleksander Wielki (356 - 323 prz. Chr.), druga z kolei twierdzi, że jego imię należałoby tłumaczyć jako "posiadający dwa rogi". Baśniowe zwierzę? Nieznany pan Z., jak podaje Koran, "poszedł inną drogą. / Az kiedy doszedł do miejsca / znajdującego się między dwiema zaporami, / znalazł za nimi pewien lud, / który zaledwie mógł pojąć jakąkolwiek mowę". Mimo wszystko lud ów jakoś się z panem Z. porozumiał. Poskarżył się na wojowników pustoszących kraj i spytał, czy pan Z. mógłby zbudować mur między ich ludem a wojowniczymi plemionami. Tajemniczy pan Z. odpowiedział wówczas: "udzielcie mi więc wydatnej pomocy, / a ja zbuduję między wami a nimi tamę. / Przynieście mi sztaby zelaza!" Tyle Koran, który nie przekazuje dokładniejszych informacji na temat pana Z. Nie wiadomo również, gdzie zbudowano ów mur.

Science fiction?

W swojej książce podróż do Hadramaut Adolph von Wrede zapisał pod datą 16

lipca 1843 roku:

"Ruiny 'Obne nie są ruinami miasta, jak to sobie megdyś wyobrażalem, lecz ruinami muru, który przeciągnięto w poprzek doliny, a następnie po zboczu niezbyt stromej góry... Przeznaczenie tego muru wyraża się już w samym sposobie jego poprowadzenia - zamykał on zapewne wejście do Wadi Hadlar i do Hadramaut... Określenie czasu, w jakim mur ten powstał, pozostawiam uczonym..."

Adolph von Wrede potwierdził tym samym prawdziwość legendy.

Szukając tunelu z Bainun

Wedle słów Koranu "demony" Salomona poza zbudowaniem trzech zamków dla królowej Saby wykuli jakoby tunel, który przechodził przez wierzchołek góry znajdującej się w pobliżu wsi Bai nun w Jemenie. Twierdzenie to, nie datowane, potwierdził w swojej książce Opisanie Półwyspu Arabskiego jemeński uczone Al-Hamdani (jego pełne nazwisko brzmi: Abu Muhammed al-Hasan ibn Ahmed ibn Ja'qub ibn Jusuf ibn da'ud al-Hamdani), zmarły w 945 r. po Chr. w więzieniu w Sanie:

"Przewiercono nawet Bainun, górę. Przewiercił ją jeden z himjaryckich królów, żeby wodę z leżących za nią terenów doprowadzić do okolic Bainun".

Ai-Hamdani przypisał tedy budowę tunelu pewnemu "himjaryckiemu królowi" niestety zapomnial wymieć jego imię. Miejscowość Bainun była w czasach

himiaryckich jednym z centrów władzy królewskiej.

Resztki królewskiego pałacu można podziwiać po dziś dzień, należałoby się więc spodziewać, że da się odnaleźć również ślady tunelu. Tyle przynajmniej udało mi się dowiedzieć. Szukając fotografii tunelu znalazłem tylko w przewodniku DuMonta zdjęcie kanału irygacyjnego z czasów himjaryckich. Zwiertzyłem jednak możliwość sprawdzenia prawdziwości legendy na miejscu. postanowilem zobaczyć Bai nun.

Czas narkotyku

Sana. Jadę do biura turystyki, wydającego zezwolenia na podróżowanie po Jemenie. Kierowca taksówki ma spuchnięty policzek. Robi mi się go żal. pomyślałem sobie, że nie powinien prowadzić, lecz pójść do dentysty, który od razu wyrwałby mu jeden z brązowych, zepsutych zębów. Patrzyłem na jego twarz, czy przypadkiem nie zacznie kurczyć się z bólu. Malowało się na niej jednak coś wręcz przeciwnego - świadczyła o rozluźnieniu i pogodzie ducha. Od czasu do czasu wsuwał sobie coś do ust i magazynował w torebce policzkowej. O drugiej zatrzymaliśmy się przed biurem. podszedłem do wejścia, ale powstrzymała mnie tabliczka z napisem CLOSED - zamknięte. W trakcie spaceru dotarłem aż na rynek.

Wszędzie mężczyźni siedzący w kucki - a wszyscy mieli wypchane policzki.

Na jednej z ulic, przed sklepem, młodzieniec z dwoma wypchanymi policzkami wytrzeszczył na mnie szklane oczy i podał pęczek jakiejś zieleniny. Czy to

liscie koki, jakie żują Indianie w Peru i w Boliwii?

Zacząłem kartkować przewodnik i po chwili przeczytałem: "Codziennie między pierwszą a piątą po południu życie publiczne zamiera. Przy tym kilmacie i wysokości n.p.m. konieczna jest przerwa na odpoczynek, w którego trakcie mieszkańcy oddają się przyjemności przeżuwania liści czuwaliczki jadalnej".

Nie jest to jednak wcale związane wyłącznie z naszymi narkotycznymi czasami. Już bowiem przed pięćdziesięciu laty podróżnik-badacz Hans Relfritz, który w Sanie dostał się do więzienia, pisał:

"Najczęściej około piątej zbierali się wszyscy, była to bowiem godzina żucia czuwaliczki, uwalana tu za równie świętą jak w krajach Zachodu godzina picia herbaty. Czuwaliczka jest równie niezbędna dla Arabów z południa jak Koran. Jest to narkotyk. Jemeńczycy jednak nazywają go eliksirem życia. Zwyczaj żucia czuwaliczki jest powszechny w całym narodzie, holdują mu więc prawie wszyscy - mężczyźni, kobiety, dzieci..."

Czuwaliczka jest narkotykiem. Jemeńczyk uspokoja się pod jej działaniem, robią mu się szklane oczy, a podobno nawet jaśniej myśli w stanie odurzenia.

Aż 90% ludności - prawie wszyscy więc, aż po oseski - odprężają się w trakcie popołudnia w ten sam sposób. Liscie czuwaliczki rozgniata się zębami na miazgę, z której językiem robi się grudę wielkości jaja i przetaczają następnie z jednej strony ust na drugą, nasycając śliną, wysysając i bezustannie uzupełniając świeżymi liśćmi. Tubylcy nazywają nawet żartobliwie narkotyk "jemeńską whisky". Ze swoich doświadczeń mogę powiedzieć, że pijąc whisky nie trzeba aż tak wiele czasu, żeby znaleźć się na haju - muszę jednak dodać, że po "jemeńskiej whisky" człowiek nie ma kaca, podobno nie

osłabia ona również postrzegania zmysłowego. Bez czuwaliczki nie da się tu zawrzeć korzystnego interesu. "Nawet dzieci są zdania, że nie poradzą sobie w szkole nie używszy wprzód czarodziejskiego ziela."

Wiejskie popołudnie na haju. Mężczyźni uzbrojeni w zakrzywione sztylety siedzą w kucki przed swoimi dormami, siorbią herbaty, palą papierosy i żują czuwaliczkę - sielski obrazek. Powiedziano mi, że czuwaliczka jadalna (*Catha edulis*) uprawiana jest w całym Jemenie, udaje się jednak najlepiej na terenach leżących na wysokości od jednego do dwóch tysięcy metrów. Pędy krzewów, pozbawione kwiatów osiągają wysokość dwóch-trzech metrów, mają kolor jasnozielony. Po piętnastu miesiącach od zasadzenia roślina wypuszcza pierwsze liście, które można zbierać trzykrotnie w ciągu roku. Zbiór przeprowadza się bardzo ostrożnie: liści się nie zrywa - odłamuje się delikatnie całe gałązki, które następnie wiąże się w pęczki. Czuwaliczka musi być świeża - tego samego dnia więc, a najpóźniej nazajutrz, dociera do konsumentów. Pęczek kosztuje w przeliczeniu około 40 franków szwajcarskich, jest to zatem narkotyk dość drogi. Według ocen ekspertów od rolnictwa Jemenczyk wydają na swoją codzienną przyjemność około miliarda franków szwajcarskich rocznie.

Dla Jemenu owo ziele dające poczucie szczęścia jest zarazem błogostawienstwem i katastrofą. Jako surowiec do produkcji leków eksportuje się je w bardzo niewielkich ilościach. Wszystkie kraje sąsiednie nie pozwalają na jego wóz. W Arabii Saudyjskiej używanie czuwaliczki podlega surowym karom. A do tego uprawia się ją na glebach najwartościowszych - choć należałoby je przeznaczyć pod uprawę roślin jadalnych bądź kawy, która w Jemenie udaje się

znakomicie.

Zezwolenie na podróż do Bainun rozwiał się więc na razie we mgle czuwaliczki. Kupiłem pęczek i wraz z moim współpracownikiem Ralfem, który jest z zawodu chemikiem, poszedłem do hotelu, żeby spróbować zielska.

Umyliśmy liście - już samo to było najprawdopodobniej błędem, bo pozostawiły żółtawe ślady na ręczniku, gdzie położyliśmy je, aby obeschły. W zasięgu ręki postawiliśmy butelkę wody mineralnej i zaczęliśmy dzielnie żuć. Smakowało obrzydliwie - jak wyciąg z surowego szpinaku i liści laurowych: jest to jednak bardzo delikatne określenie prawdziwego smaku. Liście szybko rozpadały się rozpuszczały, stając się oleiste gorzkie. Naśladując ludzi widzianych na ulicy przetaczaliśmy obrzydliwe kluchy w ustach, dorzucając co chwila świeże liście. W końcu Raif spytał:

- Czujesz coś?

- Nic!

Z nadzieją żuliśmy pracowicie dalej. Gdy nadeszła pora kolacji, mieliśmy dość. Czulem tylko nieco przyśpieszony puls i miłe mrowienie w głowie, mój umysł jednak wcale nie stał się "nadzwyczaj klarowny".

Być może jeden pęczek to za mało, żeby wznieść się na wyżyny, w każdym razie ten odjazd zapewnił nam przynajmniej głęboki sen, z którego obudziliśmy się bez bólu głowy czy innych dolegliwości.

Przed wyjazdem kupiliśmy jeszcze jeden ładny pęczek. Ralf zapakował go troskliwie do plastikowego pojemnika, żeby w kraju przeprowadzić analizy zielska. Zainteresowanym podaję wynik:

Cathin [(+)-amino-2-phenil-1-propanol] C₉ H₁₃ NO,

Cathinon (a-Aminopropiophenon),

40 dalszych alkaloidów oraz różne sterole.

- Po co chcą panowie pojechać do Bainun? - zapytał nazajutrz urzędnik w biurze Tourist Corporation.

- Obejrzeć tunel zbudowany przez himjaryckich królów albo przez demony Salomona.

- Wiedzą panowie, gdzie to jest?

- Kupiłem mapy w Muzeum Narodowym - powiedziałem, wskazując na nazwę Bainun, widoczną na niej dość wyraźnie.

- Z czymś takim w ogóle nie warto zaczynać. Będzie panom potrzebny wóz terenowy, kierowca i przewodnik!

Pamiętając "przewodnika", który towarzyszył nam do Maribu, a który nie znał ani słowa po angielsku, poprosiłem urzędnika, żeby przydzielił nam kogoś, kto zna ten język - bądź niemiecki, francuski, włoski, hiszpański czy holenderski. Urzędnik wykazał zrozumienie dla mojej prośby. Przynależał, że jeśli podpiszę stosowną umowę z właścicielem samochodu, który odwiezie mnie potem do hotelu, to jutro o szóstej rano będzie tam czekał samochód z kierowcą i przewodnikiem.

Koło siódmej wieczorem urzędnik pojawił się w hotelu, żeby pojechać wraz ze mną do właściciela pojazdu. Tam zaproponowano mi krzesło i gorącą herbatę, co zapowiadało dłuższe petraktacje. Jemeńczyk żując czuwaliczkę rzekł Good evening i zamienił się w słuch - sprawiło to, że owiadnęła mnie iscie

orientalna elokwencja i przyłączając coraz to nowe argumenty wygłosiłem mowę prosząc o przydzielenie mi całkowicie pewnego samochodu z kierowcą, który bezwarunkowo mówiłby po angielsku. Mężczyzna żuł, przypatrując mi się w milczeniu, również urzędnik milczał życzliwie. Potem dumny posiadacz samochodu zwrócił się z arabską swadą do urzędnika. Ten z kolei odpowiedział mu w nie mniej karkołomnie długich zdaniach - w końcu po pojedynku słownym trwającym dłuższą chwilę poinformował mnie, że właściciel samochodu, nie władający w żadnym razie angielskim, jest gotów zawrzeć ze mną umowę. Po grze pytań i odpowiedzi, tłumaczonych dzielnie przez urzędnika, nastąpił koniec tej nie kończącej się gadaniny - spisałem po angielsku umowę: Jutro o szóstej rano przed hotelem będzie czekał samochód terenowy w nienagannym stanie technicznym oraz kierowca i przewodnik, mówiący po angielsku. Suma na opłacenie samochodu, dwóch ludzi, ubezpieczenia, paliwa i bakszyszu: 200 dolarów USA dziennie.

7:30. Z arabskim opóźnieniem przed hotelem pojawia się nasza wspaniała drużyna - kierowca z zakrzywionym sztyletem u boku i przewodnik pod krawatem. po trzydziestu próbach wiem, że dumny guide nie zna ani słowa po angielsku ani w żadnym innym języku poza arabskim. W ręku ma karton z pytaniami napisanymi po angielsku:

"Jak się panu powodzi?", "Gdzie chciałby pan się udać?", "Czy jest pan głodny?" Bezsensem byłoby rezygnować teraz z podróży. Ruszamy.

Właśnie weszło słońce, a Sana zapłonęła w rozproszonym czerwonym świetle. Zalsniły kolorowe domy z oknami obwiedzionymi bielą tak świeżą, jak gdyby w nocy je pomalowano.

Szczególna droga

Ruszyliśmy z Sany na południe dwustuczterdziestokilometrową asfaltową drogą pierwszej klasy. Przypomniala mi się historia jej budowy. Mój rodak, dr Heinz Rudolf von Rohr, opisał ją w tekście dołączonym do wspomnianego albumu: W 1958 roku w Chinach dokonywał się "wielki skok". Chińczycy zapoczątkowali "wielki skok" również w Jemenie. W ramach pomocy gospodarczej zbudowali drogę prowadzącą z Sany do portowego miasta Al-Hudajda, leżącego nad Morzem Czerwonym. Mieli wprawdzie mnóstwo problemów we własnym kraju, tu jednak uparcie i dokładnie realizowali gigantyczne przedsięwzięcie - droga prowadziła przez rozpaloną słońcem pustynię i wysokie góry. Praca chińskich inżynierów zasługuje na najwyższą pochwałę - musieli pokonać różnice wzniesień dochodzące do 3000 m. Rudolf von Rohr pisze ze zrozumianym zdziwieniem, że Chińczycy "podczas całej budowy, trwającej cztery lata, ani razu nie próbowali wywierać bezpośredniego nacisku na polityczne losy Jemenu".

Rosjanie nie mogli jednak patrzeć spokojnie na rejony świata, w których działają Chińczycy. Zaproponowali więc Imamowi realizację projektu drogi, która połączyłaby Al-Hudajdę z Talzem. Budowano ją w latach 1966 - 1969. Podobno Rosjanie postępowali nieco mniej dyplomatycznie od Chinczyków. Rudolf von Rohr: "Panuje opinia, że zachowywali się często jak panowie; dużo pili, nie była to jednak wcale jemenska herbata - i mieszała się do

wszystkiego".

No dobrze. Ale wobec tylu "czerwonych" kilometrów dróg nie mogli próżnować także Amerykanie. Przedłożyli Jemenowi projekt drogi z Sany do Zamaru i Taizu. W końcu doszło do politycznej wymiany ciosów. Amerykanie, którzy byli już bardzo zaawansowani w przygotowywaniu podłoża drogi, musieli wyjechać. Wówczas pojawili się Niemcy, którzy na początku lat siedemdziesiątych ukończyli budowę rozpoczętą przez Amerykanów. Jedziemy właśnie tą drogą.

Bainun leży nie wiadomo gdzie

Zaraz za Saną droga wśród gór i skal przywodzi mi na myśl krajobraz, jaki mija się jadąc z Limy do Ica w Peru. Gdyby nie linia wysokiego napięcia, biegnąca wzdłuż całej trasy, można by zapomnieć o cywilizacji i wyobrazić sobie, że człowiek znalazł się w rejonie nie tkniętym ludzką stopą. Pola i ugory, pustynia i plantacje czuwalczyki, i - jak to w Jemenie - uzbrojone kontrole drogowe. Po sześćdziesięciu kilometrach jazdy mijamy miasto Mabar, a potem znów tylko odłogi i pustynia.

W głowie naszego przewodnika rodzi się myśl, którą próbuje wyrazić w żargonie arabsko-angielskim, a może angielsko-arabskim: chciałby się od nas dowiedzieć, gdzie właściwie leży Bainun?! Musiałem parę razy głęboko odetchnąć, żeby mnie nie poniosło. Najspokojniej jak tylko się dało, powoli i dobitnie stwierdziłem, że to przecież on miał nas tam

doprowadzić. Powinien wiedzieć, gdzie leży cel naszej podróży. Rozłożyłem przed nim mapę drogową i palcem wskazałem Bainun. Pelen godności cicerone w czarnej marynarce i pod gustownym żółto-zielonym krawatem nie zrozumiał - tępe spojrzenie świadczyło o tym, że w ogóle nie zna się na mapie. Zagadał coś do kierowcy, który ku mojemu utrapieniu cały czas prowadził wóz jedną ręką, drugą zaś piescił swój sztylet. Wiedząc jednak, że jesteśmy na właściwej drodze, machnąłem ręką i poleciłem jechać dalej. Zanim udało nam się dotrzeć do Zamaru silnik zachłysnął się i zgasł. Defekt? Nie, skończyło się paliwo. Nasz tępy kierowca nie zatankował do pełna - dzięki Bogu w samochodzie znalazł się pełny kanister, po 80 kilometrach udało nam się jakos dotrzeć do stacji benzynowej. Insz Allah.

Dzięki przewodnikowi Du Monta zdołałem ustalić, że 30 km na wschód za Zamarem powinniśmy odnaleźć drogę - na naszej trasie nie było drogowskich, nie dysponując więc danymi dotyczącymi przejechanej odległości błakalibyśmy się bez cienia nadziei. Spojrzałem na licznik kilometrów, stuknałem kierowcę w ramię i wykonując delikatne ruchy rękami, niczym dyrygent nakazujący orkiestrze zejść do pianissimo, poleciłem zmniejszyć szybkość, a następnie przy pomocy kompasu ustaliłem strony świata. Jak twierdzi przewodnik DuMonta, dokładnie na trzydziestym kilometrze rozpoczyna się szlak - właściwie dwie koleiny w piasku - skręcający na północ w pustynię. Od tej chwili nie pomoże nam nawet mapa, nie oznaczono na niej przecież szlaków pustynnych. Ostatnia informacja: do Bainun dojeżdża się po około godzinie jazdy między górami Džebel Isbil a Džebel Dhu Rakam. Niezła wskazówka - obie mają na pewno nazwy wypisane na szczytach wielkimi literami. Pozostało nam

zdać się na los szczęścia.

W oddali widmeją sylwetki dwóch gór. Być może to wiasnie te, które wymienia przewodnik. Na polach pracują kobiety i mężczyźni. Zwracam uwagę naszemu cicerone, że mógłby przynajmniej zapytać o drogę. Poprawia krawat i wstaje z wyraźną niechęcią. Z twarzy ludzi dało się wyczytać, że o Bainun nie mają najmniejszego pojęcia.

Za to kierowca miał nosa - podjechał pod dwupiętrowy dom otoczony ogrodem, w którym rosła czuwaliczka, a następnie zachęcił przewodnika, żeby poszedł wraz z nim. Powrócili po kwadransie, prowadząc tubylca zasługującego na najwyższą uwagę. Człowiek ten miał u pasa największy i najpiękniejszy sztylet, jaki widzialem w Jemenie. Rogowa rękojeść była wysadzana kamieniami szlachetnymi - a może były to tylko kolorowe szkieleka - pochwa ze srebrnej blachy, szeroki pas zdobiony srebrnymi i złotymi niemi, do tego z bioder zwieszał mu się pas z nabojami. Człowiek ten trzymał pod pachą karabin z drugiej wojny światowej. Z brodatej twarzy patrzyły czarne oczy, na głowie miał zawiązaną białą chustę, jej konce spadały mu na plecy - na jasnoniebieską, długą szatę, pełną wielkich tłustych plam. Buty też były rekordowych rozmiarów - zaiste, człowiek ten wywierał niezapomniane wrażenie.

Nie zwracając na nas większej uwagi męski tercet egzotyczny wsiadł do auta.

Samochód jęczał wspinając się na nieskończenie rozległą wyżynę, jakby naszpikowaną czarnymi jak smoła skałkami pochodzenia wulkanicznego, murkami zrobionymi z tego samego materialu. Czas mijal. Z przewodnika wynikało, że do Bainun jest godzina jazdy. My tymczasem trzęśliśmy się już półtorej, omijając ziomy skalne i wydmy. Włączyłem się w ożywioną

rozmowę naszych Arabów, pytając: - Hej, Bainun?

Uzbrojony wyszczerzył żółte zęby i powiedział coś do swoich ziomków.

Jechalismy dalej. Gdy po kolejnej godzinie słońce stanęło w zenicie, obudziły

się we mnie wątpliwości, czy aby ci trzej mają choć blade pojęcie, dokąd

jedziemy. Zdecydowanie położyłem kierowcy rękę na ramieniu i rozkazałem:

- Stop! - Trudno ustalić, czy to przypadek, czy może pojął on najprostsze z międzynarodowych słów, w każdym razie wóz toczył się jeszcze przez chwilę,

po czym stanął. Wysiedliśmy. Ralf narysował w notatniku ruiny zamku,

naszkicował górę z wejściem do tunelu. Ja powtarzałem cały czas: - Bainun!

Bainun? - Arabowie patrzyli na nas bezradnie. Usypałem kopczyk z piasku, w

którym zrobiłem otwór. Nawet dziecko zrozumiałoby, o co chodzi - ale nie nasi

towarzysze. Człowiek w krawacie był - może to niegrzeczne, ale niestety

prawdziwe - po prostu głupi, a kierowcy było i tak wszystko jedno, dokąd

jedzie. Tylko uzbrojony zachowywał dobry nastrój - wciąż mówił

i gestykułował. Cui bono? - komu to miało przynieść korzyść?

- pytał niegdyś mądry Cyceon. Wsiedliśmy i pojechalismy dalej. Gdy

dotarłismy do skraju wyżyny, okazało się, że w dół prowadzi kręta droga,

ledwie dostrzegalna pośród skal. Gdzie jesteśmy? Z bezludnej

piaszczysto-skalnej pustyni wyrosiły nagle przed nami brązowe gliniane chaty

w dolinie pełnej zielonych pól. Uzbrojony chrząknął: Bainun! - po czym lufą

karabinu wskazał ruiny zamku widoczne pod słońce.

Następnie milczący tercet zniknął w jednej z chat. Po chwili trójca powróciła

niosąc pęczek czuwaliczki. Aha, już pora!

Nareszcie u celu - zamek w Bainun

Mimo wszystko jednak nasi towarzysze zachowali się godnie. Choć

W ustach przewalaly im się bezustannie kluchy zielska, zaprowadzili nas

po stromym zboczku prosto do zamku w Bainun. Tam nareszcie mogli

w spokoju zaznać radości przeżuwania.

Potężny zamek był rzekomo jedną z "genialnych fortyfikacji, jakie zbudowano

za czasów króla Salomona". Austriacki orientalista, David Heinrich Müller

(1846-1912), przywiózł do Europy wiersze, które napisano dla uświetnienia

zamku. Poeta Alqama pisał niegdys:

"A Bainun i Salbin leżą teraz w gruzach, podczas gdy ich pan rządził niegdys światem".

Wiersze te zawierały również ostrzeżenie:

"Biada temu, kto ujrzy Bainun leżący w ruinie, a kamienne gmachy będą beziudne i puste.

Teraz lisy tylko są mieszkancami palaców, gdzie chronili się poddani, którzy

niegdys byli u władzy, i obecni władcy, którzy osiwiali będąc u władzy".

Ujrzeliśmy więc przed sobą ruiny palaców zbudowanych przez "demony" króla

Salomona dla królowej Saby.

Demony te, czy też geniusze, były cudotwórcami! Świadczą o tym choćby

elementy, jakich użyto do budowy: kamienne bloki o wadze do kilku ton,

dokładnie oszlifowane i pasujące do siebie jak ulał. pomyslmy tylko o

średniowiecznych zamkach Europy, trwających uparcie niczym orle gniazda na

szczytach gór. To, co powstało tutaj, wydaje się przeciwieństwem tamtych budowli - prawdziwa wielkość wobec drobiazgu. Tu spiętrzone monolity! Doświadczenie zdobyte w innych częściach świata, przede wszystkim na wyżynach Peru i Boliwii, pozwoliło mi ocenić te kamienie: dolne ważyły zapewne co najmniej po dwadzieścia ton! Jaka technika umożliwiła realizację takiej budowli? Przy pomocy jakich podnośników, dźwigów i wind transportowano ciężary na taką wysokość? Od dna doliny do szczytu góry jest 200 metrów.

Nie zamek jednak był celem moich poszukiwań, lecz tunel, o którym mówią legendy.

Znów musieliśmy podjąć denerwującą rozmowę na migi. Znów z drobnych kamieni zbudowałem wzgórek i zacząłem wskazywać na jego środek.

Uzbrojony pokazał karabinem góry, a potem wycelowal jeszcze nieco wyżej i przytaknął. Aha! Samochodem nie dojedziemy. Ralf i ja zarzuciliśmy więc aparaty fotograficzne na ramię i ruszyliśmy stromą ścieżką na szczyt. Ani śladu tunelu. Gdy zeszliśmy z powrotem, pokazałem uzbrojonemu fotokopię, którą przywiozłem ze sobą. Nie było na niej wprawdzie tunelu, był za to kanał, który doń prowadził.

W oczach blyszczących od narkotyku zaplonyło słabe światelko. Uzbrojony skinął głową i przepadł w podziemiach zamku. po chwili wrócił, prowadząc ostrożnie jakiegoś starca. Ten wszystko zrozumiał. Powiedział coś spokojnie do rodaków, wskazując na doliny i na niewidoczny punkt, który zapewne opisał. gdybysmy nie wiedzieli, że czuwaliczka sprowadza na człowieka niezwykłą jasność umysłu i spokój ducha, to zaniepokoiłby nas pewnie fakt, że kierowca

z oczami w slup zbiera się do odjazdu. Pojechalismy ścieżką dla zwierząt, biegnącą wzdłuż urwiska - tak wąską, że lewe koła samochodu toczyły się skrajem przepaści. Nic się jednak nie stało, bo inaczej nie siedziałbym teraz przy swoim biurku.

Gdy samochód okrążył podnóże góry, nasz widok przykula pionowa sciana skalna widoczna w oddali. Za chwilę tam dotarliśmy. To zdumiewające - przed nami stała góra przecięta przez "demoną". A nawet jeśli, jak na przykład ja, nie wierzy się w "demony", "geniusze", to mimo wszystko trzeba przyznać, że pracowały tu istoty genialne.

Górną część wrębu - z prawej i z lewej strony sciany skalnej - była gładka, dolna połowa z nie ociosanych kamieni sprawiała wrażenie, jak gdyby z biegiem lat odpadły od niej wypolerowane płyty, jakie zachowały się jeszcze u góry.

Na koncu wąwozu rozpoczyna się tunel, ciemna dziura, nad jego wejściem tkwi wypolerowany, ogromny cios kamienny o porządnie obrobionych krawędziach.

Sprawia wrażenie, jakby nie zaznaczono go w skale, lecz w nią wmontowano.

Rozciągnęliśmy tasmę mierniczą: od strony wschodniej wejście ma szerokość 3,37 m, wysokość 3,48 m.

Gdy byliśmy zajęci pomiarami i robieniem zdjęć, wstrząsnęła nami nagle potężna eksplozja - po chwili zobaczyliśmy chmury prochowego dymu.

Przycupnąwszy doszliśmy do wniosku, że jednak nie do nas strzdano. Zapewne człowiekowi z karabinem cholernie zielsko uderzyło do głowy, dał więc ognia w ciemną głąb tunelu. Ponieważ rykoszety, odbite od twardej skały, są równie nieprzyjemne jak trafienia bezpośrednie, przytuliliśmy się do sciany. potem jednak - odważnie, jak na Szwajcara przystało - ruszyłem w kierunku strzelca.

Poprositem gestami, żeby mi dał karabin, a nastypnie wycelowalem do występu z trzech kamieni. Allahowi niech będą dzięki! Trafilem w najwyższy. Jemeński Wilhelm Tell zamarł na chwilę ze zdumienia, potem zaczął strzelat - żeby pokazać, jakim to i on jest dobrym strzelcem - ale już w innym kierunku. Gdy skonczył, ustawił się do fotografii.

Po omacku szliśmy przez tunel. Zakręcał lekko w prawo, nie było więc nawet widać swiatełka z przeciwnej strony. Zmierzyliśmy długość krokami - wyszło nam około 160 metrów. Wylot zachodni ma wysokość 5,92 m, a szerokość 3,03 m. Samo wejście znajduje się w skale kilka metrów nad ziemią. po tej stronie ani śladu jakiegokolwiek kanału czy niecki wypadowej.

W oddali, po lewej, witają nas ruiny zamku, z tunelu nadal rozbrzmiewają salwy naszego towarzysza. Wspaniale.

Tak zwany kanał zaczyna się tam, gdzie konczy się tunel skalny, ciągnie na południe wzdłuż zbocza, wznosząc się powoli coraz wyżej, wyżej. W najszerszym miejscu ma 2,94 m szerokości, w najwęższym 2,46 m. Specjaliści z Niemieckiego Instytutu Archeologicznego są zdania, że "kanał ten przejmował wodę spływającą ze zbocza góry i kierował ją przez zachodnie ujście w kierunku pól leżących w Wadi al-Galahim". Ponieważ woda gromadzona w dolinie zachodniej nie zapewniała dostatecznego nawadniania pól uprawnych, konieczne było sprowadzenie wody z doliny sąsiedniej. Dlatego zbudowano kanał i tunel. Ale interpretacja ta wcale nie rozwiązuje zagadki do końca.

Bez wątpienia - w okresie pory deszczowej i podczas gwałtownych ulew woda plynela kanałem i tunelem. Mimo wszystko jednak nie potrafię sobie wyobrazić, żeby wszystko to zbudowano od samego początku jako system irygacyjny

zaprojektowany nieco na wyrost.

Jesli archeolodzy twierdzą, że woda spływająca ze wschodniego zbocza była kierowana kanałem, to mogę na to odpowiedzieć, że stok wschodni nie mógł zapewnić kanałowi odpowiedniej ilości wody, bo jego wlot znajduje się na to za wysoko. Poza tym nie ma tu wcale idealnie nieprzepuszczalnego podłoża - powierzchnia góry jest porowata, woda wsiąka w nią albo też spływa małymi strumyczkami w dolinę. Kolejny argument przeciwko "oficjalnej" opinii wynika z faktu, że sciany kanału są wyższe od strony góry niż od strony doliny!

Jesli przyjmiemy, że woda ściekająca w dół miała być zatrzymywana po stronie doliny, to wystarczyłoby do tego skromny murek na stoku góry. Po cóż więc tak gigantyczne inwestycje?

Nawet jeśli spojrzeć na to wszystko z perspektywy dnia dzisiejszego, wyraźnie widać sprzeczności: tak samo jak niegdyś w dolinie Bainun uprawia się obecnie rolę, a woda dla doliny sąsiedniej byłaby równie mile widziana jak kiedyś. Zarówno kanał, jak i tunel są w stanie nie naruszonym. Czy nie wystarczyłoby więc w okresie gwałtownych opadów skierować do kanału wodę z rozszalalego potoku, pozwolić jej przepłynąć przez tunel, a następnie trysnąć wodospadem z przeciwległej sciany skalnej? Ani śladu takiej działalności. Woda zostawia ślady, wypłukuje podłoże - szczególnie gdy spada z wysokości dziesięciu metrów! Mam wrażenie, że archeolodzy przeoczyli coś w morzu faktów.

Bilokacja śladów

Mianem bilokacji określa się fenomen jednoczesnej obecności fizycznej w dwóch różnych miejscach przestrzeni. Zjawisko to jednak występuje tylko w legendach o świętych - postaci pojawiające się w tym samym czasie w wielu miejscach znikają, nie pozostawiając po sobie żadnych śladów. Król Salomon nie był zapewne świętym - choć tylko Bóg raczy wiedzieć, jak było naprawdę. Musiał jednak tak czy siak być wszechobecny, poza tym pozostawił po sobie wyraźne ślady.

Rozważania na miejscu: Budowle, które nawet dziś zadziwiają tym, co po nich pozostało, zrealizowano w czasach prawie nie dających się zbadać metodami historycznymi. Nieznane są imiona budowniczych, nie wiadomo też, jakie środki techniczne stosowano podczas budowy, a bez wątpienia były one tutaj konieczne. Czy to nie dziwne, że gigantyczne budowle przypisuje się w legendach o królu Salomonie "demonom" i "geniuszom"? Jakże można bowiem wyjaśnić to, co żadną miarą nie dawalo się wyjaśnić? Bądź Co bądź legendy utrzymywały bairuriski tunel "przy życiu". A historia nic o nim nie mówi.

Czy interpretacja uznająca kanal i tunel za część systemu irygacyjnego może być bardziej przekonująca? Jeśli budowlę tę uznamy z kolei za inwestycję o znaczeniu strategicznym, to rzeczywiście możliwe było stosunkowo szybkie przemieszczenie oddziałów wojska z jednej doliny do drugiej: czas potrzebny na przejście na drugą stronę góry skracał się o pełne osiem godzin. A może inwestycja ta była pomyślana jako ewentualna droga ucieczki?

Tymczasem najistotniejsze jest znalezienie odpowiedzi na pytanie, co wspólnego z budową miał król Salomon i co wspólnego miała z nią królowa

Saby? Królowa występuje - w przeciwieństwie do Salomona, którego istnienie potwierdziły świadectwa historyczne - wyłącznie w legendach, za to bardzo wyraźnie. Najpierw jej matka ukazuje się w Maribie obok palacu z metalu i szkła, który równie nagle się tam pojawił - *simsalabim!* - jak zniknął.

Potem znów zaznacza swoją obecność w tym samym miejscu, tym razem podczas ślubu z królem Hadhadem (ojcem Bilkis).

Salomon zadał autorom legend przykrą zagadkę - ciągle znajduje się niespodziewanie w miejscach, w których ze względu na dzielącą je odległość absolutnie znaleźć się nie powinien. Co miesiąc odwiedza ukochaną, chociaż odległość między Jerozolimą a Maribem była nie do pokonania w tak krótkim czasie. Jako władca wiatrów obdarowuje królową pojazdem latającym w powietrzu. Już samo to byłoby cudem aż nadto wystarczającym na potrzeby legend. Ale to jeszcze nie wszystko. Legendzie bowiem nie wystarcza, że Salomon zajmował się - w takich miejscowościach jak na przykład Jerozolima, Marib i Bainun - realizacją budowli, które przetrwały całe epoki, budował także rezydencje i świątynie w dzisiejszym Iranie, w dzisiejszym Pakistanie czy w dzisiejszym Kaszmirze. Był wszechobcny, a poza tym pozostawił po sobie mnóstwo śladów.

Po przeprowadzeniu szczegółowych badań terenowych mogę oświadczyć, że w pobliżu Srinagar w Kaszmirze jest góra o nazwie Takht-i-Suleiman - Tron Salomona. poniżej dzisiejszego zamku, znajdującego się u jej podnóża, leżą monolityczne ruiny twierdzy, która jakoby była również dziełem Salomona. Miasto Srinagar jest położone u wylotu jeziora Wular w Dolinie Kaszmirskiej. Miejscowa legenda twierdzi, że Salomon przybył tu na swoim latającym tronie,

postawił zaporę na drodze rozszalałych wód i osuszył bagna. Dlatego też

Kaszmir jest niekiedy nazywany "ogrodem Salomona".

Na zachód od pakistańskiego miasta Dera Ismail Khan wznosi się na

wysokości 3441 m drugi Tron Salomona, a w północno-zachodnim Iranie trzeci,

na wysokości 2400 m. We wszystkich miejscach zwanych Takht-i-Suleiman

wodę i ogień otacza się kultem.

Niepokoje mnie tylko spokój ludzi, którzy nie odczuwają potrzeby przebadania

tych legend do końca. Jak to bowiem możliwe, żeby identyczna wizja pojawiała

się u ludów tak od siebie odległych? Etiopczycy znają wóz Salomona, "który

jechał przez powietrze", mieszkańcy Kaszmiru powtarzają legendę o "latającym

tronie" Salomona. Ludzie te odległe są od siebie o 5000 kilometrów w linii

prostej - droga przez góry i pustynie miałaby co najmniej 20 tysięcy

kilometrów. Dlaczego, u diabła, legendy tych narodów, które w przeszłości

zapewne w ogóle o sobie nie wiedziały, zawierają identyczne zdarzenia?

Czyżby miały wspólne źródło, z którego bazarze pili niczym z matczynej

piersi? Wizje i wyimaginowane demony nie zdołają jednak poruszyć

najmniejszego kamyczka, nie mówiąc już o tworzeniu tak monstrualnych budowli.

Miłosna kąpiel na wysokości

Wszystkie góry noszące nazwę Takht-i-Suleiman łączy jedno: były niegdyś

świętymi miejscami ognia i wody. ponieważ Takht-i-Suleiman, leżący w

północno-zachodnim Iranie, znajduje się prawie dokładnie w centrum

działalności Salomona, należy na miejsce to, jako reprezentatywne także dla innych gór o tej nazwie, zwrócić baczniejszą uwagę.

Nazwa tej góry wywodzi się z pewnej legendy. Na początku swojego romansu Salomon miał trudności ze zmiękczeniem serca oziębłej królowej.

Niezbyt wybredny w doborze skutecznych środków, odurzył ukochaną czarodziejskim napojem, a następnie porwał "przez powietrze" na Wyżynę Perską. Zatrzaszczył się również o odpowiedni komfort: na szczycie znajdowało się gorące jezioro z wodą zawierającą związki mineralne.

Królowa zmęczona podróżą wzięła kąpiel, po której znalazła się wreszcie w nastroju pozwalającym jej odpowiedzieć na uczucia Salomona. Od tego czasu stożkowa góra z owalnym jeziorem nosi nazwę Takht-i-Suleiman. Tyle legenda.

Jeśli zaś chodzi o transport powietrzny, to Encyklopedia Islamu twierdzi, że "geniusze" Salomona "utkały" z zielonego jedwabiu czarodziejski dywan "dla powietrznych podróży". Wyruszywszy więc rankiem z Syrii król, lecący na dywanie wraz z całym swym uzbrojeniem, mógł dotrzeć wieczorem do Afganistanu.

Takle dziś najłatwiej dostać się na Takht-i-Suleiman śmigłowcem. Królową zauroczył zapewne już sam widok dzikiego krajobrazu. Piaskowzgórze znajduje się bowiem w rozległej okolicy pozbawionej lasów - w samym środku Azerbejdżanu, na południowy zachód od Maragheh w Iranie. Na wysokości 2400 m archeolodzy odkryli wzgórze z pozostałościami olbrzymiego muru, zbudowanego na obrysie okręgu - mur ten miał niegdyś długość 1100 m.

Na górze znajdowała się świątynia wody i ognia oraz pomieszczenia mieszkalne dla kapłanów, pokoje dla co wybredniejszych gości. Wszystko to, otoczone

fortyfikacjami, zajmowało powierzchnię dziesięciu hektarów. Od południa od północy prowadziły do środka dwie bramy główne. Budowla miała trzydzieści osiem wież. Taka ilość wież obserwacyjnych sprawia nieco dziwne wrażenie, zważywszy, że całość, widoczna z oddali, leżała na ściętym wierzchołku góry. W samym środku ruin, które można oglądać po dziś dzień, znajduje się jezioro górskie - to właśnie w jego ciemnoniebieskiej wodzie zawierającej siarkę odświeżała się królowa Saby. Jezioro mające głębokość 67 m zasilają podziemne źródła - przez cały rok utrzymuje się tam niezmienny stan wody. Osoby dobrze poinformowane utrzymują, iż istnieje podziemny system rurociągów, łączący to jezioro z jeziorami sąsiednimi.

Niegdyś w lśniącej powierzchni przeglądały się świątynie i domy, w których mieszkali kapłani. Przed stu pięćdziesięciu laty na północnym brzegu jeziora było jeszcze widać zachowaną kopułę świątyni, która później się zawaliła - wieńczyła ona czworokątną budowlę, mającą boki o długości 25 m każdy. Przetrwiała natomiast kolumna o średnicy pięciu metrów, która nadal jest dla archeologów zagadką. Kolumna ta bowiem nie służyła jako podpora kopuły - zadanie to spełniały cztery masywne czworokątne słupy - lecz niejako zagrażała wejście.

Zagadkę stanowią również inne miejsca święte, jeśli coś takiego można określić mianem świętego miejsca! Były to czworokątne pomieszczenia, mury miały do 2,4 m grubości, podłogi składały się z sześciu warstw cegieł, "nie laczonych zaprawą murarską, lecz pokrytych cienką i twardą warstwą masy stalaktytowej". Między ceglami odkryto ślady "czarnej masy podobnej do sadzy" - taką samą zauważono też w kanałach przy bramie głównej. Do

pomieszczeń prowadził czamy tunel, wyłożony ceglami. Dziś zatłoczony jest piaskiem naniesionym przez wodę. Same zagadki. Widocznie kiedyś do pomieszczeń tych wpompowywano wodę - ale dlaczego nie było stamtąd odpływu!

Zaryzykuję więc nasuwające się nieodparcie pytanie: Co jest skutkiem zetknięcia się ognia i wody? Oczywiście para. Już słyszę aprobatę archeologów:

rzeczywiście, były to łaźnie parowe! Ale przecież, drodzy państwo, do zbudowania takich łaźni nie trzeba stawiać murów o grubości 2,4 m, a poza tym po co - pomijając ewentualną turystykę masową - tyle łaźni parowych w miejscu tak trudno dostępnym?

Współczesna archeologia odkryła na Takht-i-Suleiman wiele następujących po sobie czasowo warstw oraz rozpoznała wiele różnych metod budowania. Mnie interesuje wyłącznie okres ostatni, wiążący się z postacią króla Salomona.

Zdarzyło się tu to samo, co w innych świętych miejscach na całym świecie: po zrealizowaniu pierwotnego projektu pojawiały się kolejne generacje, które zabudowywały bądź przebudowywały dzieło przodków. Największym problemem jest to, że pozostałości na Takht-i-Suleiman mówią bardzo niewiele

bądź prawie nic o budowlach najstarszych, ale monolityczny charakter murów obronnych oraz zachowanej do dziś "wieży nr 11" świadczy o tym, że wiek najstarszych budowli sięga daleko w przeszłość. Moje kolejne doświadczenie:

z im większych monolitów wznoszono daną budowlę, tym jest ona starsza.

Ludzie, którzy dopiero co wyszli z epoki kamiennej, męczyci się dźwigając ogromne bloki skalne zarówno we francuskiej Bretanii, na Malcie,

w starożytnym Egipcie w Anglii, jak i na wyżynie Peru; jednym słowem

wszędzie. Można powiedzieć nawet, że na początku budowano z kłoców, później zaś z klocków.

Czemu jednak miał służyć naprawdę obiekt wzniesiony na Takht-i-Suleiman?

W odległości około dziesięciu kilometrów od Tronu Salomona znajduje się krater wulkanu Zindan-i-Suleiman - Więzienie Salomona, w jego pobliżu jest także Takht-i-Bilkis - Tron Bilkis, a wreszcie, jakby do kompletu, na równinie Isfaryin znajduje się czworokątne rumowisko Szar-i-Bilkis - Rezydencja Bilkis!

Para wędrownych kochanków

Równie aktywnie jak w Jemenie działają nasze królewskie dzieci także w Jerozolimie i w Kaszmirze; pozostawiają po sobie wyraźne ślady również w Iranie. Jak to możliwe przy tak wielkich odległościach dzielących te kraje?

Na Takht-i-Suleiman archeolodzy znaleźli fragmenty sześcioramiennych ceramicznych gwiazd lazurowanych na żółto. Jest to rzecz godna uwagi, ponieważ według Encyklopedii Islamu - sześcioramienna gwiazda była "pieczęcią Salomona"; był to także jego herb.

Przebiegły Salomon posiadał również czarodziejskie zwierciadło, które "ukazywało mu wszystkie miejsca na świecie"! Było to zapewne lustro, jakiego brakuje naszym prorokom od pogody, którzy myślą się tak często - ów tajemniczy przedmiot bowiem, "złożony z różnych substancji", pozwalał Salomonowi "mieć wejrzenie we wszystkie siedem klimatów" - była to więc

bez wątpienia rzecz niezwykle przydatna przy podejmowaniu dalekich podróży powietrznych.

Al-Mas'udi (895-956), najwybitniejszy arabski geograf i historyk, zwany również "Herodotem Arabli", w swoich Kronikach napisał, że w zespole świątyn Salomona, znajdującym się na Takht-i-Suleiman, były cudownie pomalowane sciany, "ukazujące ciała niebieskie, gwiazdy i Ziemię wraz z kontynentami i morzami; kraje zamieszkane, ich roślinność, świat zwierzęcy oraz wiele innych zdumiewających rzeczy".

"Zdumiewających"! Oto właściwe słowo! Z przekazów można wyłowić zestaw następujących niesłychanych informacji:

- dla Salomona pracowały "geniusze" i "demony"; Salomon był "władcą wiatrów";
- posiadał zmechanizowany tron, przypominający robota;
- dysponował "latającym wozem";
- pokonywał największe odległości w niezwykle krótkim czasie;
- posiadał "czarodziejskie lustro" (radar meteorologiczny, obejmujący swoim zasięgiem cały świat);
- dysponował szczegółową mapą Ziemi.

"Wszystko, co wiemy, odnosi się do tego, czego nie wiemy" - Rahel Varnhagen von Ense (1771-1833).

Zadawać właściwe pytania...

"Zadawać właściwe pytania, znaczy wiele wiedzieć" brzmi arabskie przysłowie. Czy się chce, czy nie chce, nie można uchylić się od odpowiedzi na pytanie dotyczące prehistorycznych technik latania. Czy w ogóle było to możliwe? Profesor dr Dileep Kumar Kanjilal, renomowany znawca sanskrytu z uniwersytetu w Kalkucie, dał odpowiedź zdecydowanie twierdzącą. Udokumentował on zarazem swoją opinię informacjami zawartymi w staroindyjskich przekazach sanskryckich. Uczony oświadczył: źródła staroindyjskie potwierdzają w sposób jasny i wyraźny istnienie prehistorycznych urządzeń latających, napędzanych "miodem" czy, co bardziej prawdopodobne - "olejem".

Olej byłby wówczas paliwem idealnym - mógłby zarówno służyć do ogrzewania powietrza, dzięki czemu statek powietrzny się wznosił, jak i dostarczać ciepła do wytwarzania pary wodnej, stanowiącej medium napędowe. Dzięki odkryciom Kanjilala można więc w jasny sposób wytłumaczyć fenomeny antycznych statków powietrznych, pojawiających się w licznych legendach i opisach wielu ludów - od starożytnych Egipcjan po Majów w Ameryce Środkowej. Statek powietrzny na parę wodną pozostawiał za sobą smugi kondensacyjne - jak latające węże. Postuluję więc, żeby uznać za fakt, iż Salomon dysponował urządzeniami latającymi, którymi można było kierować. Być może były to sterowce na gorące powietrze napędzane parą wodną, a zaopatrywane w paliwo w kilku stacjach paliwowych - przepraszam! - w świątyniach znanych pod nazwą Takht-i-Sulelman, w których czczono ogień i wodę.

Jaką jednak rolę grała w tym wszystkim królowa Saby? Jak można wyjaśnić

jej tajemnicze pojawienie się wprost z nicności? Czy jedna z arabskich legend

nie mówiła o "mieście ze szkła i metalu", które pojawiło się "nagle"

w Marlbie i równie "nagle" i tajemniczo zniknęło?

Odpowiedź można znaleźć w miejscu najbardziej nieoczekiwanym - na Krecie.

Na tej niewielkiej śródziemnomorskiej wyspie nie tylko archeolodzy

podziwiają pozostałości istniejącej około 2000 r. prz. Chr. kultury

minojskiej, nawiązującej - jakże mogłoby być inaczej - do legendarnej postaci

króla Minosa, który był jednym z trzech synów mitycznego ojca bogów, Zeusa,

i jego równie mitycznej kochanki, Europy. W Leksykonie mitologii antycznej

Minos jest uznany za "najznakomitszego monarchy świata cywilizowanego".

Czytamy również: "Prawa, jakie wprowadził na Krecie, zostały mu jak

przekazane przez ojca, Zeusa". Mimo boskiego pochodzenia Minos miał jednak

rywali - jednym z nich był władca mórz, Posejdon. To właśnie on podarował

królowi Krety niezwykle pięknego byka - który, nawiasem mówiąc, wynurzył się

z morskich fal - na ofiarę dla bogów. Minos jednak odmówił złożenia byka w

ofierze. Posejdon poprzysiął mu zemstę. Sprawił, że Pazyfae, małżonka

Minosa, zakochała się w byku, spółkowała z nim i urodziła Minotaura - potwora

o ludzkim ciele i o głowie byka. Nie mogąc sobie poradzić z potworem, Minos

zaangażował Dedala - który musiał uciekać z Aten z powodu popełnienia

morderstwa - żeby ten zbudował dla Minotaura więzienie. Dedal zaprojektował

labirynt, z którego nie było ucieczki. Złośliwy Minos zapędził wynalazcę do

środku. Dedal jednak był nadzwyczaj utalentowany - dla siebie i swego syna

Ikara zbudował skrzydła, które mogły zanieść obu aż na Sycylię. Ludzie

mieszkający na Krecie mieli po prostu zdolności techniczne.

Ani stolica Kreta, Knossos, ani pałac Minosa nie były chronione fortyfikacjami. Nie było to konieczne. Trzy razy dziennie Tabs, olbrzym z brązu, okrążał wyspy obrzucając niepowolanych przybyszy glazami i ogniem. Od karku aż do stóp przechodziła mu przez ciało jedna żyła, zatkana brązowym czopem. Kogo tylko Tabs przycisnął do swojego rozżarzonego ciała, ten natychmiast umierał.

Królewska córka Medea, znajdująca się na czarach, która wraz z Argonautami płynęła po Złote Runo, wyciągnęła mu ze stopy brązowy czop zamykający żyły. Natychmiast wypłynął boski ichor, bezbarwny płyn, zastępujący Tabsowi krew - był to najprawdopodobniej olej - i potwór runął martwy na ziemię. Później zżarła go rdza.

Wszystkie legendy opowiadające o Minosie i o Minotaurze, o Talosie i o Dedalu, a przede wszystkim o labiryncie, zawierają w sobie pewien posmak utraconych technologii. Po dziś dzień król Minos pozostaje postacią mityczną. Po raz pierwszy wymienia go Homer w Iliadzie, utwór ten jednak powstał dopiero 700 lat po upadku kultury minojskiej. W każdym razie wiadomo, że około 1450 roku prz. Chr. na Krecie zdarzyło się coś niezwykle zagadkowego. Nawet archeologia nie potrafi do dziś uporać się z tym problemem. Wygląda na to, że przedstawiciele tej kultury rozplynęli się w powietrzu, ich budowle dotknęła jakaś klęska żywiołowa - przypuszczalnie trzęsienie ziemi.

Angielski archeolog Arthur Evans (1851-1941) rozpoczął na przełomie wieków szeroko zakrojone prace wykopaliskowe na Krecie. Prowadził je na własny koszt. W Knossos odsłonił najwspanialszy pałac wyspy, pochodzący z drugiego tysiąclecia prz. Chr. - drzwi zamykane kamiennymi płytkami,

pojemniki z otworami odpływowymi mające kształt wanien, lecz ani śladu rurociągu odpływowego; pełno schodów. Trzy ich ciągi znajdowały się w dziesięciometrowych odstępach od siebie, prowadząc na wielki taras zbudowany na dachu. Czy zdarzały się takie sytuacje, że wszyscy mieszkańcy palacu musieli udawać się tam jednocześnie? Evans odkrył wiele pomieszczeń magazynowych, w których stały gliniane pojemniki wielkości dwóch ludzi i dzbany opatrzone ornamentami przedstawiającymi ogleń. Profesor Hans Georg Wunderlich napisał:

"Już w przypadku pojemników 'normalnej wysokości' należałoby zadać sobie pytanie, w jaki sposób opróżniano je i czyszczono, bo nawet za pomocą bardzo długich czerpaków trudno dosięgnąć dna, także gdy człowiek stoi na krześle czy stołku. Jeżeli więc o to chodzi, to te ogromne pitoi (gliniane pojemniki) stawiają przed nami problem nie do rozwiązania - nie da się ich nawet przechylić...

Pojemniki tej wielkości trzeba było zrobić i ustawić przed zbudowaniem murów budowli. potem nie można ich już było wymienić. Dawały się napełniać i opróżniać tylko za pomocą węży, dzięki różnicy poziomów w naczyniach. Jakież to niepraktyczne - ustawiać takie naczynia w tak niedostępnym miejscu! Człowiek aż się odwraca z irytacją..."

Zirytowało to również Ralfa Sonnenberga, który zbierał informacje o Knossos, a o rezultatach swoich badań napisał w biuletynie informacyjnym AAS (Ancient Astronaut Society towarzystwo zajmujące się nie rozwiązanyymi zagadkami przeszłości. Bliższe informacje na ten temat - AAS, CH-4532 Feldbrunnen.):

"Każda z tych monstrualnych dzieży miała przeciętnie pojemność 586 iltrów.

Pojemników tych zaś było w zachodnim traktcie palacu 420, co oznacza, że mogły pomieścić w sumie 246 tyslecy iltrów".

Nie trzeba być archeologiem z długim stażem, żeby myśleć logicznie. Poza gilnianymi pojemnikami w zachodnim trakcie, które tak zirytowały profesora Wunderlicha, w całym palacu, a nawet obok niego, stały naczynia na olej, okreśiane nierzadko przez archeologów mianem "cystern". Miały one absurdalną wprost pojemność. Wyjaśnienie, że robiono tam takie zapasy na czas ewentualnego kryzysu, jest niezbyt przekonujące. Knossos nie obawiało się niebezpieczeństw, nie było nawet ufortyfikowane, bezpieczeństwo zaś od strony morza zapewniał miastu Taby z brazu, stale okrążający wyspy - poza tym przy panujących tu upałach olej jadalny zaraz by się zepsuł.

Zapasy oleju były zapasami materiałów pędnych!

"Zadna ofensywa nie jest równie trudna jak powrót do rozsądku"

postulował Bertolt Brecht (1848-1956).

Prowadzę więc ofensywy, wracając zarazem do rozsądku... a wkrótce spotkam królową Saby.

Sabejczycy, którzy zbudowali w Maribie zapory wodną i opanowali w tym rejonie handel kadzidłami, byli tożsami z ludźmi, którzy około 1450 r. prz. Chr. zniknęli bez śladu z Krety. Na pomysł ten nie naprowadziło mnie wcale nagle "oświecenie umysłu", lecz pracowitość i umiejętność kojarzenia różnych elementów starych przekazów.

Historyk rzymski, Plinusz Starszy urodzony w 23 albo 24 r. po Chr., a który zginął w 79 r. podczas wybuchu Wezuwiusza, napisał zgodne

z ówczesnym stanem wiedzy encyklopedyczne dzieło Historia naturalna - zebrał tam jak najstaranniej wszelkie informacje o lekarstwach, roslinach, drzewach, kamieniach, geografii i o ludziach, żyjących na Ziemi. Przed prawie dwoma tysiącami lat było to dzieło standardowe. W Księdze VI Pliniusz pisze o ludach zamieszkujących Arabię:

"Stolica atoli wszystkich jest Maryaba [Marib]. [...] Z Atramitami wewnątrz kraju graniczą Mineowie [...] wywodzący początek (jak miliemaja) od Minosa króla Krety [...]"

w Księdze XII Pliniusz podejmuje temat drzew rosnących w Arabli - najbardziej interesuje go przy tym kadzidłowiec. Z całej rozprawy pozwolę sobie zacytować krótki fragment:

"Z tym krajem graniczą Mineowie, inny naród, przez którego ziemie przeprowadzają kadzidła jedną tylko, i to wąską drogą.

Oni pierwsi zaczęli handel kadzidłami i dotąd najbardziej się nim trudnią; od nich też nazwano go minaeum. Prócz nich wszyscy inni Arabowie nie znają drzewa kadzidłowego, a nawet i z Mineów nie wszyscy je znają. powiadają bowiem, że nie ma więcej jak 3000 rodzin, które sobie prawo to spadkiem przywłaszczają".

Mocne słowa, ale chyba możemy wierzyć Pliniuszowi, archeolodzy bowiem cytują go stale - gdy tylko uznają, że może się to przydać. Przyznajmy jednak, że informacja jest porażająca. Trzeba przeczytać tekst kilka razy, żeby zrozumieć, co rzymski historyk mówi w sposób jasny i zrozumiały: Minejowie zaczęli prowadzić handel kadzidłem, "od nich też nazwano go minaeum". Dla Pliniusza Minejowie nie są wcale jakimiś tam handlarzami

z Krety, oni są Arabami! ("Prócz nich wszyscy inni Arabowie nie znają drzewa kadzidłowego...")

Tak, delikatna sieć wątków ze świętych ksiąg, legend oraz przekazów historycznych tworzy zupełnie wyraźny obraz. Nie lubię wprawdzie powtarzać tego, co już raz udokumentowałem, ale pozwolę to sobie jednak przytoczyć z grubsza ad memoriam.

"Strażnicy nieba", o których mówi prorok Henoch, zstąpili niegdyś na ziemię. Wszystkie najważniejsze i najstarsze przekazy pisane mówią o nich w tej czy w innej formie jako o pozaziemskich mistrzach z dalekich światów. Dysponowali oni najwspanialszą techniką, dlatego też ludzie uważali ich za "bogów".

"Bogowie" ci nie zawsze żyli w zgodzie - kłócili się, spierali, nierzadko nawet spiskowali przeciwko sobie. Jedną ich grupą manipulowała na Ziemi materia genetyczna - ludzka i zwierzęca - wskutek czego powstawały takie hybrydy jak centaury (półludzie-półzwierzęta) i ludzie ze zwierzęcymi elementami ciała (Minotaur). Jeszcze inna grupa istot pozaziemskich zapładniała piękne córki rodzaju ludzkiego: owocami tej działalności byli pojawiający się w starych przekazach "olbrzymi" i "synowie bogów", na przykład król Minos, potomek ojca bogów, Zeusa. Istniały też "Elohim" (postacie bogów) Starego Testamentu, "strażnicy nieba" Henocha czy boscowie bohaterowie staroindyjskiego eposu Mahabharata. Wszystkie te mityczne postacie dysponowały co najmniej częścią wiedzy technicznej swoich pozaziemskich ojców. Dlatego na Ziemi awansowali od razu na potężnych władców i królów - wprawdzie ich potomstwo traciło stopniowo tę wiedzę,

lecz nawet to, czym jeszcze dysponowało, pozwalało zadziwić pozostałą część ludzkości demonstracjami czarodziejskich zjawisk.

Król Salomon - żeby pozostać przy naszym bohaterze - odziedziczył po przodkach umiejętność budowy "latających wozów", opanował wszelkie triki techniczne, wiedział, jak wytwarzać narzędzia i dysponował najprawdopodobniej jakimś środkiem wybuchowym. Potężny, mądry i przebiegły, kazał zbudować palace w różnych rejonach Ziemi, wzdłuż tras swoich lotów założył również "świątynie" na szczytach gór - były to lądowiska, gdzie zaopatrywał się także w paliwo.

Jego koleżanka i ukochana, królowa Saby, niemalże dorównywała mu w umiejętnościach. Podobnie jak cały jej klan, była potomkinią syna boga, króla Minosa z Krety. I ona, i jej ludzie dysponowali wiedzą techniczną na tyle duża, żeby imponować otoczeniu. Minejowie stawiali świątynie na szczytach wysokich gór, a były to jednocześnie budowle przeznaczone i do innych celów - służyły jako stacje paliwowe i magazyny żywności czy punkty obserwacyjne, stanowiąc zarazem rzucające się w oczy punkty, według których mogli się orientować z powietrza latający potomkowie bogów.

Właściwie Minejowie żyliby sobie w pokoju i dobrobycie, gdyby nie pojawiające się co pewien czas trzęsienia ziemi, klęski żywiołowe, wobec których potomkowie bogów byli wprawdzie bezradni, lecz zarazem na tyle sprytni, żeby we właściwym czasie rozejrzeć się za nowym miejscem i nowymi źródłami dochodów. Dlatego właśnie rodzice królowej Saby pojawiają się tak nagle w Maribie razem z "miastem z metalu i szkła" i powiększają zasięg swojej władzy małżeństwem córki z miejscową wielkością. Zawładnąwszy

bezwładnie handlem kadzidłem, uprawiali na wielką skalę krzaki przynoszące niezwykle dochód. Minejowie - teraz Sabejczycy - stworzyli również cud techniki, zaporę wodną, zaczęli też budować - co było w tym rejonie całkowitą nowością - wieżowate budynki. Wbrew miejscowym tradycjom pozostali czcicielami gwiazd, będąc tym samym posłuszni określeniu Saba, co przecież znaczy "modlący się do gwiazd".

Salomon bacznie przypatrywał się rozwojowi królestwa Sabejczyków. Najbardziej irytowały go przy tym informacje o technicznych sztuczkach królowej. Czyżby dama ta dysponowała - podobnie jak on sam - tajemną wiedzą swoich boskich przodków? Kiedy się wreszcie spokali, stanęli gniewni naprzeciw siebie i zadawali sobie zagadkowe pytania. Tą krytyczną sytuację wyjaśniła w końcu miłość. Potem Salomon pomagał królowej przy konstruowaniu i realizacji ogromnych budowli, na które lud patrzył ze zdumieniem. Tego jeszcze nie było! powstała legenda o "geniuszach" i "demonach", pomagających przy budowie.

Ostatnie spotkanie Salomona i królowej Saby miało miejsce w Mieście Palm, Tadmurze (Tadmur (Palmyra) miasto w oazie na północy Pustyni Syryjskiej). Tam właśnie rozrzućny Salomon kazał wystawić dla swojej wielkiej miłości grobowiec. Nie zachowały się żadne informacje o jej śmierci, ale Muhammed-al-Hasan, biograf twórcy islamu, Mahometa, pisze, iż kalif Walid I odkrył w Tadmurze grób z następującym napisem:

OTO JEST GROB I KATAFALK

POBOZNEJ BILKIS

Kiedy na polecenie kalifa grobowiec otwarto, ukazał się widok mrożący krew w żyłach. Kalif kazał natychmiast zamknąć grób i nigdy go już nie otwierać.

Nad grobowcem wznosił budowlę.

Cóż przejęło kalifa taką grozą?

Grób Bilkis był grobem olbrzymki.

II. A Biblia nie ma racji

Sensacyjne odkrycie

Czasami ludzie potykają się o prawdę. Ale prostują się i idą dalej, jak gdyby nic się nie stało.

Winston S. Churchill (1874-1965)

Jest książka, która przeobrazi nasz świat - nawet jeśli będzie się próbowało ją przemilczeć. Specjaliści od Starego Testamentu - całe bractwo interpretatorów Biblii - cierpią teraz zapewne na bezsenność. Uśmiechają się

zakłopotani, a ich wypowiedzi cechuje arogancja. Reakcję tę przewidział odkrywca prawdziwej sensacji: "Jeśli nie uda się im zignorować mojej teorii, spróbują ją wysmiać. A jeśli i to im się nie uda, będą musieli zdrowo się napracować, żeby odeprzeć moje dowody. Chodzi mi właśnie o to".

Co się stało?

Prof. dr Kamal Sulaiman Salibi, Libańczyk urodzony w 1929 r., studiował historię w Bejrucie, doktoryzował się w Londynie, a profesorem został na renomowanej Uniwersytecie Bejruckim. Zanim napisał pracę Biblia pochodzi z krainy Asir, był już autorem poważnych dzieł naukowych. Jego rękopis jednak musiał czekać na druk aż trzy lata - wydawnictwa naukowe bały się na tym sparzyć. Cóż stałoby się z manuskrytem, gdyby nie przedrukował go "Der Spiegel"... kiedy językoznawcy uznali, że argumenty przedstawione przez Salibiego są bez zarzutu?! Naukowcy, a nawet politycy, musieli polknąć żaby, bo przecież Salibi twierdzi, że zdarzenia opisane w Biblii miały miejsce nie między Egiptem a Palestyną, lecz na zachodnim krancu Półwyspu Arabskiego, gdzie dziś znajduje się kraina Asir, ciągnąca się na południe od Mekki, aż po granicę z Jemenem.

Cóż jednak sensacyjnego jest w takim odkryciu?

Wszyscy znają historię grzesznych miast, Sodomy i Gomory, które zniszczył sąd Boży. Wszyscy wiedzą, że miasta te leżą w Palestynie - na południowym krańcu dzisiejszego Morza Martwego. Ale w istocie leżały one nie tam, lecz

zupełnie gdzie indziej.

Wszyscy znają legendy o przejściu izraelitów przez Jordan - przez Jordan W dzisiejszym Izraelu. W rzeczywistości Jordan jest łańcuchem gór w prowincji Asir w Arabii Saudyjskiej.

Wszyscy wiedzą, że izraelici żyli w niewoli egipskiej, dopóki Mojżesz nie poprowadził ich do Ziemi Obiecanej. Dziwne jest tylko to, że ani w egipskich inskrypcjach, ani w przekazach nie pojawia się najmniejszy ślad exodusu.

Wszyscy wiedzą, że Jerozolima jest uważana za miasto prastare dlatego, że właśnie tu Salomon kazał zbudować pierwszą żydowską świątynię. Faktem jest, że mimo uporczywych poszukiwań archeologom nie udało się po dziś dzień odnaleźć najmniejszych choćby pozostałości świątyni. Odkrywano co najwyżej resztki świątyń późniejszych.

Wszyscy znają historię o trąbach jerychońskich, które - jak twierdzi prorok Jozue - sprawiły, iż rozpadły się mury Jerycha. Uczciwi archeolodzy wiedzą jednak od dawna, że historia opowiadana przez Jozuego już tylko ze względu na przytoczone w niej daty nie pasuje do Jerycha, leżącego w Palestynie.

W jaki sposób profesor Salibi wpadł na pomysł przeniesienia miejscowości wymienionych w Biblii do zupełnie innego kraju?

W trakcie przeprowadzania badań nazw miejscowości Półwyspu Arabskiego zwrócił uwagę na to, że niektóre z nich bliższe są nie językowi arabskiemu, lecz aramejskiemu bądź językom kananejskim. Niezbędna była do tego oczywiście odrobina wiedzy.

W naszym alfabecie występują samogłoski i spółgłoski. Pierwotna wersja Starego Testamentu, plik starych tekstów, została stworzona w piśmie

zawierającym wyłącznie spółgłoski. Przykłady: zamiast Jerusalem mamy tam rslm, zamiast Eden - dn, zamiast Salomo - slm. Przykład ad personam: rch vn dnkn może brzmieć - w zależności od tego, jakich użyje się samogłosek -

Erich von Däniken, Ulrich von Dunokun, Irach von Dinaken. Implantacje samogłoskowe mogą oczywiście prowadzić do straszliwych pomyłek.

Pismo biblijne, pozbawione samogłosek, wywodzi się z alfabetu semickiego, mającego tylko 22 spółgłoski i dwie półsamogłoski: w oraz y.

Dotyczy to również alfabetu arabskiego, który jest tego samego pochodzenia.

Przez stulecia, a przypuszczalnie nawet przez tysiąclecia, święte teksty - przede wszystkim Stary Testament - kopiowali kapłani i uczniowie zawsze pismem spółgłoskowym. Wprowadzenie samogłosek nastąpiło dopiero między szóstym a dziewiątym stuleciem naszej ery.

Profesora Salibiego, który w zachodniej części Arabii zajmował się poszukiwaniem nazw miejscowości pochodzenia niearabskiego, zaskoczyły wyniki badań:

"Najpierw pomyślałem, że to chyba jakaś pomyłka, ale ku memu największemu zdumieniu okazało się, że nie. Prawie wszystkie nazwy miejscowości biblijnych, jakie znałem, znalazły się na obszarze mającym 600 km długości i 200 szerokości, obejmującym dziś Asir oraz południową część Al-Hidžas".

Samo to jednak nie wystarczyłoby do przeniesienia miejscowości opisanych w Biblii do Arabii, znane jest bowiem w historii wielokrotne nadawanie tej samej nazwy różnym miejscom. Jako doskonały znawca Arabii a zarazem tekstów biblijnych, Salibi porównał opisy dotyczące gór, bogactw naturalnych,

zwierząt, roślin i biegu rzek, opisy wypraw wojennych, bitew, zwycięstw i porażek, a wreszcie dane, ile godzin, dni i nocy trwały określone podrdże - z topografią zachodniej części Arabji. No i proszę - wszystko się zgadza, ale właśnie z tym terenem nie zaś z Palestyną! W korespondencji profesor Salibi udostępnił materiały dodatkowe - zarówno teoria, jak i płynące z niej wnioski są najzupełniej przekonujące.

Dyżurni specjaliści, z pozoru tak obiektywni i otwarci na wszystko, co nowe, napadli na dzieło Salibiego, nie zebrawszy jednak informacji na miejscu.

Zgoda - gdyby jego pracę uznali, wówczas fachowcom Starego Testamentu i archeologom, specjalizującym się w wykopaliskach związanych z Biblią, ziemia usunęłaby się spod nóg. Nie zarzucając nikomu rozmyślnego faiszerstwa, trzeba jednak stwierdzić, że Ziemię Obiecaną utożsamiano z Palestyną trochę nazbyt na wiarę. Gdy kiedykolwiek i gdziekolwiek znajdowano w Palestynie ruinę, inskrypcję, starą studnię, glinianą skorupę czy skruszały strzępek jakiejś materii, od razu próbowano taką rzecz przedstawić jako dowód na prawdziwość słów Biblii. "Der Spiegel" zwrócił uwagę, jak sprawy wyglądają naprawdę:

"We wszystkich trzech tomach (dział biblijno-archeologicznych) roi się po prostu od takich archeologicznych pseudoorzeczeń"

Oto przykład manipulacji tego rodzaju:

W 1880 roku znaleziono w pobliżu Siloam napis naskalny, który mówi o tym, że w tym właśnie miejscu mężczyźni kopali z obu stron góry tunel dla przepływu wody. Jednym ruchem ręki uznano inskrypcję za dowód na prawdziwość passusu z Drugiej Księgi Królewskiej (20, 20):

"Pozostałe zaś sprawy Hiskiasza i cała jego potęga, i to, że zbudował

zbiornik na wodę i wodociąg i że doprowadził wody do miasta, zapisane jest w Księdze Dziejów Królów Judzkich".

W rzeczywistości inskrypcja nie wspomina ani słowem o królu Hiskiaszu, nie wymienia też innych osób i nie podaje miejsca budowy. Salibi: "Systemy irygacyjne budowano zawsze". Tyle o kuglarskich sztuczkiach niektórych archeologów.

Profesorowi Salibiemu wcale nie chodzi o podważanie religijnych treści Biblii, zmienia tylko geograficzne położenie miejscowości, w których rozgrywały się poszczególne zdarzenia ze Starego Testamentu. Ja zaś próbuję zapalić światelko tam, gdzie ciemność przeszkadza naszemu poznaniu. Nawet jeśli konsekwencje będą przerażające, to i tak nie obciążę to mojego konta.

Przemawiają tu bowiem nowe odkrycia, które świadczą o tym, że Ziemia Obiecana Izraelitów - właśnie na tym terenie założono państwo Izrael - nie leży w Palestynie, lecz w zachodniej części Arabii.

Jak doszło do tej historycznej pomyłki?

Na skutek wojen Izraelici musieli opuścić swoją pierwotną ojczyznę, większa część ludu dostała się do niewoli babilońskiej (586 r. prz. Chr.), inni wywędrowali do krajów ościennych, wielu z nich do dzisiejszej Palestyny.

Założyli nowe osiedla i miasta, nadając im stare nazwy. Postępowanie takie nie jest niczym niezwykłym. W Szwajcarii jest kanton Glarus - ludzie pochodzący stamtąd założyli w Stanach Zjednoczonych New Glarus. W Jerozolimie na przykład nowe dzielnice ortodoksyjne otrzymują czyste nazwy miast polskich.

Ale czy nie mógł zajść również proces odwrotny? Można sobie przecież

wyobrazić, że zdarzenia opisane w Starym Testamencie miały miejsce jednak w Palestynie, że grupy ludności wywędrowały do zachodniej Arabii, a następnie założyły tam miejscowości o starych Palestyńskich nazwach? Nazwy jednak w zachodniej Arabii zgadzają się nawet z realiami dotyczącymi fauny, flory, topografii, rzek i odległości. Nie pasują natomiast do Palestyny.

Na stanowisku archeologicznym

Czy teorię Salibiego można potwierdzić metodami archeologicznymi? Ależ oczywiście! Nasi naukowcy, cały czas goniący za prawdą, powinni tylko pogrzebać trochę w ziemi we właściwych miejscach. Na przykład najstarsza Jerozolima Salomona leży według Salibiego około 35 kilometrów na północny wschód od gór An-Numas, w prowincji Asir. Jest tam malownicza wioska Al-Sarim - Jerozolima Salomona. Właśnie tam miasto owo zajęło miejsce korzystne strategicznie - opisało to zresztą kilku proroków. Tu, w wysokich górach, Salomon jako budowniczy świątyni miał do dyspozycji dość materiału, którego brakowało w Palestynie.

W Pierwszej Księdze Królewskiej (7, 9 n.) napisano, że do budowy świątyni Salomon używał "kamieni ciosanych według miary [...] kosztownych kamieni, kamieni wielkich, kamieni dziesięcio- i ośmiołokciowych". Pracowano więc tam stosując materiał niejako prefabrykowany. Był to prawdopodobnie granit, bo na piasku czy fundamentach z piaskowca nie utrzymałaby się tak masywna budowla.

W górach An-Numas jest granit, pozyskiwany zreszta po dziś dzień.

W Palestynie natomiast granitu nie ma.

Okolo 586 roku prz. Chr. świątynia Salomona została zniszczona przez armię babilońskiego króla Nabuchodonozora II, a najświetlejsze warstwy społeczeństwa Izraelitów uwięziono. Mimo całkowitego zniszczenia tak potężnej budowli dadzą się jeszcze zapewne odnaleźć w okolicy wsi Al-Sarim obrobione bloki kamienia.

Należałoby więc rozpocząć tam prace wykopaliskowe.

Ale do tego nie dojdzie. Mogę się założyć, że nie...

A dlaczego nie dojdzie?

Zydzi, mieszkający w dzisiejszej Palestynie, nie są w najmniejszym stopniu zainteresowani przenoszeniem swojej dziedzicznej ojczyzny na terytorium nieprzyjaźnie nastawionego do nich sąsiada, Arabii Saudyjskiej. Również i ten kraj byłby w bardzo niewielkim stopniu zainteresowany prawdziwym dziedzictwem Starego Testamentu. Teolodzy także nie przejawiają skłonności do przyjmowania nowych prawd. Tysiące mądrych podręczników napisanych przez specjalistów Starego Testamentu, przez egzegetów Tory i przez językoznawców, należałoby po prostu uznać za nieaktualne. Poszłyby na makulaturę. A ponieważ każde słowo, każdy werset z Biblii umiejscawiano w Palestynie, nie pozostałoby nic, zupełnie nic z wszystkich prac odnoszących się do Starego Testamentu. Kompletna pustka. Będzie dokładnie tak, jak przepowiedział profesor Salibi: najpierw próba ośmieszenia jego teorii, potem próba przemilczenia. Ponieważ jednak jej poszczególne elementy są zbyt poważne, ponieważ da się sprawdzić i ponieważ książka tej miary nie rozplynie się w powietrzu, posiadacze

wszelkich prawd i mądrości będą musieli się zdrowo napracować, żeby obalić zawarte w niej dowody.

Odliczanie wsteczne rozpoczęło się od próby ośmieszenia i przemilczenia książki Salibiego. Efekty są nader wątpliwe. "Neue Zürcher Zeitung", gazeta zachowująca na ogół dystans, napisała ze zbawiennym obiektywizmem, a zarazem dość krytycznie o tej nieco nienaturalnej postawie naukowców:

"Nie należy próbować jej [tej teorii] po prostu zbyć twierdzeniem, że jako Arab nie potrafi on myśleć obiektywnie - tak wiasnie uczynili ludzie noszący miano akademików. Salibi, który pochodzi z protestanckiej rodziny arabskiej, jest naukowcem naprawdę poważnym".

Konsekwencje

Nowe umiejscowienie zdarzeń biblijnych wyjaśnia nonsensy w postępowaniu Salomona. Jeśli jego świątynia stała nie w dzisiejszej Jerozolimie, lecz w części Arabii Saudyjskiej, leżącej najbardziej na południe i graniczącej z Jemenem, to od razu staje się zrozumiałe, dlaczego król ten tak bardzo się starał o względy królowej Saby:

Sabejczycy byli po prostu jego sąsiadami. Atoli nadal niemożliwe wydaje się spędzanie comiesięcznych weekendów u królowej bez pomocy "latającego wozu" - odległość między górami An-Numas, gdzie znajdowała się rezydencja Salomona, a Maribem wynosi w linii prostej nadal 530 kilometrów.

Ale nie tylko nazwy ze Starego Testamentu zmuszają do przestawienia się ze

starego sposobu myślenia na nowy. W krainie Asir znajdują się świątynie, rozbite ołtarze, prastare inskrypcje, a nawet szczyty gór przypisane biblijnym postaciom: Abrahamowi i Salomonowi.

W drugiej połowie minionego stulecia francuski badacz-podróżnik pochodzenia żydowskiego Joseph Halévy jako pierwszy Europejczyk dotarł - w przebraniu, przekradając się tajemnymi ścieżkami - do Jemenu, gdzie dotychczas nie miał wstępu nikt obcy. Halévy opowiadał o himjaryckich oraz o hebrajskich napisach naskalnych, które znajdowały się obok siebie na tej samej skal. Poza Maribem zwiedził nawet "Meczet Salomona", którego ściany były pokryte niezliczonymi napisami arabskimi.

Anglik Harry St. John B. Philby przewędrował w latach 1917 - 1918 całą Arabię. Opowiadał o inskrypcjach i rysunkach naskalnych, jakie widział w wysokich górach - jeden z nich przedstawiał coś, Co "wyglądało jak centaur" - i o ścianach pełnych "obszernych napisów talmudycznych". Przed inną skalą Philby stał patrząc ze zdumieniem na "całe masy napisów talmudycznych" (a mass of Talmudic inscriptions).

Okolo 130 kilometrów na południe od miasta Taif, gdzie dziś znajduje się letnia rezydencja króla saudyjskiego, w prowincji Asir leży Dżebel Ibrahim (2595 m) - Góra Abrahama. po przebyciu dalszych 150 km jesteśmy w rejonie właściwym Salomonowi - w Al-Sulaiman. Na szczycie Dżebel Szada znajdują się resztki ołtarza z nie odczytanymi inskrypcjami. Ludność nazywa to miejsce Musalla Ibrahim - Miejsce Modłów Abrahama.

Nawet Aaron, brat Mojżesza, jest uwieczniony w nazwie jednego ze szczytów Arabii Saudyjskiej w Dżebel Harun (2100 m), czyli Górze Aarona, leżącej na

południowy wschód od Abhy, stolicy prowincji Asir. Prorocy i ojcowie rodów ze Starego Testamentu działali w górach Jemenu - tam więc ich pochowano.

Jeszcze w 1950 r. turystów prowadzano na Dżebel Hadid do grobowców Kaina i Abla - potem je zamurowano.

Grób patriarchy Hioba znajduje się na niższym z dwóch szczytów Dżebel Hasza, w Jemenie, a grobowiec świętego, Nabi Hud, który naleły po dziś dzień do największych świętości arabskich, leży na północ od Tarim w górach Hadramaut.

Jak drzazga w jątrzącej się ranie

Co odważniejsi uczeni, zarówno wyznania mojżeszowego, jak i chrześcijańskie, wciąż zwracają uwagę, że w pozornie zamkniętym obrębie świata Starego Testamentu jest coś podejrzanego - ich wypowiedzi jednak giną w głośnym chórze przedstawicieli starej optyki. Czy ktokolwiek z nas, wychowanych i uczonych w tradycji chrześcijańskiej, słyszał choć słowo, choć wzmiankę o tym, że poza biblijną wersją Starego Testamentu istnieją jeszcze inne źródła przekazów?

W 1910 roku żydowski uczyony Rudolf Leszynsky zaczął swoją książkę 'Żydzi w Arabii' od słów: "Nie wiemy, od kiedy Żydzi zamieszkują Arabię". Dwa lata później Jehoschuah Feldmann w następujący sposób wypowiedział się w swej książce o jemeńskich Żydach: "Żydzi, którzy zamieszkują Jemen od wielu stuleci, a może tysiącleci..."

W 1921 r. D. S. Margoliouth, profesor języków semickich na uniwersytecie w Oxfordzie, doszedł do przekonania, że Izraelici pochodzą z południowej części Arabii: "Dziełem zaliczanym do kanonu biblijnego, ale bez wątplenia wywodzącym się z Arabii, jest Księga Hioba". Na wypowiedź tej miary poważał się profesor Oxfordu dopiero po wieloletnich studiach porównawczych nad językiem staroarabskim i starohebrajskim.

Każdy, kto w ciągu ostatnich osiemdziesięciu lat zajmował się problemem pochodzenia Żydów południowoarabskich, znajdował się w nader nieprzyjemnej sytuacji - przekazy i porównania językowe potwierdzały ich obecność w południowej Arabii, nie dawały jednak odpowiedzi na pytanie, skąd i kiedy tam przyszli. Etnolog Hugh Scott, specjalizujący się w historii ludów Arabii południowo-zachodniej, przyznał się w 1947 r. otwarcie do tego dylematu: "Setki lat przed powstaniem islamu Żydzi pojawili się masowo w Arabii centralnej i południowej, nie wiadomo jednak, kiedy tam przybyli i jaką drogą".

Trzeba się jednak chwytać każdej nadziei, jeśli tylko obiecuje ona, że uda się bez szkody uratować "wypróbowane" egzegezy Tory i Starego Testamentu. To przecież niemożliwe, żeby historie ze Starego Testamentu zdarzyły się w Arabii południowej. To przecież nie może być prawdą, żeby w Arabii południowej przekazy religijne zaistniały wcześniej niż w Palestynie. Spory, przetaczające się od jednej katedry uniwersyteckiej do drugiej, były jakby zaprogramowane, dopóki profesor Salibi nie położył na szali swoich możliwości naukowych. Jak rozwiązać zagadkę obecności Żydów w Arabii? Etnolog Erich Brauer stwierdza:

"Wśród Żydów północnoarabskich krążyły legendy, wedle których część z nich już za czasów Jozuego osiedliła się w Arabii. Według przekazów jemeńskich pierwsi żydowscy przybysze pojawili się w tym kraju za czasów króla Salomona. Powiadają, że królowa Saby miała z Salomonem syna i pozwoliła, żeby ojciec przysłał dla dziecka nauczycieli - byli to pierwsi Żydzi, jacy przywędrowali do Jemenu. Według innego przekazu przybyli oni do Jemenu w orszaku królowej".

Do tego poglądu przychyliła się też większa część uczonych. Alleluja!

Zagadka byłaby rozwiązana, a Biblia miałaby rację: Mojżesz zaprowadził Żydów do Palestyny. Salomon zbudował świątynię w Jerozolimie, gdzie odwiedziła go królowa Saby, a on podarował jej na pożegnanie tysiąc swoich ziomków. W ten właśnie sposób Izraelici pojawili się w Arabii południowej!

Zdobędę się tu na zuchwalość skromnego uzupełnienia tej linii myślenia. Przez czterdzieści lat Izraelici wędrowali przez Synaj - głodując, cierpiąc z pragnienia i walcząc z nieprzyjaciółmi. W końcu dotarli do Ziemi Obiecanej, w końcu mogli stać się ludem osiadłym. Pierwszym z nich Salomon kazał pracować przy budowie świątyni naprawdę wielkiej - byli to przede wszystkim ludzie młodzi. Jednocześnie, rosły domy i szkoły, prowadzono wodociągi, budowano drogi, użyźniano pola, formowano armię, kapłani i nauczyciele mogli wreszcie zaprezentować w pełni swoją mądrość. Jak to więc możliwe, że w tej sytuacji, w sytuacji państwa młodego, dopiero co powstałego i umacnianego, Salomon nie ma nic ważniejszego do roboty, niż oferować pomoc swojej ukochanej królowej Saby mieszkającej w kraju odległym o 2500 kilometrów. Nie wywodzi się ona z jego

ludu, nie wyznaje tej samej religii - on jednak darowuje królowej parę tysięcy młodych ludzi, wśród których znaleźli się też na pewno wojskowi. Ta zaiste groteskowa sytuacja staje się jednak jasna, jeśli uznać, że królestwo Salomona nie leżało w dzisiejszej Palestynie, lecz w górskim regionie południowej Arabii - w An-Numas. Dopiero wówczas pomoc taka - absurdalna w przypadku Palestyny - stałaby się po prostu przyjaznym gestem kraju ościennego, a zarazem aktem świadczącym o miłości mężczyzny do ukochanej kobiety.

List gończy za Salomonem

Skąd przybył Salomon? Królowie, nawet tak godni zaufania, mają przecież przodków. Kto dostarczył mu bogactw? Czy był to przebiegły król Dawid - ten sam, który pokonał Goliata?

Scisle biorąc, należałoby drzewo genealogiczne Salomona wywodzić od Abrahama, patriarchy wszystkich rodów - w tym przypadku trzeba jednak sięgnąć jeszcze dalej w przeszłość, czy może praprzyszłość, przecież i Abraham miał przodków, a były to osoby dosyć szczególne.

Ojcem Abrahama był Terach, tak przynajmniej twierdzą przekazy starożydowskie, a Terach ów - czemu nikt nie przeczy - był zwykłym bałwochwalcą. Sam Abraham pisze o tej ojcowskiej skłonności w Apokalipsie Abrahama:

Ja, Abraham, przeznaczeniem bowiem moim było w owym czasie odprawianie

służby ofiamej mojego ojca Teracha przy jego drewnianych i kamiennych, i ziotych, i srebrnych, i brązowych, bożkach. Udałem się więc raz do świątyni; ujrzałem tam, iż kamienny bożek Merumat przewrócił się do przodu i leżał u stóp żelaznego bożka Nachona".

Rodzice Abrahama wyznawali kult gwiazd - było to powszechnie przyjęte nie tylko przez Arabów i Egipcjan, Babilończyków i Minejów, lecz również przez wszystkie ludy starożytności. Ojciec Abrahama, Terach, pochodził z Ur w Chaldei - profesor Fritz Hommel twierdzi, że właśnie "służba gwiazdom była tam od bardzo dawna w zwyczaju". A więc i narodziny Abrahama wiązały się ściśle z układami gwiazd, o czym mówi zresztą przekaz żydowski:

"Abraham, syn Teracha... i Amtelai... narodził się w Ur chaldejskim... w miesiącu tiszri... około roku 1948 po Dniu Stworzenia... w noc narodzin Abrahama przyjaciele Teracha... zebrali się... na biesiadę... Ujrzeni wówczas niezwykłą gwiazdę, jaka pojawiła się na wschodniej stronie nieba; i zdało się, że gwiazda owa porusza się niezwykle szybko i pochłania cztery inne gwiazdy, znajdujące się po czterech stronach nieba. Wszyscy dziwili się temu zjawisku..."

Zły król Nimrod, który był budowniczym miast i "dzielny myśliwym przed Panem" - jak opowiada Mojżesz - dowiedział się od swoich astrologów, że wkrótce narodzi się chłopiec, który zagrozi jego królestwu. Nimrod rozkazał więc na wszelki wypadek zabić 70 tysięcy noworodków płci męskiej.

To zrozumiałe, że matka Abrahama okropnie się wystraszyła i wraz z dzieckiem postanowiła ukryć się w jaskini, której mrok rozświetlało tylko promieniejące oblicze dziecięcia. Nikt niczego nie zauważył - poza

archaniołem Gabrielem, który śpiesznie sfrunął z nieba, żeby nakarmić dziecko.

Piękna legenda, która nie byłaby moim zdaniem warta przytaczania, gdyby nie jej wielkie podobieństwo do opisu narodzin Chrystusa w Betlejem.

Oczywiście od tego czasu Abraham nie występował w przekazach jako zwykły człowiek. Raz anioły ukryły go w chmurach i we mgle, dzięki czemu niewidoczny uszedł prześladowcom, innym razem budowniczo wieży Babel wrzucili go do "rozpalonego pieca". Oczywiście bez szkody dla Abrahama.

Do kata! Dopiero kiedy bardziej szczegółowo zająłem się tą postacią, zrozumiałem, że patriarcha ten utrzymywał po prostu bliskie kontakty z istotami pozaziemskimi. W Kronice Jerahmeela - a jest to przekaz oparty na jeszcze wcześniejszych źródłach - twierdzi się, że Abraham był największym magiem i astrologiem, a władzę swoją otrzymał bezpośrednio od aniołów.

Opis ten pokrywa się z informacjami zawartymi w Apokalipsie Abrahama - przedstawiono tam wyraźnie, jak dwaj wysłannicy Najwyższego powiedli Abrahama "w niebo". Znalazłszy się wysoko nad Ziemią, Abraham ujrzał "coś niczym światło, nie do opisania" i "wielkie postacie wołające do siebie słowa, których nie rozumiałem". Oczywiście - jeśli istoty pozaziemskie wzięły go do macierzystego statku kosmicznego, nie mógł rozumieć mowy obcych.

Abraham Pamięta dokładnie: wysokie miejsce, na którym stali, obracało się raz w górę, raz w dół - raz miał Ziemię pod sobą, potem widział w dole gwiazdy.

Bujna wyobralnia? Na pewno nie. W epoce lotów kosmicznych nierzadko czytamy przecież trzeźwe opisy, mówiące o tym, że statki kosmiczne przyszłości będą się obracały wokół własnej osi - efekty wizualne będą wówczas takie same jak

w przypadku obserwacji Abrahama.

Ani na chwilę nie zapominam, że cały czas poruszam się w materii legendarnej, niesprawdzalnej historycznie, zaskoczyło mnie jednak, gdy pewnego razu w dziele wydanym przez jakiś amerykański instytut biblijny przeczytałem, że - Co zgadza się z moimi domysłami - również tam akceptuje się możliwość wizyt na Ziemi przedstawicieli cywilizacji z Kosmosu.

W książce tej napisano: "Dopiero po wieczery odkrył Abraham, że jego goście nie są zwykłymi ludźmi. Przybyli z Kosmosu".

Jaki postęp! Uczą się więc nawet teolodzy: Abraham miał kontakty z astronautami!

Podpierając się Biblią, wbijano nam do głowy, że Abraham był jakoby ojcem rodzaju ludzkiego, a jednocześnie nawet specjaliści nie są pewni, czy w ogóle istniał... i co znaczyło jego imię.

Franz M. Böhl, profesor uniwersytetu w Lejdzie, konstatuje:

"Starożytne imię Ab-ram, które nie występuje nigdzie poza Księgą Rodzaju (II, 26 - 17, 5), znaczy 'wzniosły ojciec' albo 'ojciec jest wzniosły'.

W związku z tym słowo 'patriarcha' może być traktowane jako przekład tego imienia. Mówiąc 'ojciec' myślano o Bogu, pierwotnie o bogu Księżyca...

W przypadku Abr-rahama chodziło najprawdopodobniej tylko o wariant dialektałny (rozłączenie spółgłoski) dość często występującego imienia Ab-ram".

To, CO profesor Böhl ogłosił prawie jako pewnik w 1930 r., odrzucili pięć lat później specjaliści w znanym "Journal of Biblical Literature":

"Pierwotnie słowo Abraham wcale nie było imieniem przeznaczonym dla ludzi,

lecz imieniem bóstwa".

Badania te, prowadzone już od czterdziestu lat, nie przynioszą na razie rezultatu. W publikacji Uniwersytetu Yale, wydanej w 1975 roku znalazło się zdanie naprawdę godne uwagi:

"Najprawdopodobniej nigdy nie będziemy w stanie udowodnić, że Abraham istniał naprawdę".

Strasznie to wszystko pogmatwane, a w sumie mało istotne, gdyby nie ogromne chmary narodów wywodzące swoje drzewa genealogiczne od jednego człowieka, który być może wcale nie istniał...

Mimo wszelkich sprzeczności można stwierdzić, że Abraham - założmy, że istniał - w żadnym razie nie mógł przebywać w mieście o nazwie Jerozolima.

Na miejscu dzisiejszej Jerozolimy leżała wprawdzie już około 2000 r. prz.

Chr. miejscowość znana archeologom, ale nikt nie wie, jak się nazywała.

W 1975 r. w Eblu w Syrii odkopano całą bibliotekę złożoną z glinianych tabliczek - po raz pierwszy w sumeryjskim piśmie klinowym pojawiła się tam

nazwa Urusalim (rslm). Hieroglify egipskie z czasów faraona Amenofisa III (1402-1364 prz. Chr.) wymieniają miasto Auszamea albo Ruszalimum - oba

warianty przejęli natychmiast archeolodzy zajmujący się wykopaliskami

związanymi z Biblią i powiązali je z dzisiejszą Jerozolimą. Jeśli nawet

ktoś spojrzy na to uważnie, zrozumie wyłącznie proces toponomastyczny -

brakować tu jednak będzie tego, co najważniejsze, czyli umiejscowienia nazwy.

Całkowite natomiast zamieszanie nastąpi kiedy się zajrzy do Pierwszej Księgi Mojleszowej (14, 17 nn.):

"A gdy wracał [Abram] po zwycięstwie nad Kedorlaomerem i królami, którzy

z nim byli, wyszedł mu na spotkanie król Sodomy do doliny Szewe, doliny królewskiej. Melchisedek zaś, król Salemu, wyniósł chleb i wino. A był on kapłanem Boga Najwyższego i błogosławił mu mówiąc: Niech będzie błogosławiony Abram przez Boga Najwyższego, stwórcy nieba i ziemi! I niech będzie błogosławiony Bóg Najwyższy, który wydał nieprzyjaciół twoich w ręce twoje! A Abram dał mu dziesięcinę ze wszystkiego".

We fragmencie tym jest mowa o królu Salemu. Salem to późniejsze Jeru-Salem. Dziwne. Nie było jeszcze Ziemi Obiecanej, Mojżesz jeszcze się nie narodził, król Dawid (ojciec Salomona) nie zajął jeszcze miasta (jakiego?), które następnie nazwał Jerusalem. Cóż to więc był za król Salemu, który spotkał Abrahama, i gdzie leżało owo królewskie miasto?

Uczone błędy

"Kiedy uczone błędzi, popełnia uczone błęd" - mówi arabskie przysłowie.

Rzeczywiście.

Miast, a co dopiero miast królewskich, nie wyciąga się ot tak sobie z rękawa.

Najpierw muszą powstać struktury społeczne, przez wiele lat powstaje hierarchia utrzymująca porządek państwowy - dopiero potem zachodzi nieuchronna potrzeba zbudowania miasta. Tak samo jest we wszystkich krajach, bo wszędzie istnieją trzy podstawowe przesłanki urbanizacji:

ukazanie władzy panującego, która jest potężniejsza niż władza poddanych, zapewnienie mieszkańcom bezpieczeństwa przed wrogami oraz wzniesienie

świętyni, manifestującej wspólną religię.

Trzeci rodzaj manifestacji był najistotniejszą przyczyną zakładania miast.

Na całym świecie ludzie przeszłości czcili gwiazdy. Kult ten, praktykowany przez naszych przodków tłumaczy się pięknem firmamentu, wschodami i zachodami słońca i księżyca. Ludzie wdrapywali się na szczyty gór, żeby, zbliżywszy się do bóstw, złożyć im hołd. Na wysokości budowali ołtarze, a tam gdzie gór nie było, usypywali wzniesienia, na których następnie budowali święte miasta.

Az do tego miejsca szedłem drogą powszechnej doktryny, jednak jak stwierdził kiedyś Bertrand Russell (1872 - 1970): "Nawet jeśli wszyscy są tego samego zdania, to może być tak, że nikt nie ma racji". Powszechnie wiadomo, że nauka uznaje bogów nieba i gwiazd za fikcyjne wytwory ludzkiej fantazji, które w rzeczywistości nie istnieją. Czy więc istoty fikcyjne sprawowały władzę? Czy ludzie obawiali się boskich istot? Czy wytwory fantazji prowadziły eksperymenty hodowlane na ludziach?

Nauka proponuje następujące wyjaśnienie: Hodowli było równie niewiele jak prawdziwych bogów. Jeśli ludziom niezbyt się powodziło, szukali winnego.

Ponieważ jednak sprawca biedy nigdy nie istniał naprawdę i nie mógł być pociągnięty do odpowiedzialności, to całe zło - ale też każde dobrodziejstwo - przypisywano bogom, dopiero w ten sposób stawali się dla ludzi realni.

Wybuchy wulkanów, trzęsienia ziemi, burze z piorunami - wszystkie te zjawiska uważano za przejawy obecności boga: w ten właśnie sposób powstawały religie przyrody.

Brzmi to być może uczenie, lecz później zdarzyło się coś naprawdę strasznego:

bogowie zaczęli mówić. Dawali ludziom wskazówki, narzucali zakazy i ustanawiali przykazania. W dających się sprawdzić jednostkowych przypadkach zabierali nawet ludzi do swoich odległych niebieskich miast, demonstrowali całym narodom technice sprawowania władzy oraz przekazywali im nową wiedzę, wybiegającą zwykle daleko w przyszłość. Wybrancy, którzy mieli przekazywać ziomkom wskazówki, robili to powszechnie w formie pierwszoosobowej:

...I usłyszałem... I ujrzałem... rzekł do mnie... ukazał mi... nakazał mi...

udaj się do... Od kiedy ludzie posiadli umiejętność mówienia, forma pierwszoosobowa zawsze potwierdza świadectwo naoczne. W wielu przypadkach owych przekazów, zadeklarowanych jako opowiesci prorocze, naoczni świadkowie przekazywali dane, gdzie i kiedy zdarzenie takie miało miejsce, wymieniali imiona obecnych bogów albo ich pomocników.

Glupia sprawa!

Bogowie rzekomo nie istnieli. Wszelkie ich posłannictwa mogą być tylko wymyslami, urojeniami - albo po prostu kłamstwami! - proroków, którzy chcieli być wazni. Czy to jednak nie bezmyślności, żeby z mieszaniny tych zełganych historii tworzyć święte księgi ludzkości? Czy to nie czysty obłąd brać teraz - po tych wszystkich przeobrazeniach, po bląkaniu się po manowcach - relacje prorokow za dobrą monetę, za najczystsą prawdę która jako jedyna może dać zbawienie? Wierzyć w tę prawdę?

Poplątana nić przewodnia!

Jestem świadom, że wymagam za wiele od moich czytelników, kazać im brać udział w poszukiwaniu nici przewodniej po labiryncie starych przekazów.

Niejako na pocieszenie mogę powiedzieć, że w trakcie ostatnich lat spędziłem więcej czasu w bibliotekach niż we własnym domu i że na stronach tych przedstawiłem tylko ekstrakt z paru setek książek jakie musiałem przeczytać.

Sedno problemu stanowią nadal nazwy i daty, które nie tylko w nieświętych księgach są niezbyt poprawne. Zajrzyjmy jeszcze raz do I Księgi Mojżeszowej (15, 13 i 15, 16):

"I rzekł [Pan] do Abrama: Wiedz dobrze, że potomstwo twoje przebywać będzie jako przychodnie w ziemi, która do nich należeć nie będzie i będą tam niewolnikami, i będą ich ciemiężyć przez czterysta lat... Lecz dopiero czwarte pokolenie wróci tutaj..."

Na podstawie najnowszych badań znany archeolog brytyjski pani Kathleen M. Kenyon, stwierdza:

"Tym w każdym razie, co nie wymaga dalszych dyskusji, jest chronologia biblijna, która przeczy sama sobie. Przyjmowanie okresu czterystu lat na pobyt przy jednoczesnym twierdzeniu, że już czwarte pokolenie po przybyciu do Egiptu brało udział w exodusie - te dwa twierdzenia są tak bardzo ze sobą sprzeczne, że wynikającą stąd rachubę czasu należy zaklasyfikować jako ahistoryczną".

Chronologia Biblii jest rzeczywiście dużą błagą. Nie może się zgadzać bo daty przerabiano, przekręcano i fałszowano dopasowując je do z góry określonego modelu. Abrahama, jeśli w ogóle był, należałoby osadzać mniej więcej między rokiem 2000 a 1800 prz. Chr. Abraham miał syna Izaaka, który

był ojcem Jakuba. Synem Jakuba był biedny Józef, którego bezlitosni bracia sprzedali do Egiptu. Tam Izraelici rozmnożyli się jakoby tworząc wspaniały naród - choć nie wspomina o tym ani jedna egipska inskrypcja, ani jeden kruchy papirus. Narodowi temu nie powodziło się najlepiej. Około 1200 r. prz. Chr. na scenę wkroczyli Mojżesz i Aaron - wybawiciele z niedoli. Rozpoczął się czterdziestotletni exodus. Zdobyto Jerycho, leżące w dzisiejszej Palestynie - na podstawie badań archeologicznych fakt ten jednoznacznie uznano za nieprawdziwy. Biblijni bohaterowie Samuel, Samson, Saul i Dawid wygrywali bitwy. Dopiero około 970 r. prz. Chr. udźwigniona armia może w końcu odpocząć. Król Salomon wydaje polecenie zbudowania pierwszej świątyni. Chronologia ta tym bardziej zasługuje na uwagę, że - ponieważ jej początek jest nieprawdziwy - nie może zgadzać się i na końcu. Dzieje Izraelitów można datować dopiero od wyjścia z niewoli babilońskiej i zbudowania tak zwanej drugiej świątyni, która naprawdę stanęła w dzisiejszej Jerozolimie, na co jest dość świadectw historycznych. Ale pierwsza, świątynia Salomona, stała w południowoarabskich An-Numas.

Niezbitych dowodów tego twierdzenia brak będzie tak długo, jak długo w okolicach Al-Sarim w prowincji Asir nie przeprowadzi się prac archeologicznych i jak długo trzeba będzie pracować opierając się wyłącznie na poszlakach - choć muszę przyznać, że również ten rodzaj prac w terenie jest interesujący i daje efekty.

W starożytnej południowej Arabii ludzie byli równie silnie związani z kultem gwiazd, jak gdzie indziej na naszym globie. Znane są imiona kilku bogów gwiazd i boskich figur, podobnie jak parę miejsc kultu. Kronikarze opowiadali

o człowieku zwącam się Amr bin Luhajj, który niegdyś przedsięwziął podróż przez tą krainę:

"Przy tej okazji ujrzał, że ludzie okazują cześć wizerunkom bozków; gdy ich zapytał, jak to właściwie z tym wszystkim jest, odpowiedzieli mu: Te wizerunki bogów są panami, sporządziliśmy je według kształtu niebiańskich domostw i osób ludzkich".

Domostwa niebiańskie i osoby ludzkie były tu pierwowzorem - pierwowzorem czego? Gwiazdy zawsze były tylko świecącymi punktami na firmamencie, nie mogły więc być, nawet przy najbardziej wytężonej fantazji, inspiracją dla wizerunków bogów. Człowiek zawsze naśladował to, co czcił, nawet jeśli tego nie rozumiał. Mieszkańcy południowej Arabii kopiowali rzeczywistość, tworząc wizerunki tego, co ujrzeli i przeżyli. Czy skopiowali jako świątynie doniostwo niebiańskie jakiegoś Pana, czyli potomka bogów, który osiedlił się w górach? Święte miejsca musiały być bardzo atrakcyjne, bo zbierano się tu dla oddawania czci bogom... inicjowały one zarazem budowę osiedli ludzkich w pobliżu. Nie wystarczałyby tam jednak tylko wspólna świętość. Bogowie musieli być potężni, musieli pokazać, co potrafią. Nie mogli rdzewieć i spadać z cokółów, bo staliby się niegodni wiary. Zeby ich czczono, musieli coś robić, sprawować władzę.

Meichisedek, król-kapłan, był postacią równie potężną co tajemniczą. Według Legend Żydów z prastarych czasów był owocem "niebiańskich narodzin" - "Pan" zaszczepił swoje nasienie Sopranimie - matce Meichisedeka. (Zapłodnienie in vitro?) Meichisedek więc był synem boga, a za czasów Abrahama panował jako król w Salemie. Już o Abrahamie dowiadujemy się, że cieszył się narodzinami

dokonanymi za boskim staraniem i ze "Najwyższy - wedle starożydowskiego przekazu - szczególnie ukochał Abrahama". Abraham spotkał króla Salemu, "kapłana Boga najwyższego", i obaj od razu wybornie się zrozumieli - król-kapłan pobłogosławił Abrahama. Niech nas nie dziwi także i to, iż obaj należeli do crème de la crème - byli przecież synami boga, a to łączy.

Król Salemu dysponował władzą, bano się go i czczono - ludzie byli gotowi zbudować dlań miasto Salem (slm). Centrum królestwa powiększało się - budowano rezydencję królewską i świątynię.

W okresie tym, którego daty nie da się już ustalić, wszędzie było pełno potomków bogów. Sam prorok Henoch mówił o dwustu "strażnikach nieba", którzy zstąpili na Ziemię, ich potomstwo spierało się o prawo do ziemi - chodziło o roszczenia terytorialne - odizolowywano się na zajętych terenach, otaczano je umocnieniami. potomkowie bogów dostarczali planów do budowy pałaców i rezydencji. Do najcięższych robót zapędzono poddanych, zachęcając ich i pobudzając do pracy demonstracjami sił, która ludziom wydawała się nadnaturalna, czarodziejska i nieziemską - bo i w rzeczy samej taką była.

Do wykonywania najnieprzyjemniejszych prac władcy pozyskiwali niewolników podczas wypraw wojennych.

Konkurencyjna walka o najlepsze miejsce wyjaśnia również najsurowsze ze wszystkich przykazań: Nie będziesz miał cudzych bogów obok mnie! Mojżesz wcale nie był pierwszym, który tak twierdził - w tym przypadku prawa autorskie należą do Abrahama. Jego ojciec, Terach, był wyznawcą kultu gwiazd; wierni byli zaniepokojeni dużą liczbą bogów - nie bardzo wiedzieli, do kogo właściwie należą. Potem nadszedł czas podziału Ziemi, roszczenia dotyczące

zakresu władzy, stawiane przez synów bogów. Każdy czuwał zazdrośnie nad tym, żeby konkurencja nie zniechęciła mu przypadkiem całych armii dowolnie manipulowanych robotników, żeby ich nie zaangażowała u siebie - żeby naiwni w swojej wierze ludzie nie zanosili złota, pieniędzy i kamieni szlachetnych pod fałszywy adres. Dlatego właśnie: Nie będziesz miał cudzych bogów obok Mnie!

Miasto Salem było początkowo rezydencja "kapłana Boga Najwyższego", Król Meichisedek, jako "zrodzony z nieba", jest porównywalny z królem Minosem z Krety, który był synem ojca bogów, Zeusa. Z biegiem czasu władza boskich potomków kurczyła się, kolejne pokolenia wiedziały coraz mniej o technologiach stosowanych przez ich pra-pra-pra... ojców. Władza przeszła w ręce kapłanów. Ludzie odczuwali coraz mniejszą bojaźń, bo coraz trudniej było ich oszukać. Poznali też bezsilę czczonych bogów. Od dawna już nie widziano na Ziemi istot w statkach kosmicznych. Ich załogi, jak mówią przekazy staroindyjskie, unicestwiły się nawzajem albo odleciały ku dalekim ciałom niebieskim. Gdy władcą Salemu był król o imieniu Salomon, musiało to być miasto całkiem zamknięte, a i sam król dysponował pozostałościami techniki swoich niebiańskich przodków (latający wóz).

Ale ten Salomon z Salemu nie może być tożsamy z Salomonem biblijnym, który żył po roku 970 prz. Chr. Człowiek jest prawie skłonny uznać, iż istniała teczka akt z napisem "Salomon", do której wkładano wszelkie ślady pozostawione przez tę tajemniczą postać, a z której według gustu korzystali autorzy przekazów. W tradycji żydowskiej Salomon jest ukazywany jako mądry sędzia i kobieciarz - ale też jako czciciel jednego boga a zarazem zwolennik

politeizmu. W Drugiej Księdze Kronik Salomon "przewyższał wszystkich królów ziemi" oraz "panował nad wszystkimi królami od rzeki Eufrat aż do ziemi filistyńskiej i aż do granic Egiptu". Arabowie przyznają, że wznosił budowle na całym świecie, twierdzą w Koranie, że pracowały dlań "duchy", że był "władca wiatrów", że panował 350 lat i w wielu miejscach znajdował się w tym samym czasie. Etiopczycy przedstawiali Salomona jako bezgranicznie bogatego, jako strażnika Arki Przymierza, jako tego, który uwiódł królową Saby i jako posiadacza całej flotyli latających wozów.

Dość dużo jak na jednego człowieka.

Nie wiadomo, kim Salomon był naprawdę i kiedy żył. Teraz jest tylko jednym z kamyków prehistorycznej mozaiki - podobnie jak Melchisedek, Abraham i królowa Saby. Badacze przeszłości są zgodni tylko co do jednego: Salomon był królem Jerozolimy. Można udowodnić, że w 586 r. prz. Chr. Babilończycy zniszczyli miasto, które nazywano Jerozolima. Ale którą Jerozolimę? Tę, w której panował niegdyś legendarny Melchisedek... czy tę, na której miejscu zbudowano później Jerozolimę dzisiejszą, w Palestynie?

Opłakiwanie Jerozolimy

Jedną z ksiąg Starego Testamentu są Tęny, opiewające zniszczenie Jerozolimy. Westchnieniem "Ach!" rozpoczyna się pierwszy, drugi i czwarty. Opisują one, jak wielkim i ludnym miastem była niegdyś Jerozolima, teraz jednak stoi samotna. Przepadła cała jej wspaniałość, zdobywcy zrabowali skarby,

w świątyniach zbezczeszczone lub rozkradziono świętości. Dziewice

i młodzieńcy poszli w niewole, wrogowie śmieją się z dumnego niegdyś miasta.

Z proroków, kapłanów i sędziów szydzi się i wyprowadza ich z Jerozolimy.

"Prześladowcy" są "szybsi niż orły pod niebem". Na samo wspomnienie dumnego miasta autorowi Trenów łzy stają w oczach: "burzą się moje wnętrze! Moje serce przewraca się we mnie..."

Nie wiadomo, kto jest autorem Trenów, przypisuje się je Jeremiaszowi. Prorok ten, żyjący w VI w. prz. Chr., był człowiekiem niewygodnym dla współczesnych i dwulicowym. Ostrzegł wprawdzie Jerozolimę przed najazdem Babilończyków, później jednak utrzymywał kontakty z wrogiem. Sedecjasz, ostatni król Judy (597 - 586 r. prz. Chr.), kazał wrzucić go do cysterny. Jeremiasz jednak przeżył, bo nie było w niej wody, a zwycięski Nabuchodonozor II (605 - 562 r. prz. Chr.) rozkazał go uwolnić i zarządził, aby nie czyniono mu krzywdy.

Prorok mógł się swobodnie poruszać po mieście, gdy tymczasem inni byli za takie przechadzki odprowadzani w pętach do więzienia. Babilońscy żołnierze, do których nie dotarł dekret królewski, zakuli dziwnego spacerowicza w łańcuchy i wraz z innymi więźniami powiedli do Babilonu. Naprawiono wprawdzie pomyłkę uwalniając Jeremiasza, lecz on już nigdy nie wrócił do Jerozolimy.

Izraelici mieszkający we wsiach poddali się najpierw babilońskiemu panowaniu, ale potem całymi grupami uciekali za granicę. Jeden z nich, który podążał do Egiptu, dołączył do Jeremiasza. W tym momencie urywa się wszelki ślad po proroku.

Kiedy Jeremiasz mógł napisać Treny? Teolodzy są zdania, że powstały one jeszcze w trakcie oblegania i niszczenia miasta. Przypuszczenie to jest

jednak mało prawdopodobne, bo właśnie wtedy Jeremiasz siedział w cysternie.

Potem krótko zazywał wolności, bo zaraz zakuto go w łańcuchy. Wojna.

Zniszczenia. Aresztowanie. Nie był to najważniejszy moment na pisanie

wierszy, w których każda strofa zaczynała się od kolejnej litery alfabetu

hebrajskiego. Z Trenów wynika, że Jerozolima jest już zniszczona. Poza tym

zniszczenia te nastąpiły jakiś czas temu, bo autor skarży się "z powodu góry

Syjon, że jest spustoszona, że szakale po niej biegają".

W swojej pracy doktorskiej, napisanej w 1889 r. a dotyczącej wyłącznie

Trenów, Heinrich Merkel dochodzi do wniosku, że ktokolwiek stworzył Treny,

musiał niewątpliwie sięgać do wcześniejszych źródeł. Odrzuca więc

możliwość, że był to Jeremiasz: "Trzeba odmówić Jeremiaszowi autorstwa

naszych pieśni, bo wymaga tego przedstawiona tu krytyka".

Wniosek: Jeremiasz był obecny przy zniszczeniu Jerozolimy, potem zakuto go

w łańcuchy - Treny opisują zaś miasto dopiero co zniszczone poza tym

wykorzystano tam źródła jeszcze wcześniejsze. Treny mogą zatem dotyczyć

Jerozolimy ówczesnej. Oplakuje się zniszczenie Jerozolimy starszej.

Czy była to właśnie ta Jerozolima, owo Salem legendarnego Salomona, gdzie

rządził niegdyś królkaplan Meichisedek?

Pisząc to, słyszę od razu głosy moich czytelników: Panie von Däniken, ale co

to ma wspólnego z pańską teorią? Dlaczego tak kurczowo uczeplił się pan

jakiejś "starej" Jerozolimy?

Spokojnie.

Jeśli potomkowie bogów urzędowali jako królowie-kapłani, to przecież w ich

prastarych siedzibach muszą się jeszcze znajdować jakieś świadectwa ówczesnej

kultury technicznej - jako malowidła ściennie, inskrypcje, reliefy, przedmioty kultu! Pod dzisiejszą świątynią w Jerozolimie nie odkryto nic, nie znaleziono nawet śladu dowodu na świątyni Salomona. Poszukiwania trzeba więc rozpocząć gdzie indziej. Na podstawie porównan nazw miejscowości profesor Salibi dszedł do wniosku, że stara Jerozolima leżała w górach An-Numas w krainie Asir, gdzieś w pobliżu dzisiejszej miejscowości Al-Sarim. Nie sądzę, że istniała duża szansa na znalezienie tam czegokolwiek. Miasto zniszczono za dokładnie, zbyt pedantycznie były też grabieże, jakich dopuszczały się żołnierskie hordy. A poza tym od tamtej chwili upłynęło już dwa i pół tysiąca lat. Skapitulować? Nie! Najprawdopodobniej istnieje jednak coś, przetrwa!o. Ale to zupełnie inna historia.

Ezechiel wiecznie żywy

Od dwudziestu lat szczególną uwagę poświęcam tekstom proroka Ezechiela. Oto parę informacji z życiorysu tego interesującego człowieka. Był izraelskim prorokiem z kapłańskiego rodu. Deportowano go do Babilonu, tam został powołany na proroka. Zapowiedział upadek państwa Judy i zniszczenie Jerozolimy. W czterech moich książkach napisałem o nim bardzo dużo. Mimo wszystko jest nadal niewyczerpanym źródłem wiadomości. Nowość, jaką tu przedstawiam, jest nieco wybuchowa, a dla pełnego jej zrozumienia niezbędne jest krótkie wprowadzenie.

Ezechiel przedstawia ze szczegółami lądowanie dziwnego pojazdu, który określa

mianem "chwaly pana". Podobnie jak wytrawny współczesny reporter opisuje wszystko, co widzi: skrzydła, kola, obręcze oczy, coś plomienistego i halas, wytwarzany przez ów zadziwiający pojazd w chwili odrywania się od ziemi.

Ten szczegółowy opis skionil bylego konstruktora NASA, inżyniera Josefa Blumricha, do sporządzenia rekonstrukcji pojazdu na desce kreślarskiej.

Rezultatem był kosmiczny lądownik o szczególnym kształcie: na dole zbiegający się jakby w ścięty stożek rozszerzał się ku górze, czym przypominał ogromnego bąka. Twór ten - opisany przez Ezechiela jako "chwala Pana" - służył do komunikacji między bazą naziemną a statkiem macierzystym, znajdującym się na orbicie wokółziemskiej. Reporter Ezechiel opisał bardzo dokładnie nie tylko sam statek, lecz również świątynię, jaką ujrzał na bardzo wysokiej górze, gdzie wylądował pojazd kosmiczny - "i spojrzałem, a oto chwala Pana wypełniała świątynię Pana". (Ez 44, 4).

Chodzi właśnie o tę świątynię.

Jesienią 1984 roku dostałem list od nie znanego mi zupełnie pana Hansa Herberta Belera, który był naczelnym inżynierem jednego z wielkich przedsiębiorstw niemieckich. Pan Beler pisał, że w ostatnich latach zajmował się dość intensywnie tekstami Ezechiela i wedle znajdujących się tam danych zrekonstruował świątynię - była to praca natury technicznej, wymagająca jednak naukowej skrupulatności. Następnie pan Beler zapytał w liście, czy to mnie interesuje. Odpowiedź była chyba jasna. W trakcie kolejnych miesięcy wpadłem w wir dochodzenia do niezwykle ciekawego odkrycia.

Zawiadomitem o tym oczywiście Josefa Bluinricha mieszkającego w Estes Park w Colorado - specjailsci nawiązali korespondencję i obaj byli niezwykle

zaskoczeni: statek kosmiczny zrekonstruowany przez Blumricha pasował jak ulał do modelu świątyni wykonanej przez Beiera! Na dwóch kontynentach dwaj inżynierowie, pracując niezależnie od siebie, potwierdzili prawdziwość opisów Ezechiela! Blumrich zakończył swoją rekonstrukcję już w 1971 roku - Beler natomiast rozpoczął prace nad świątynią dopiero w 1976 roku.

Co jest największą sensacją tej historii i co to ma wspólnego ze świątynią Salomona?

Kaidy z nas widział, przynajmniej w telewizji, start statku kosmicznego.

Stanowisko jest pełne wielopiętrowych wież, otaczających rakiety. Przyrządy kontrolują jej całą powłokę - podczas wielodniowego odliczania wstecznego możliwie jest nawet prowadzenie dodatkowych prac spawalniczych. Płatanią przewodów poszczególne człony rakiety napełnia się paliwem. Dopiero przed startem wieżę odsuwa się na bok, rakietę stoi sama, utrzymywana w pionie przez odciążenie, zakotwiczone w stanowisku startowym. Jeszcze niżej znajduje się cały system rurociągów, pomp oraz potężne wanny, przyjmujące na siebie impet gazów odrzutowych o niezwykle wysokiej temperaturze. W chwili zapłonu silników z sieci rur tryska kurtyna wodna, tłumiąca strumień ognia i chłodząca systemy startowe.

Ale jak wyglądało stanowisko startowe statku kosmicznego, który miał kształt wielkiego bąka? Stanowiska dzisiejsze mają formę wież, ponieważ rakiety, podobnie jak obeliski, są skierowane ku niebu. Są potrzebne tylko dla wyniesienia pojazdu w Kosmos, później ulegają zniszczeniu w atmosferze ziemskiej (zewnetrzne zbiorniki amerykańskich wahadłowców opadają na spadochronach do morza i mogą być stosowane wielokrotnie). Jeśli jednak

chodzi o lądownik, który powinien być traktowany podobnie jak samolot, to potrzebne są nie tylko stanowiska startowe, lecz również diagnostyczno-naprawcze, w których można dotrzeć do lądownika ze wszystkich stron.

Stanowisko przyjmujące pojazdy o formie odwróconego stożka, powinno mieć odpowiedni kształt: U dołu dochodzący do podstawy statku, a rozszerzający się coraz bardziej ku górze, tak jak korona stadionu. Właśnie taki kształt miała rekonstrukcja Belera.

W swojej książce 'Ezechiel - koronny świadek' Hans Her Bejer przedstawia ponad 90 kolorowych i czarno-białych rysunków rekonstrukcji, odpowiadającej w każdym szczególe opisowi Ezechiela. Pierwotnie świątynia nie była miejscem świętym, ale stanowiskiem diagnostyczno-naprawczym, do którego przylegały warsztaty oraz pomieszczenia mieszkalne obsługi.

Nigdy się nie dowiemy, jakie stosowano wówczas paliwo. Inżynier Bluinrich przypuszcza, że niezbędnej energii dostarczał reaktor atomowy (podobnym źródłem energii dysponuje wiele amerykańskich i radzieckich łodzi podwodnych). Kiedy jednak wykorzystuje się energię jądrową, od razu pojawia się problem odpadów radioaktywnych. Zarówno więc statek, jak i stanowisko trzeba było odpowiednio usytuować. Chłodnica reaktora znajdowała się w najniższej części statku - ta część stanowiska musiała być więc wyłożona materiałami ognioodpornymi. Zużyte substancje radioaktywne zapewne zakopywano, ponieważ nie było wówczas na Ziemi ani magazynów przejściowych, ani cmentarzysk atomowych, to być może zuiy matenały, da się jeszcze odnaleźć gdzieś w pobliżu stanowiska. A jeśli korzystano nie z energii jądrowej, to na pewno stosowano paliwa płynne bądź stałe. Znaczyłoby to, że pod stanowiskiem

znajdowały się rurociągi do napełniania i opróżniania zbiorników statku.

Napraw szczególnie skomplikowanych nie przeprowadzano przecież, gdy w pojeździe znajdowało się paliwo. Trzeba było je najpierw spuścić. Jeszcze dziś pod pustynią niszczeje na pewno w ziemi system rurociągów.

Jesli Jerozolima Salomona była owym Salemem, to istoty pozaziemskie jeszcze w czasach Abrahama i króla-kapłana Meichisedeka używały swoich stacji naziemnych - następne pokolenia jednak nie wiedziały co z tym fantem począć.

Ustylizowano więc stację na świątynię - bo tu bawili niegdyś z wizytą bogowie. Salem zamieniło się w Jersalem, które później zniszczono. Jesli linia rozumowania jest prawidłowa, to mimo upływu tysiąceci - da się pewnie znaleźć w okolicy wsi Al-Sarim resztki rurociągów bądź odpady radioaktywne.

Znawcy Ezechiela i moi krytycy zwróca mi tu zaraz uwagę, że w teorii tej jest jeden słaby punkt. Prorok spisywał przecież swoje relacje między rokiem 595 a 570 prz. Chr., kiedy to już dawno, wnioskując z moich wypowiedzi istoty pozaziemskie opuściły Układ Słoneczny. Lądownik nie mógł więc kursować wtedy między macierzystym statkiem kosmicznym a Ziemią.

Dwa kontrargumenty:

Możliwe jest przecież, że ta sama grupa, która opuściła Układ Słoneczny za Abrahama i Melchisedeka, wróciła półtora tysiąca lat później na Ziemię, żeby sprawdzić, jakie owoce wydała ich pomoc okazana rozwijającej się ludzkości.

Oraz: datowanie tekstów Ezechiela nie jest pewne - jego przekazy musiały przetrzymać w trakcie stuleci nacisk wielu interpretacji. W opublikowanej w 1981 roku analizie wykorzystano 270 (!) rozpraw na temat Księgi Ezechiela.

Tekst proroka, będący dotąd nietykalną świętością, dziś jest przeswietlany

i poddawany gruntownym analizom. Specjaliści zajmujący się badaniem znaczeń oraz zmian znaczeń wyrazów ustalili, iż dobór słów i styl Księgi Ezechiela każą podejrzewać nie tylko jednego autora. Dlatego też większość uczonych, zajmujących się Starym Testamentem, reprezentuje pogląd, że Księga Ezechiela jest dziełem wielu autorów, którzy do oryginału dodali teksty dawniejsze.

Opis "chwaly Pana" nie może więc pochodzić w żadnym razie z czasów działalności prawdziwego Ezechiela, datowanej na lata 590-570 prz. Chr.

Znaczący to, że zdarzenia tam przedstawione mogły mieć miejsce - jeżeli przejęto je z dawniejszych źródeł - wiele, wiele lat wcześniej.

"Szczęśliwy, kto zdołał poznać przyczyny rzeczy" - Wergiliusz (70-19 prz. Chr.).

III. Bogowie, groby i oszukani

Gdzie są groby z tamtych lat...

Niedostatek władzy sądenia jest właśnie tym, co zwie się głupotą, a kalectwu temu nijak nie da się zapobiec.

Immanuel Kant (1724-1804)

śmierć jest pisana wszystkim ludziom - nie dotyka jednak bohaterów basni i niektórych postaci biblijnych.

Prorok i patriarcha Henoch nie umarł - mając 365 lat został wzięty do nieba.

Także prorok izraela, Eliasza, gdy wsiadłszy do "rydwanu ognistego" (II Król.

2, 11) zniknął w Kosmosie, nie pozostawił swego ciała na Ziemi. Inni

prominenci Starego Testamentu osiągnęli wiek podeszły, ze dzisiejsi geriatrzy

boją się nawet marzyć o czymś podobnym. Ojciec rodzaju ludzkiego Adam żył 930

lat, jego syn, Set, dobił 912, jego z kolei syn, Enosz, tylko do 905 lat,

prawnuk zaś Adama a Enosza, Kenan, umarł mając 910 lat. Nie byli gorsi także

pozostali członkowie tej sztafety starców (1 Mojż. 5): Mahalalel przeżył 895

lat, Jered 962 lata, Henoch splodził - oczywiście przed swoim

wniebowstąpieniem - Metuszelacha (Matuzalema), który został rekordzistą w tym

gronie, dożywszy 969 lat. Ojciec Noego, Lamech, osiągnął skromne 777 lat,

pozwalając wyprzedzić się synowi, który zaliczył 950 lat. Te parę egzemplarzy

wzorcowych przeżyło w sumie tyle lat, że należałoby to koniecznie zapisać

w Księdze Rekordów Guinesa - 8210 lat. A jeśli nie umarli...

Wszyscy - pomijając Henocha - umarli, a umarli pozostawili; przecież

śmiertelne szczątki na Ziemi. Postacie żyjące tak długo pewno zapadły

niezwykle głęboko w świadomość całych pokoleń, złożono je zapewne na wieczny

spoczynek we wspaniałych grobowcach.

Ale żadnego z tych grobowców nie udało się odnaleźć. Być może splukwały je

wody potopu. Gdzie jednak podziały się grobowce bohaterów Biblii, którzy żyli już po potopie? Gdzie spoczywają ich czcigodne zwłoki? Gdzie znajdują się jaskinie z wyrytą datą śmierci? Gdzie można by jeszcze znaleźć sarkofagi i przedmioty, w jakie zwykle wyposażano zmarłych na ostatnią drogę?

Abraham - patriarcha, który pozostawił mnóstwo śladów i zniknął bez śladu

Miejscem działalności legendarnego Abrahama, jednego z trzech patriarchów Izraela, była przede wszystkim miejscowość Mamre, leżąca 2 kilometry na północ od Hebronu. Na wysokości 1025 m n.p.m. wznosi się tam Góra Proroka.

Ów górzysty region jest terenem, na którym toczy się akcja opowieści

Abrahama. Tu właśnie miały miejsce znaki i cuda. Według Pierwszej Księgi Mojżeszowej (13, 18) Abraham osiedlił się w Mamre wraz ze swoimi trzodami, rozstawiając tu namioty i budując ołtarz. Stąd wraz z 318 sługami pognął za wojownikami babilońskimi, żeby uwolnić Lota i jego rodzinę. Mamre było również miejscem pamiętnego spotkania Abrahama z Panem, który przyrzekł patriarche, że jego potomstwo będzie równie liczne co gwiazdy na niebie.

Także w Mamre Pan nakazał dokonać rytualnego obrzezania. Abraham, który miał wówczas 99 lat - był więc już prawie poza dobrem i złem - dał przykład i obciął sobie napletek, podobnie zresztą jak jego trzynastoletni syn Ismael oraz niewolnicy, słudzy i wszyscy przebywający w jego namiotach (I Mojż. 17, 23 nn.).

Nieźbyt spokojnie było wówczas w Mamre. Zdarzały się sensacyjne spotkania.

Pewnego dnia, gdy Abraham siedział sobie przed namiotem, pojawiły się trzy tajemnicze istoty. Gocinny patriarcha kazal zaraz zabić cielaczka, którym poczęstował obcych... choć jego syn Ismael szeptał do matki, że ci obcy wcale "nie sa potomkami rodzaju zamieszkującego ziemie". W starozydowskim 'Testaniencie Abrahama' określa się tych niespodziewanych gości mianem "niebianskich ludzi", którzy "zstąpili z nieba", a następnie znów tam zniknęli.

Tak, Mamre stało się miejscem brzemienym dla historii, miejscem, W którym wedle tradycji powinny pozostać dla potomności monumenty, groby oraz inskrypcje. Nic podobnego. Wprawdzie w Mamre znajdują się resztki monumentalnych murów kamiennych, nie ma jednak nic, co mogłoby wskazywać na postać Abrahama czy jego niebiańskich gości. Gdyby choć ówczesni przedstawiciele rzemiosła artystycznego sporządzili na którejs ze scian szkic rydwanu ognistego albo portret gościa z Kosmosu - mógłbym wówczas chwalić Mamre jako miejsce spotkania Ziemi z przedstawicielami obcej cywilizacji! Nawet archeolodzy są bezradni - nie bardzo wiedzą, co począć z monolitycznymi fragmentami murów. W zależności od kasty robią więc z Mamre bądź pastwisko Abrahama bądź grob Abrahama, też miejsce poświęcone Ezawowi, bądź rezydencje króla Dawida - jednym słowem biblijne a la carte! Archeolodzy natomiast oddaleni od spraw Biblii widza w tych samych szczątkach budowlę bizantyjską, rzymską świątynię albo nie dokończony mur. Jeśli zaś chodzi o Mamre, to różnice w uczonych informacjach podawanych przez literaturę fachową dochodzą do 3 tysięcy lat.

Biblia mówi, że Abraham za 400 syklów srebra kupił sobie "jaskinię",

aby mieć "własny grob wśród was [...] w Machpela naprzeciw Mamre [...]" (I Mojż. 23, 9 nn.). Kazal sie tam pogrzebac wraz z zoną Sarą. W rodzinnym grobowcu pochowano rzekomo też jego synów, Izaaka, Jakuba, wraz z zonami, Rebeką i Leą - sześć postaci z Bibili w jednej grocie! Na pewno postacie tak wazne i szacowne wyposazono w ostatnią drogę w rzeczy swietne i okazałe, a miejsce to stalo się święte dla całych pokoleń. Na pewno jest to miejsce, które mozna zidentyfikować jeszcze dziś, bo przeciez Biblia podaje nawet nazwę grobu Abrahama - "jaskinia Machpela".

Na tym miejscu, w centrum Hebronu, wznosi się dziś przepyszny czworokątny meczet al-Ibrahimi - miejsce modłów mahometan, zydów i chrześcijan, pełne wspaniałych dywanów i swieczników. Po stronach środkowego pomieszczenia znajdują się krypty, pod którymi są podobno groby Izaaka i Rebeki. Po prawej stronie stoi ambona pochodząca z 1091 r., zdobiona artystycznymi ornamentami. Ze ścian migocą złotem sentencje z Koranu. Przez mosiężną kratę przeświecają ciemnozielone chusty, na których złotymi nićmi wyhaftowano arabskie litery. Znaki te mówią: "To jest grób proroka Abrahama. Niech spoczywa w pokoju". Haftowane złotem chusty okrywają dwa cenotafy (Cenotaf - pusty grobowiec dla upamiętniania zmarłego, którego tu nie pochowano. Cenotaf wygląda jak normalny grobowiec.). Cztery niewielkie białe kolumny podtrzymują marmurową nadbudowę wyglądającą jak baldachim. Wpuszczony w podłogę murek mniej więcej piętnastocentymetrowej wysokosci obłożony ciemnym drewnem. Sześćdziesiąt osiem stronnych stopni prowadzi podobno do komory grobowej Abrahama, znajdującej się nizej. Podohno! Meczet zalicza się wprawdzie do najświętszych miejsc mahometan i zydow, ale grobów, sarkofagów, relikwi i przedmiotów,

jakie kładziono przy zmarłych, i inskrypcji wcale nie widać.

Zadaję sobie pytanie, czy pod meczetem istotnie spoczywają kości Abrahama i jego rodziny? A może wiernych oszukano?

Meczet, postawiony dla uświetnienia grobów, istniał już za czasów wypraw krzyżowych (koniec XI - początek XIII w.). Nie wiadomo, co znajdowało się tu przedtem. Po zdobyciu Hebronu krzyżowcy przerobili meczet na klasztor oraz zmienili nazwę miejscowości na Miasto Świętego Abrahama.

W czasie modłów jeden z mnichów poczuł nagle dziwny przeciąg, o czym powiedział pozostałym braciom - przez następne dni szukano więc gorliwie wejścia do grobowca Abrahama. Z przekazów mnisi wiedzieli tylko, że w miejscu, gdzie stoi klasztor, znajdowała się kiedyś jaskinia Machpela.

Drewnianymi młotkami opukiwali podłogę tak długo, aż odkryli miejsce odzywające się głucho. Zdjęto jedną z kamiennych płyt, w dole był otwór.

Śpiewając Hosanna, mnisi zeszli po stromych schodach, które jednak kończyły się ścianą skalną. Przyniesiono wielkie mioty i po chwili sciana runęła.

Mnisi weszli do niewielkiego okrągłego pomieszczenia, które było zupełnie puste. Nic nie świadczyło o tym, że jest to grób.

Ale jeden z pobożnych poszukiwaczy nie pogodził się z tak marnym odkryciem - zaczął obmacywać ściany, aż w końcu znalazł kamień w kształcie klina, wpuszczony w mur. Gdy go naciśnięto, otworzyło się wejście do jaskini. W migotliwym świetle pochodni mnisi ujrzeli biel kości leżących na ziemi oraz nisze, gdzie znajdowało się piętnaście urn, w których grzechotały resztki szkieletów. Nie znaleziono jednak żadnych przedmiotów, w jakie wyposażano zazwyczaj zmarłych - nic, co mogłoby wskazywać, że leżące tu szczątki są

szczałkami Abrahama i jego rodziny. Opat jednak zarządził święto. Ku chwale Pana rozbrzmiały pieśni. Później część kości sprzedano jako relikwie, inne zaś podobno włożono z powrotem do grobowca. "Od tego czasu już nikt nie był w jaskini Machpela" - twierdzi duński podróżnik-badacz Arne Falk Ronne, który również podążał śladami Abrahama.

Dziś nie da się już ustalić, czy średniowieczne odkrycie grobu, miało właśnie taki przebieg. Czy mnisi albo krzyżowcy rzeczywiście nie znaleźli nic wskazującego, że są to kości Abrahama? Ite przedmiotów, znalezionych w grobie przerobiono na relikwie? Powszechnie zaś wiadomo, że w okresie wojen krzyżowych wiele przedmiotów pochodzących z Ziemi Świętej wyeksportowano do Watykanu i do klasztorów europejskich. Za dużo tu znaków zapytania. Wiem tylko tyle, że dziś niczego nie da się już sprawdzić - mahomańskie panicznie boją się wchodzić do grobowca, Allah bowiem karze ślepotą każdego, kto ośmielił się zakłócić wieczny odpoczynek proroka Ibrahima. Zapewne z podobnych powodów ortodoksyjni Żydzi uniemożliwiają prowadzenie w tym miejscu jakichkolwiek badań archeologicznych. To całkiem możliwe.

Ale bardzo prawdopodobne jest również to, że łopaty badaczy wydobyłyby na światło dzienne rzeczy, które zaprzeczyłyby temu, co dla ludu już przed wiekami uczyniono częścią wiary. Nie potrafię sobie wyobrazić, aby patriarchę tak zamożnego jak Abraham, przyjaciela Pana, złożono na wieczny spoczynek w sposób tak dyskretny, nie wkładając mu do grobu żadnych przedmiotów - a przede wszystkim bez sarkofagu, na którym znalazłyby się odpowiednie napisy. A może grobowiec zawierał kiedyś przedmioty i napisy, które później zniknęły w tajemniczy sposób, bo nie były dość stosowne... albo Abraham po

prostu nigdy nie spoczął w jaskini Machpela! Gdyby istniał choć jeden niepodważalny dowód na istnienie grobu Abrahama i jego rodziny, jaskinia Machpela byłaby już dawno uznana w Izraelu za narodową, a nawet międzynarodową świętość, a napisy nagrobne i przedmioty wyjęte z grobowca pokazywano by w Muzeum Narodowym w Jerozolimie - publiczność zaś z nabożną czcią i ze zdumieniem oglądałaby ów religijny i narodowy skarb. Ponieważ dowodów takich nie ma, logiczny wydaje się następujący wniosek: Nie był to po prostu Abraham.

Groby - tylko czyje?

To samo dotyczy też grobów pozostałych proroków w Ziemi Świętej. Kaidy może podziwiać w Izraelu następujące groby:

Ezawa - meczet w Si'ir (Zior), arabskiej wsi leżącej północ od Hebronu;

Lota - meczet w Bani Naim, arabskiej wsi leżącej na wschód od Hebronu;

Józefa - Nablus (Sychem albo Szechem);

Dawida - Jerozolima, Bazylika Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny na górze Syjon;

Samuela - na północny zachód od Jerozolimy, w pobliżu arabskiej wsi Jib (Gibeon);

Gada i Natana - Halhul, na północ od Hebronu;

Racheli - Betlejem.

Przy każdym z tych grobów stoi niebieska metalowa tablica z napisem:

Grobowiec, w którym spoczywa... Prawdziwego zaś, autentycznego dowodu na istnienie grobu któregoś z proroków szuka się po dziś dzień. Na próżno. Nie istnieje.

Najbardziej oszukany czuje się człowiek, który groby tej samej osoby znajduje w różnych miejscach - przy czym za każdym razem mieszkańcy wsi, w której jest dany grób, są do końca przekonani, że tylko ich grób zawiera prawdziwe kości.

Wiele grobów ma prorok Jonasz. Dziwilo mnie, gdy będąc jeszcze dzieckiem ze zdumieniem słuchałem na lekcjach religii, że Jonasz na jego własną prośbę marynarze wrzucili do wburzonego morza, gdzie połknął go wieloryb. Trzy dni i trzy noce spędził Jonasz w brzuchu potwora, nim wreszcie cały i zdrowy ujrzał znów światło dzienne (Jon. 2).

Dzisiaj wiem, że trzy dni i trzy noce spędzone w brzuchu wieloryba są tylko symbolem - czego to już nie uznawano za symbol! - trzech dni i trzech nocy poprzedzających zmartwychwstanie Chrystusa. Jako dorosły zacząłem badać legendy o Jonaszu i dowiedziałem się z podań żydowskich, że wieloryb nie był wielorybem - Jonasz wszedł do gardła potwora "jak człowiek, który wchodzi do jakiegoś pomieszczenia", a "oczy wodnego potwora były niczym okna i świeciły także do środka". Oczywiście Jonasz mógł rozmawiać z rybą, a przez rybie oczy (bulaje!) ujrzał "w świetle podobnym do słonecznego w samo południe" wszystko, co działo się w wodzie i na dnie morskim.

Tak, bardzo zainteresował mnie grób tego prehistorycznego pasażera łodzi podwodnej, zwłaszcza że legenda o Jonaszu wykazuje podobieństwo do

babilońskiej legendy o Oannesie. Legenda ta przedstawia rozumną istotę o imieniu Oannes mającą ciało ryby. Owa dziwna ryba mówiła ludzkim głosem i nauczyła istoty dwunożne pisma i wiedzy o budowie miast (Erich von Daniken, 'Czy się myliłem?' s. 101.). Gdzie jednak pochowano Jonasza naprawdę?

istnieje sześć wersji miejsca jego wiecznego spoczynku:

1. Mesed - Galilea;
2. Nabi Yunis - Judea;
3. Haihul - droga Betlejem-Hebron;
4. Tell Yunis - sześć kilometrów na południe od Jaffy;
5. en Nabi Yunis - między Sydonem a Bejrutem;
6. Hama - ok. 150 km na północ od Damaszku.

Co ma jednak powiedzieć zdenerwowany amator grobów, jeśli postać tak wielką jak Mojżesz pochowano rzekomo w Izraelu - według Tory zaś i Starego Testamentu Mojżesz nigdy nie dotarł do Ziemi Obiecanej?

Nabi Musa, grób Mojżesza, znajduje się 15 km od głównej szosy Jerozolima-Jerycho, oddalony o parę kilometrów w linii prostej od pieczar Qumran, gdzie przed trzydziestu laty znaleziono słynne zwoje, zawierające uzupełnienia do Pierwszej Księgi Mojżeszowej.

W Piątej Księdze Mojżeszowej (34, 4 nn.) czytamy: "I rzekł Pan do niego [Mojżesza]: To jest ziemia, którą poprzysiągłem Abrahamowi, Izaakowi i Jakubowi [...] pokazałem ci ją naocznie, lecz do niej nie wejdiesz [...] I umarł tam Mojżesz, sługa Pana, w ziemi moabskiej [...], a nikt nie zna po dziś dzień jego grobu".

Człowiek ze zdziwieniem zadaje sobie pytanie, dlaczego Pan przysiągł

Abrahamowi oraz Izaakowi Ziemię Obiecaną, jeśli obie postacie od dawna mieszkaly w Mamre. Człowiek stojący przed grobem Mojżesza ze zdumieniem dowiadyuje się, że nikt nie zna tego grobu!

Ponieważ nie ma rzeczy niemożliwych, to pewnie sprytne duchy uczyniły cud, żeby Mojżeszowi zapewnić jednak miejsce wiecznego odpoczynku w Ziemi Obiecanej.

Sultan Salladyn miał niegdyś sen, w którym Allah przeniósł smiertelne szczątki Mojżesza na zachodni brzeg Jordanu. Sen ów wystarczył, żeby stworzyć miejsce święte, w którym umieszczono cenotaf Mojżesza. W 1265 roku sultan Bajbars, znany także jako Zahir, czyli Zwycięzca, kazał postawić nad cenotafem meczet. W XV wieku mamelucy zbudowali obok meczetu wspaniałą zajazd, mający ponad czterysta pomieszczeń. Stało się!

Dziś co roku w drugiej połowie kwietnia u grobu Mojżesza pojawia się 70 tysięcy pielgrzymów. Meczet o wielu lśniących kopulach i minaretach, stojący pośród nagich skal i suchych wydm, sprawia wrażenie pysznej oazy. Pielgrzymi przeciągają z nabożnym drzeniem przed kratą, za którą stoi cenotaf pokryty zielonym płótnem. Cenotaf? Słownik wyrazów obcych twierdzi, że jest to "grobowiec nie zawierający zwłok". Słusznie!

Ziemia święta była brzezienna dla historii - od około 800 r. prz. Chr. miały tam miejsce zdarzenia szczególne, decydujące o rozwoju największych religii świata. Jeśli jednak chciałoby się uchwycić i przedstawić nieco dokładniej, co działo się przedtem, wówczas wszystko zaczyna wymykać się z rąk. Znikają ślady wielkich postaci: Abrahama, Melchisedeka, Lota, Dawida i Salomona, choć potencjalne świadectwa archeologiczne ich istnienia zapewne się jeszcze

gdzieś zachowały. Prorocy ci byli zbyt ważni, zbyt wielcy i zbyt święci, żeby zagał po nich wszelki ślad. Można wprowadzić powiedziec, że obszar określany dziś mianem Ziemi Świętej był miejscem bardzo gwałtownych procesów politycznych, wstrząsały nim wojny - ciągle niepokoje spowodowały najprawdopodobniej zniszczenie ewentualnych dowodów archeologicznych. To możliwe. Ale wątpliwości pozostają. Bo zarówno Izraelici, jak i Arabowie czcili te same postacie. W czasie wypraw wojennych Arabowie pozostawiali stare, czcigodne groby w stanie równie nie naruszonym jak Izraelici. To, co było istotne na Bliskim Wschodzie, musiało być istotne również w innych rejonach świata - tam jednak ruiny świątyni, pozostałości gimnazjonów, pamiątkowe kolumny, gliniane tabliczki pokryte pismem... oraz groby królów i bohaterów przetrwały próbę czasu. Dlaczego Ziemia Obiecana miałaby być wyjątkiem?

Przy barze w "King David"

Sfrustrowany i rozczarowany mizernymi efektami moich poszukiwań, siedziałem w podłym nastroju przy barze ekskluzywnego hotelu "King David" w Jerozolimie. Zastanawiałem się właśnie, dlaczego na istnienie starożydowskich proroków można znaleźć tylko pseudodowody, gdy nagle wyrwał mnie z zamyślenia jakiś młody człowiek:

- Jest pan turystą? - zapytał.

- Jestem jakby na polowaniu...

- A na co tu można polować?

w telegraficznym skrócie przedstawiłem mu moje bezskuteczne próby dokładnego zlokalizowania prawdziwego groba któregoś z proroków.

Młodzieniec słuchał uważnie, co pewien czas marszczył czoło, a następnie powiedział:

- Jestem izraelczykiem, ale moi rodzice przybyli z Kanady. Znam tu wszystkie groby, nie ma pan jednak racji przypisując nam wymyślenie tego całego cyrku.

- Jak to? A tablice z napisami po hebrajsku, arabsku i angielsku, które mają przywabić turystów?

- No tak! - zaśmiał się, - Ale wszystkie te groby były czczone przez Arabów, zanim powstało państwo Izrael. Na przykład Nabi Musa, grób Mojżesza, to świętość arabska. My, Żydzi, nie wierzymy w ani jedno słowo, jakie się z tym wiąże.

Zapadło milczenie.

Potem mój partner przy whisky powiedział:

- Niech pan pojedzie do grobu Aarona, brata Mojżesza. Ten grób jest prawdziwy.

- A gdzie to jest? - spytałem.

- W Jordanii, w pobliżu słynnego skalnego miasta, Petry.

Wtedy zaskoczyłem. Jako chłopiec połknąłem przecież książkę Johanna Ludwika Burckhardta 'podróż do Syrii i Ziemi Obiecanej'. Niejasno przypomniałem sobie, że poza wspaniałymi opisami Petry była tam również mowa o grobie Aarona.

- Był pan tam? Widział pan grób Aarona? - prowokowałem swojego rozmówcę, od

którego dowiedziałem się tymczasem, że jest pilotem izraelskiego lotnictwa wojskowego.

Przecież nie mogę tam pojechać! Do Jordanii nie wpuszcza się ludzi z izraelskim paszportem. A wielu moich ziomków chciałoby okazać Aaronowi cześć, wędrując do jego grobu. Znam relacje z lat trzydziestych i czterdziestych, kiedy odwazni żydzi próbowali odwiedzać to święte miejsce. Nikt nie wrócił. Pan jest Szwajcarem, nic więc nie stoi na przeszkodzie! Czy opowie mi pan wszystko po powrocie? Przyrzekłem mu to, a potem wymieniliśmy wizytówki. Portier wystarał się dla mnie o encyklopedię, w której przeczytałem:

"Johann Ludwik Burckhardt, szwajcarski podróżnik po krajach Wschodu i pisarz.

Ur. 24.11.1784 r. w Lozannie, zmarł 5.10.1817 w Kairze. Od 1809 r.

Burckhardt, który przeszedł na islam, podróżował po Syrii, Palestynie, północnej Arabii, półwyspie Synaj i po Egipcie, a w 1814 roku po Nubii. Jako pielgrzym mahometański mógł przebywać w Mekce i w Medynie. W 1812 roku odkrył powtórnie Petrę, częściowo zrujnowany skalny gród w południowej Jordanii".

Te skąpe dane encyklopedyczne nie zawierały nic o wizycie u grobu Aarona.

Nazajutrz w bogatej jerozolimskiej Bibliotece Narodowej znalazłem niemieckie wydanie książki Burckhardta 'Podróż do Syrii i Ziemi Obiecanej. Pamięć mnie nie myliła. Tropienie grobu Aarona chciałbym jednak poprzedzić opowieścią o moim ziomku i jego życiu pełnym przygód - bardziej pasjonującym od niejednej powieści kryminalnej.

W drodze do grobu Aarona

Jest początek sierpnia 1812 roku.

Burckhardt ma 28 lat. Przyjął imię Ibrahim Abdullah i przebrał się za szejka.

Kamuflaż jest doskonały, bo ten brodaty Szwajcar opanował arabski w równie doskonałym stopniu co mowę ojczystą. Na mahometanizm przeszedł z miłości do Wschodu - lecz również po to, żeby Arabowie nie odrzucili go jako niewiernego.

W sierpniu 1812 roku zamierzał w trakcie wlełodniowej podróży dotrzeć na wleblądzie z Damaszku do Kairu, jadąc przez dzisiejszą pustynię Jordańską.

Jak napisał w swoich notatkach z podróży, pragnął zobaczyć Wadi Musa, Dolinę Mojżesza - o jej legendarnych starożytnościach tubylcy opowiadali mu z największą czcią i zdumieniem.

Wyjechawszy poza Amman, Burckhardt najął Beduina znającego te okolice - Beduin jednak bał się niebezpieczeństw czyhających na samotnych wędrowców w trakcie długiej podróży przez pustynię. Żądał z uporem, żeby skierować się do Kairu drogą okrężną, przez Akabę, gdzie będą mogli dołączyć do przejeżdżających tamtędy często wielkich karawan. Burckhardt natomiast za wszelką cenę chciał Akabę ominąć, bo egipski pasza utrzymywał tam liczny garnizon kontrolujący okoliczne drogi, a mój odważny ziomek nie miał niestety arabskiego dowodu tożsamości, tym bardziej wystawionego na imię Ibrahim Abdullah. Nieustraszony Szwajcar miał za to temperament namiętnego badacza i wcale nie zależało mu na dotarciu do Akaby wydeptanymi drogami.

Cel - Petra!

Petra ciągle chodziła mu po głowie. Na wschodzie słyszał tajemnicze wieści o zagadkowym skalnym mieście. Jeszcze jako student znalazł w pracach greckiego geografę Strabona (63 prz. Chr. - 26 po Chr.) opisy tego wspaniałego miasta Nabatejczyków, gdzie wszystkie domy wykuto w litej skale. Przeczytał tam również, iż w mieście tym rządził król, który "urządzał ciągle uczyty", przy czym nikt nie [wypijał] więcej niż jedenastkę pucharów ze stale zmienianej złotej zastawy".

Historyk grecki Diodor Sycylijski, żyjący w I w. prz. Chr., przekazał szczegóły dotyczące tego tajemniczego miejsca:

"W kraju Nabatejczyków jest nader mocna skala, gdzie składa się zapasy; ma ona jedno wejście, może tamtędy przejść tylko niewielu... Miejsce to jest bardzo mocne, ale nie murowane, a oddalone od okolic zamieszkałych o dwa dni podróży".

Burckhardt był przekonany, że właśnie gdzieś tu, wśród suchych Pustynnych dolin, musi znajdować się kraj Nabatejczyków - z opisów podróży dowiedział się też, że na końcu Wadi Musa ma znajdować się grób proroka Aarona, czczony przez Arabów i silnie strzeżony. Tak, miejsce, w którym spoczywa prorok, jest stąd oddalone tylko o parę godzin jazdy, a żaden Europejczyk nie widział dotychczas jego grobu! Pobudziło to ciekawość Burckhardta.

Ale miał jeszcze na głowie tego upartego Beduina! Burckhardt pokonał go podstępem: powiedział, że nie może podróżować szlakiem karawan, bo złożył

uroczyste przyrzeczenie, że na cześć Aarona przetrzyna ofiarę z kozy.

Spalone słońcem czoło Beduina zmarszczyło się od myślenia: "Co ważniejsze? Strach przed pustynnymi rabusiami czy lęk przed gniewem Aarona?".

Aaron zwyciężył.

Po sześciu i pół godzinach jazdy mężczyźni dotarli do skrzyżowania szlaków prowadzących do Akaby i do Wadi Musa. Niewielki kopczyk kamienia w pobliżu skrzyżowania Beduin uznał za odpowiednie miejsce do złożenia ofiary z kozy - ślady krwi zamaskuje się kamieniami. To wystarczy. Burckhardt sprzeciwił się jednak. Ślub zobowiązuje go do złożenia ofiary przy grobie Aarona, grobu zaś, jak okiem sięgnąć, nie widać. Ale teraz wyczerpała się już odwaga Beduina. "Tu zaczyna się - rzekł - kraina starożytności, a grób Aarona leży po drugiej stronie doliny. Nie odwagę się tam pójść."

Burckhardt pojechał więc dalej samotnie.

Dumnie i naturalnie, jak na prawdziwego szejka przystało, wjechał do miejscowości Eldjn w Dolinie Mojżesza. Wieś, licząca około trzystu domów, była otoczona murem. Burckhardt wiedział wprawdzie, że swoją maskaradę może przyplacić życiem, ale przysiadł się do plotkujących handlarzy, pochwalil Allaha, Mahometa i Aarona, i opowiedział o ślubie, zobowiązującym go do złożenia ofiary u grobu Aarona. W końcu jeden z mieszkańców wsi zgodził się za kilka starych podków zaprowadzić szejka Ibrahima Abdullaha do grobu proroka.

22 sierpnia 1812 roku

Burckhardt i jego wiejski ciceronne jechali konno przez wąwóz biegnący nieco w górę, który był czasem tak wąski, że mieścił się w nim tylko jeden koń.

Nagle przed jeźdźcami otworzyła się niewielka kotlina skalna. Burckhardt ujrzał ze zdumieniem wielopiętrową fasadę wspaniałej świątyni z kolumnami, którą wykuto w tej skale. Nie chciał po sobie poznać, jak jest zdumiony i ciekawy - nie stawiał więc wielu pytań. Wynajęty przewodnik od pewnego czasu zaczął podejrzewać:

"Teraz już wiem, że jesteś niewierny i że nie masz dobrych zamiarów wobec ruin naszych przodków. Ale nie uda ci się zabrać nawet najmniejszego drobiazgu z ukrytych tu skarbów, bo znajdują się na naszym terenie i należą do nas".

Zdziwiony Szwajcar zapewniał, że rozgląda się tylko dlatego, że wpadł w zachwyt na widok tego miejsca. Lecz jego towarzysz pozostał nieufny - jak wszyscy mieszkańcy Wadi Musa był przekonany, że panują tu siły nadprzyrodzone i że czarownik, dysponujący dość dużą siłą tajemną, może sprawić, iż skarby podążą za nim nawet wówczas, gdy znajdzie się już daleko poza skalnym miastem. W trakcie dalszej jazdy Burckhardta zdumiał widok ogromnych budowli wykutych w ścianach wąwozu po obu stronach Potoku Mojżesza, tak jakby były ze skalami zrosnięte. Nigdzie natomiast nie było widać śladów prac murarskich.

W swoim dzienniku podróży wyznaje, dlaczego tak zdecydowanie powstrzymywał się wówczas od okazywania zdziwienia:

"Znałem charakter ludu, wśród którego przebywałem. Tu, w samym środku pustyni, gdzie nigdy nie pojawiają się podróżni, nie miałem najmniejszych

szans na jakąkolwiek obronę. Dokładniejsze badanie owych dzieł sporządzonych rękami niewiernych, jak mówili miejscowi, mogłoby wywołać podejrzenia, że jestem czarownikiem albo poszukiwaczem skarbów. W najlepszym razie przeszkodziłoby mi to w dalszej podróży do Egiptu, w najgorszym pozbawiono by mnie odzienia i zrabowano pieniądze i dziennik, znacznie ważniejszy dla mnie od pieniędzy. Podróżni, którzy zechcą pojawić się tu w przyszłości, powinni zwiedzać to miejsce pod ochroną zbrojnych oddziałów".

Opuściwszy kotlinę i skalne miasto mężczyźni wjechali na kamienistą wyżynę zwaną Tarasem Aarona. Przed nimi w słabym świetle zachodzącego słońca lśnił na szczycie góry niewielki biały budynek z kopułą widoczną w zmierzchu. Grób Aarona! Burckhardt od razu by tam poszedł, lecz zrobiło się już za późno, a poza tym podejrzliwy przewodnik bardzo obawiał się napadu rabusiów w nocy. U podnóża Góry Aarona Burckhardt zauważył "wiele podziemnych grobów, każdy z wejściem wykutym w skale". Tu postanowił zabić przyprowadzoną kozę. Gdy z tętnicy zwierzęcia trysnęła krew, Beduin padł na ziemię i zaczął się modlić, krzycząc na całe gardło:

"Och, Harunie, spójrz na nas! Dla ciebie składamy tę ofiarę. Och, Harunie, ochroń nas i przebacz nam! Och, Harunie, przyjmij w dobrej woli ten czyn, bo koza jest okropnie chuda!"

Kilkakrotnie powtórzywszy modlitwę, mahometanin zamaskował ślady krwi kamieniami.

Na kilometr przed celem nasz dzielny podróżnik musiał jednak zrezygnować z wycieczki do grobu Aarona. Później tego żałował, tym bardziej, że dowiedział się, iż u stóp góry, na której znajdował się grób, było jeszcze wiele innych

grobowców wykutych w litej skale. Johann Ludwig Burckhardt zmarł w Kairze, mając zaledwie 33 lata.

Aaron - brat i rywal Mojżesza

Książka podróz do Syrii i Ziemi Obiecanej zainteresowała mnie w trakcie powtórnej lektury tak samo jak wówczas, gdy byłem jeszcze gimnazjalistą.

Znowu porwały mnie zachwycające opisy skalnego miasta, o którym dziś już na pewno wiadomo, że jest owym miastem Nabatejczyków, wymienianym przez Strabona oraz innych pisarzy starożytności.

Zafascynowała mnie także - i to bardziej niż podczas pierwszej lektury - myśl o grobie Aarona na szczycie. Biblia intrygowała mnie od dzieciństwa, Aaron zaś był dla mnie jedną z najbardziej interesujących osobowości - figurą barwną i zagadkową. Czy uroczysty pogrzeb proroka nie był czymś tajemniejszym? Pan we własnej osobie kazał Mojżeszowi namaszczyć brata! Mojżesz umył Aarona, ubrał go w swoją tunikę i wierzchnie suknie, założył mu pas, dał pectorał, czyli napierśnik, do którego włożył kamienie tummim przysługujące wyłącznie najważniejszym kapłanom. Na koniec ułożył mu na głowie zawój, z którego przedniej strony przymocował złoty diadem, świętą koronę. (III Mojż. 8, 1 m.)

Jakież to szczególne właściwości miał ten zawój? Ponieważ Pan kazał go zakładać, gdy osobiscie nadzorowało się wypełnianie jego poleceń, musiał pełnić funkcję nie tylko ozdobną. Sądzę, że kamienie urim i tummim, które

w pobliżu Arki Przymierza rozbłyskiwały kolorami, miały jakieś szczególne działanie. Interpretowano je jako kamienie wróżebne, zastrzeżone dla najwyższych kapłanów - nie bez powodu zapewne woreczek, w którym je noszono, zwał się torbą rozstrzygnięć - była ona nierozdzielnie związana z szatami wtajemniczonego. Kamienie te określano ponadto mianem kamieni tłumaczenia - przy ich pomocy wybrańcy mogli tłumaczyć w mowie i w piśmie języki kultur dawno minionych. Czy przy pomocy złotego diademu, czyli jakby urządzenia nadawczo-odbiorczego, Pan mógł przekazywać Aaronowi rozkazy i odpowiadać na jego pytania? Godne uwagi jest to, że Aaron zawsze był tam, gdzie pojawiały się problemy techniczne. To on był prawdziwym szefem Namiotu Świadcstwa, gdzie Mojżesz na każdym obozowisku kazał wnosić przedmioty użytkowo-kultowe, na przykład Arkę Przymierza.

Gdy doszło do bitwy między Izraelitami a Amalekitami, rozkazał Jozuemu ruszyć w pole, sam zaś - w towarzystwie Aarona i Chura - stanął "z laską Bożą w rękę" na posterunku na po wzgórzu. To, co o zdarzeniu tym opowiada Biblia, jest zadziwiające w najwyższym stopniu:

"Dopóki Mojżesz trzymał swoje ręce podniesione do góry, miał przewagę Izrael, a gdy opuszczał ręce, mieli przewagę Amalekici. Lecz ręce Mojżesza zdrętwiały. Wzięli więc kamień i podłożyli pod niego, i usiadł na nim; Aaron zaś i Chur podpierali jego ręce, jeden z tej, drugi z tamtej strony. I tak ręce jego były stale podniesione aż do zachodu słońca". (II Mojż. 17, 1 n.)

Jak to właściwie było z tą "laską Bożą"? Pewne jest, że wazyła sporo, bo Aaron i Chur musieli podierać ręce Mojżesza, trzymającego ten przedmiot. Czy nie nasuwa się tu nieodparcie obraz tryosobowego oddziały specjalnego,

dysponującego potężną, rozstrzygającą bronią, który zajął strategicznie korzystną pozycję powyżej pola walki?

Tylko Mojżesz znalazł tajemnicę tej broni i umiał się nią posługiwać, wkrótce jednak zmęczony się i towarzysze musieli mu pomagać w utrzymaniu celu na muszce. Gdy Mojżesz celował dokładnie, zwyciężali Izraelici, gdy bron odkladał, posuwali się naprzód Amalekici. Czym więc naprawdę była "laska Boża"? Laserem zasilanym energią słoneczną? Dowiemy się tego dopiero wówczas, gdy odnajdzie się choćby części tej broni albo gdy maszyna czasu, strasząca w literaturze science fiction, pozwoli nam przenieść się w najdawniejsze epoki. Nie powinno nam to jednak przeszkadzać w zadawaniu dalszych pytań: Moze w grobie Aarona leżą relikty techniki tamtej epoki, owianej mgłą tajemnicy? Czy istnieją gdzieś jeszcze cudowne kamienie urim i tummim? A moze czeka gdzieś na odkrycie wystawna ozdoba głowy Aarona? Czy włożono mu ją do grobu?

Kim był Aaron?

Naszą ciekawość może zaspokoić Encyklopedia żydowska.

Aaron był najstarszym synem Hebrajczyka Amrama z rodu Lewiego. Drugi syn, Mojżesz, był o trzy lata młodszy, siostra zaś, Miriam, o kilka lat starsza od obu. Aaron, wnuk najwyższego kapłana, Lewiego, sprawował w swoim rodzimym kraju urząd kapłana. Mojżesz wychowywał się na dworze egipskim, Aaron zaś mieszkał u rodziny w pobliżu wschodniej granicy Egiptu i był znany jako wspaniały

mówca. Gdy Mojżesz otrzymał od Pana rozkaz uwolnienia Izraelitów z egipskiej niewoli, wezwał do siebie Aarona.

Mojżesz bowiem nie był dobrym mówcą, brakowało mu rzecznika, który w przekonujący sposób przedstawiłby faraonowi żądania Izraela. W latach exodusu Aaron awansował na przedstawiciela Mojżesza i na najwyższego kapłana - znalazł się pod szczególną opieką "Pana w słupie obłocznym".

Gdy tylko pojawiały się problemy natury technicznej, od razu wzywano Aarona.

Uważano go za maga, potrafiącego robić rzeczy, które masy uznawały za cud.

Mojżesz opowiada, że pewnego razu "Aaron rzucił laskę swoją przed faraonem i jego sługami, a ona zamieniła się w węże". Gdy nadworni czarownicy faraona

powtórzyli ten trick, wąż Aarona pożarł ich węże (II Mojż. 7, 10). Ta

czarodziejska laska sprawiła, że wody Egiptu zamieniły się w krew, a potem

na królestwo faraona spadła plaga obrzydliwych zab i wstrętnych komarów.

Widowiskowy był również inny występ obu braci na dworze faraona. W 'Legendach

Zydów' przekazano, że Mojżesz i Aaron obawiali się audiencji, lecz obok nich

pojawił się zaraz archanioł Gabriel i wprowadził obu niepostrzeżenie

do palacu. Choć strażę ukarano surowo za brak czujności, zagadkowa sprawa

powtórzyła się nazajutrz. Mojżesz i Aaron bez przeszkód dotarli przed tron

faraona. Na dumnym władcy Egiptu wywarli dość nieprzyjemne wrażenie, ponieważ

"byli równi aniołowi, isnili i plonęli jak słońce, zrenice ich oczu świeciły

niczym światło jutrzienki, ich brody były niczym młode gałęzie palm, a gdy

mówili, płomienie wytryskiwały im z ust". Inscenizacja była bajeczna.

Pewnego razu Pan rozkazał, żeby Mojżesz zebrał po lasce od książąt wszystkich

pokoleń i położył je przed Arką Przymierza w Namiocie Świadcstwa. Izrael

miał dwanaście rodów, zebrano się więc dwanaście lasek - na każdej wyryto imię jednego rodu. Pan jednak nakazał, żeby na lasce Lewitów wyryć nie imię rodu, lecz imię Aarona:

"Mojżesz położył laski przed Panem w Namiocie Świadeetwa. A gdy nazajutrz wszedł Mojżesz do Namiotu Świadectwa, oto kwitła laska Aarona z domu Lewiego, wypuściła pączki i wydała kwiat i dojrzałe migdały". (IV Mojż. 17, 22 n.)

Od czasów Aarona laska jako różdzka stała się nieodłącznym rekwizytem wszystkich czarowników, którzy najprawdopodobniej nawet nie wiedzą, któremu z kolegów po fachu ją zawdzięczają.

Istnieją różne zdania na temat miejsca, gdzie znajduje się czarodziejska laska ze Starego Testamentu. Jedni uczeni utrzymują, że włożono ją do Arki Przymierza, a całość ukryto - inni znów są przekonani, że złożono ją w grobie Aarona.

Nawet na temat śmierci cudownego Aarona krążą różne pogłoski. 'Encyklopedia żydowska' podaje, że Aaron zmarł "pierwszego dnia piątego miesiąca w wieku 123 lat". Zapomniano niestety podać rok, w którym nastąpił zgon. Tak natomiast brzmi biblijna relacja o jego śmierci:

"I rzekł Pan do Mojżesza i Aarona pod górą Hor na granicy ziemi edomskiej: [...] Weź Aarona i jego syna Eleazara i wyprowadź ich na górę Hor, i każ Aaronowi zdjąć jego szaty, i odziej w nie jego syna Eleazara. Aaron zaś tam umrze i będzie przyłączony do ludu swego. I uczynił Mojżesz tak, jak rozkazał Pan, i wstąpili na górę Hor na oczach całego zboru. Tam kazał Mojżesz Aaronowi zdjąć jego szaty i odział w nie syna jego Eleazara. I umarł tam Aaron na szczycie góry". (IV Mojż. 20, 23 nn.)

Znacznie dokładniej, z wieloma szczegółami, opowiada o tym legenda:

Bóg Najwyższy powiedział Mojżeszowi, że Aaron wkrótce umrze i że grób dla niego przygotowany na szczycie góry Hor. Nieublagany surowy Bóg nakazał, żeby Mojżesz powiedział to bratu. Bezskutecznie próbował Mojżesz wytargować od Boga dłuższe życie dla Aarona. Jego śmierć była postanowiona "nie z powodu jego grzechów, lecz na skutek kłosa węża", cokolwiek przez to pojęcie rozumiano.

Mojżesz, Aaron i Eleazar wspięli się na górę Hor. Aaron był ubrany w szaty najwyższego kapłana. Gdy dotarli na szczyt, "otworzyło się przed nimi wejście do jaskini, a Mojżesz nakazał bratu wejść do środka". Podstępem skionił go do zdjęcia szat: "Aaronie - rzekł - to nierozsądne wchodzić do jaskini w kapłańskich szatach, bo mogłyby się zabrudzić. Jaskinia jest ogromna i mieści zapewne również inne groby". Aaron z pełnym zaufaniem posłuchał rady brata, zrzucił z siebie świetne ubranie, w które Mojżesz - zgodnie z poleceniem Pana - ubrał zaraz Eleazara. Ze strojem tym wiązało się na pewno coś szczególnego. Gdy Aaron zatrzymał się nagi u wejścia do jaskini - niech Bóg nas ma w swojej opiece! - stał się cud! Już w trakcie rozbierania spłynęło z nieba "sześć części niebiańskiego ubrania i okryło Aarona".

A jednak!

Mojżesz nakazał Eleazarowi pozostać na zewnątrz, sam zaś wszedł z Aaronem do jaskini. Pomieszczenie było oświetlone, w środku stał stół a nawet łóżko, wokół którego zgromadziły się anioły. Dopiero wówczas, dopiero w tej chwili Aaron zrozumiał, że przygotowany tu dlań śmiertelne łożo. Dla przerazonego Aarona Mojżesz miał jednak w pogotowiu słowa

pocieszenia - nie umrze on jak zwykły człowiek, lecz "przez pocałunek Boga".

Aaron przystał na to. Powiedziawszy kilka słów na pożegnanie, brat Aarona prędko opuścił grobowiec.

Mojesz i Eleazar zeszli z góry. Oczekiwał ich lud, który zauważył brak Aarona. Zaczęto zadawać nieprzyjemne pytania. Czy Mojesz zabił swojego brata z zazdrości, bo Aaron był bardziej lubiany przez lud? A może to Eleazar zamordował ojca, żeby przejąć urząd najwyższego kapłana?

Znalazłszy się w dość przykrym położeniu, Mojesz wezwał na pomoc Pana, który jak zawsze był na miejscu i rozkazał aniołom, żeby "śmiertelne loze Aarona przeleciało przez powietrze. Tak też się i stało. Tymczasem "Bóg wraz ze swymi aniołami celebrował na górze Hor pogrzeb Aarona". 'Eleazar' (hebr.) znaczy "Bóg dopomógł". Rzeczywiście! Nieco mniej bajkowo, lecz nadal dość fantastycznie przedstawia śmierć Aarona legenda islamska.

"Musa [Mojesz] i Harun [Aaron] ujrzeli pewnego dnia jaskinię, z której płynęło światło. Weszli do środka, gdzie znaleźli złoty tron z napisem: Dla tego, dla którego będzie odpowiedni. Ponieważ dla Musy tron zdał się za mały, zasiadł na nim Harun. Od razu zjawił się anioł śmierci i porwał jego duszę. Harun miał wówczas 127 lat."

W Starym Testamencie jest bardzo niewiele postaci tak tajemniczych jak Aaron.

Od czasu gdy powtórnie przeczytałem opisy Burckhardta, zacząłem zadawać sobie następujące pytania: Dlaczego nikt nie troszczy się o górski grób Aarona?

Wiadomo przecież, że jest. Czy znajdowały się tam jakieś przedmioty, dawane zwykle zmarłemu na jego ostatnią drogę? Czy na grobie były inskrypcje? Czy coś mogłoby świadczyć o tym, w jaki sposób komorę grobową wykuto czy wycięto

w skale? Czy na leżącej za Petrą Górze Aarona znajdowały się jeszcze inne z mumifikowane zwłoki? Czy między komorami grobów na Tarasie Aarona istniały naprawdę podziemne połączenia - pisał o nich Burckhardt - prowadzące do grobowców na szczycie? A jeśli nie był to Aaron, to czyje doczesne szczątki czczą wierni od tysiącleci?

Przewertowałem całą dostępną mi literaturę na temat Petry. Nie znalazłem w niej prawie nic o grobie Aarona. Wprawdzie w naszym spartaczonym stuleciu odwiedziło Petre paru archeologów i globtroterów, którzy następnie opisali cudowne skalne miasto - niektórzy zadali sobie nawet trud dotarcia do grobu proroka - ale nie znalazłem ani jednej przyzwoitej pracy na temat grobu Aarona czy zawartości grobowców. Za pomocą tasmy mierniczej i pionu naniesiono na mapę każdy kopczyk kamieni, znajdujący się w Petrze. Grób Aarona natomiast, będący tuż obok, nie wzbudził niczyjego zainteresowania. A może jest tabu? Dlaczego? Czyżby ludzie podróżujący po Oriencie tak bardzo obawiali się urazić uczucia religijne mahometan, czczących Aarona? Czyżby niesamowita aura mistycyzmu i tajemniczości, otaczająca tego zadziwiającego nieznanego, chroniła go tak skutecznie po dziś dzień? Czy dlatego unikano zbliżania się do jego grobu?

Zgodnie z arabską sentericją - doświadczenie to okulary rozumu - chciałem się dowiedzieć, co można zobaczyć na Górze Aarona. Nie miałem najmniejszych złudzeń, że uda mi się rozwiązać tę zagadkę czy też zagadki. Jako tropiciel poszukujący śladów w archeologicznej dżungli wiem aż nazbyt dobrze, iż zanim się dotrze do celu trzeba przedrzeć się przez gąszcz formularzy, aż wreszcie otrzyma się od władz pozwolenie na wejście do silnie chronionych

i strzezonych pomieszczeń - a urzędnicy patrzą przy tym krzywo na każdy aparat fotograficzny. Częstość zniechęcają człowieka już same środki finansowe, które są niezbędne, aby dotrzeć do celu. Mimo wszystko ja zaryzykuję. Pojadę do grobu Aarona!

Ebet moim pilotem

Podróż do Jordarii nie powinna mi sprawić dużych trudności, nie chciałem jednak wybierać się do Petry samotnie. Z doświadczeń wielu podróży po świecie, częstość niezbyt bezpiecznych, wiem, że dobrze jest mieć koło siebie pilota, na którym można polegać. Zadzwoiłem więc z Jerozolimy do żony, uwielbiającej terenową jazdę samochodem - będzie ona właściwym człowiekiem na wycieczkę po pustyni. Podniósłszy słuchawkę i usłyszawszy, o co mi chodzi, Elisabeth (Ebet) westchnęła najpierw głęboko, a potem powiedziała, że bym zorientował się, kiedy przylatuje do Ammanu najbliższy bezpośredni samolot z Zurychu - mam czekać na nią na lotnisku. Cudowna reakcja - pełne zrozumienie po dwudziestu ośmiu latach małżeństwa.

Jerozolima jest odległa od Ammanu tylko o 83 kilometry, ale jeśli ktoś chce przejechać przez słynny most Allenby na Jordanię, powinien mieć przy sobie drugi paszport. Bo jeśli w dokumentach znajdzie się Izraelska wiza albo inna pieczęć tego kraju, to podróżnemu nie będzie wolno przekroczyć granicy Jordanii. Uprzedzono mnie o tym, dysponowałem więc teraz dziewiczo czystym duplikatem mojego paszportu. Po czterokrotnych przesiadkach z taksówki do

taksówki dotarłem wreszcie do nowoczesnego, obszernego budynku dworca lotniczego w Ammanie

- akurat w porę, żeby wziąć Ebet w ramiona.

Późnym popołudniem znaleźliśmy się w hotelu "Marriott" - było tak gorąco, że języki kleiły się nam do podniebienia. poprosiłem o dwa zimne piwa.

- No alcohol! - powiedział z groźną miną elegancko ubrany boy hotelowy

- Nie ma alkoholu? Czyżbyśmy nie byli w nowoczesnym hotelu?

- Ramadan! - zabrzmiała uroczysta odpowiedź.

Muszę się w końcu postarać o mahometański kalendarz! Dziewiątym miesiącem roku księżycowego jest tutaj miesiąc postu - ramadan. Skąd miałby o tym wiedzieć Europejczyk? Zadne biuro podróży nie zwraca na to uwagi. W czasie ramadanu od wschodu do zachodu słońca nie podaje się nic do picia i jedzenia, nawet palenie tytoniu jest zabronione. Nocą trwa jednak święto: ucztuje się i urządza rodzinne przyjęcia. Ale alkoholu nie dostanie się nawet po zapadnięciu zmroku - przynajmniej oficjalnie. W krajach rządzonych ściśle według prawideł Koranu - w Iranie, Arabii Saudyjskiej, Libii - alkohol jest tabu nawet w czasie pozostałych miesięcy: Mahomet zabronił.

Siedzieliśmy więc teraz na hotelowym tarasie; spokojny dzień dobiegał końca.

Amman budził się powoli do życia. Głosem wzmocnionym przez głośniki muezzini zwolywali z miriaretów wiernych na modły. Ostatnie promienie słońca - noc zapada tu szybko - wyczarowały różowe rozkłyski światła na kopulach meczetów, wieżyczkach i dachach domów: cudowna ilustracja do "Księgi tysiąca i jednej nocy". W słabym świetle migocącej lampy stojącej na naszym stoliku przestudiowaliśmy mapy drogowe i postanowiliśmy wynająć samochód, którym

pojedziemy do Petry Drogą Królewską (Kings Highway). Mielismy do pokonania 227 kilometrów, co oznaczało pięć godzin spokojnej jazdy.

Ramadan!

Na nic nasza europejska zaradność! Mahometanie trawią nocne posiłki podczas długiego snu. Dopiero koło jedenastej pojawił się niezwykle uprzejmy mężczyzna w turbanie - i wynajął nam samochód. Już po kwadransie wyjechalismy z miasta na południe i znaleźliśmy się na dwupasmowej autostradzie, prowadzącej do lotniska. Po kolejnych dziesięciu minutach dotarliśmy do wyjazdu w kierunku Madaby. Na skrzyżowaniu lśniła tablica, pozostała tu jeszcze z czasów kolonialnych: Desert Highway - Kings Highway. To, że tak prędko wydostaliśmy się z miasta, zawdzięczamy ramadanowi - mahometanie nie śpieszą się wówczas, poszcząc w spokoju. Tu i ówdzie widac było grupki rozmawiających mężczyzn, na głowach mieli chusty - albo całkiem białe, albo w czerwono-białą kratę, złożone w trójkąt i związane plecionką z wielbłądziej welny. Pozdrawiali nas z godnością, niektórzy machali do nas.

W miasteczku Madaba, 37 kilometrów za Ammanem, większość sklepów i straganów była czynna. Mieszkańcy należą tu przeważnie do kościoła rzymsko- albo grekokatolickiego - nie dotyczy ich miesiąc postu. Madaba słynie z mozaikowej podłogi, którą odkryto w czasie odbudowy zniszczonej bazyliki. Mozaika ta, mająca 25 metrów długości i 5 szerokości, składa się z 2,5 miliona kolorowych kamyków, a przedstawia bizantyjską mapę Palestyny oraz plan Jerozolimy - jest to cud ludzkiego arcyzmu i pracowitości.

W skalistych górach Petry

Drogą pełną zakrętów jechaliśmy przez pagórkowatą pustynię, aż wreszcie, gdy słońce stało już w zenicie, otworzyła się przed nami Wadi Mujib, przecinająca Pustynię Jordańską ze wschodu na zachód a dochodząca do Morza Martwego. Oczywiście od razu ozyla przesłonec. Johann Ludwig Burckhardt, który 174 lata temu przemierzał tę okolicę, dysponując o wiele mniejszą od nas ilością koni, i to nie mechanicznych; chrześcijańscy rycerze krzyżowi, którzy w żelaznych zbrojach pokrytych piachem walczyli z mąhometanami. Także tu pułkownik wojsk brytyjskich Thomas Edward Lawrence, znany również jako Lawrence z Arabji, będąc doradcą króla Iranu Fajsala (1883-1933), zwyciężył w wojnie wyzwoleniczej przeciwko Turkom. Gdy zbliżaliśmy się do Kerak, zamku krzyżowców wznoszącego się na niewielkim płaskowyzu 1050 m n.p.m., zobaczyliśmy przy drodze machającego do nas arabskiego chłopca - wyglądał na niezwykle zdenerwowanego, zatrzymałem więc samochód. Chłopiec sklonił się, potem obiegnął auto i przy pomocy gestykulacji oraz mimiki próbował nam coś wyjaśnić. Niestety, nie potrafiłem go zrozumieć. Wskazywał na czarny, zaniedbany namiot koczowniczy, stojący w pewnej odległości od drogi. Obiema rękoma lapał się z rozpaczą za twarz, rwał sobie włosy z głowy, wskazywał na serce - w końcu złapał mnie nawet za rękę, którą trzymałem na kierownicy, i pocałował. Patrzyliśmy na siebie z Ebet bezradnie. Zrozumiałe było tylko to, że chłopiec o coś prosi, ale nie wiedzieliśmy o co. Moja żona wzięła torbę z prowiantem zabranym z hotelu - jajka, kanapki z szynką, owoce, pół pieczonego kurczaka -

leżącą na tylnym siedzeniu, i wręczyła ją chłopcu. Nigdy nie widziałem, żeby rozpacz widniejąca na dziecięcej twarzy tak szybko zamieniła się w szczęście!

Chłopiec pobiegł do namiotu, trzymając przed sobą naszą torbę jak zdobycz.

Zawstydzeni, bo nie wiedzieliśmy, czy ten -ktoś w namiocie nie potrzebuje dalszej pomocy, pojechalismy w milczeniu dalej.

Pustynia ta była niegdyś miejscem tajemniczym i groźnym. Gdy wróciwszy do domu słuchałem wrażeń z podróży nagranych na taśmę i zasięgałem bliższych informacji u doskonałego znawcy Jordanli, Karla-Ericha Wilkena, przeczytałem między innymi taki opis okolic, przez które jechalismy.

"Zwłoki obrabowanych i zamordowanych przez chciwego szejka beduińskiego plemienia Huetat zakopywano gdzieś na pustyni albo wrzucano w niedostępne, bezdenne przepaście, jakich pełno w górzystej okolicy Petry. potem litowały się nad nimi sępy i hieny. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu panowały tu prawa zupełnie odmienne od naszych - niepisane prawa, jakie ustanowili szejkowie Beduinów. Ich rozkazy były święte! Podróżni musieli płacić, jeśli nie pieniędzmi to życiem."

'Insz Allah'. Tak chce bóg. My zaś beduińskiemu chłopcu dalismy myto z całego serca.

Droga, prowadząca wśród gór i dolin, biegła wąskim skrawkiem żyznego kraju, obok namiotów Beduinów. Czasami musieliśmy się wlec w żółwym tempie, jadąc za karawaną wielbłądów i zwierząt jucznych, której przewodził prawie czarny osiołek. Wielbłądy z wysuniętymi dolnymi wargami spoglądały na nas wyniosie. Gdy koło czwartej pośladowane ruchome wydmy zaczęły rzucać czerwone cienie, dotarłismy do miasta wzgórz, Szobak, pełnego niewielkich domków zbudowanych

z kamiennych złomów, zebranych w okolicy albo wyszabrowanych z historycznych budowli. Nawet potężny zamek krzyzowcow, zbudowany tu w 1115 roku przez wina I, użyczył zapewne okolicznym mieszkańcom materiału budowlanego. Gdy ujrzeliśmy go w upale późnego popołudnia, zupełnie nie potrafiliśmy sobie wyobrazić, jak rycerze z Północy wytrzymywali całe lata taką temperaturę. My oblewaliśmy się potem nawet bez żelaznych zbroi - mieliśmy na sobie tylko tyle, żeby mahometan nie denerwowała nasza zachodnia dekadencja.

Znaleźliśmy bardzo dobry nocleg. Hotel "Petra Forum" otwarto dopiero w 1983 roku. Usiedliśmy na tarasie i patrzyliśmy w granatowe niebo. Nad lśniącymi fioletem skalami, wśród których kryje się Petrz, wisiała jakby girlanda delikatnych, różowych swiateł. L'heure rosée. W oddali, wysoko nad ciemnobrązowymi skalami, na jednym ze szczytów lśniło coś jak perła. Kelner powiedział nam, że to Dżebel Harun, Góra Aarona. Mając w zasięgu wzroku cel mojej podróży, spytałem go o grób Aarona. Tak, znajduje się właśnie tam, na górze, a świetlista perła, która bladła coraz bardziej w zapadającym zmierzchu, to kopuła niedużego meczetu, zbudowanego w tym miejscu. Nawiązałem rozmowę z pozostałymi gośćmi hotelu - byli to turyści z bardzo wielu krajów, zwiedzający Petre. Nikt z nich jednak nie był na Dżebel Harun. Nikt nie interesował się grobem proroka.

Po chwili podeszła do mnie Ebet i wcisnęła do ręki puszkę z sokiem pomarańczowym. Wspaniały pomysł! Zbliżyłem puszkę do ust, skosztowałem... wiano do niej chyba sporą porcję whisky! To dlatego hotelowi goście zachowywali się tak wesoło, hałasliwie i radosnie - choć pili tylko herbatę. Nie zaskoczyło mnie to niemile. Miałem również prawo przypuszczać, że

i herbata była obficie ochrzczona C2 H5 OH. Insz Allah!

Wędrówki z Mahmudem

Nazajutrz zaangażowaliśmy dragomana - przewodnika, który naprawdę mówił paroma językami. Do tutejszego cechu przewodników należały cztery osoby: Mahmud, Mohammed, Ahmed i Ali. Nasz sprytny dragoman nazywał się Mahmud. Pomógł nam wybrać konie - na jego zaufanie zasłużyły dwie klacze, Susanne i Leila. Pojechalismy we troje, tą samą drogą, którą niegdyś jechał Johann Ludwig Burckhardt, w kierunku wąwozu El-Sik - przed wejściem do niego zobaczyłem ogromne ciemnobrązowe sześciany skalne.

- Co za bogowie porzucali je tutaj? - spytałem.

Prawie bezbłędna angielszczyzna Mahmud wyjaśnił, że na blokach tych stały niegdyś statuy nabatejskiego boga Duszary i bogini Słońca Al-Lat.

Dziwna sprawa. Boga Księżyca Duszarę symbolizował według

Nabatejczyków kamienny blok bądź obelisk. Zastanawiające - formy takie znalazły swoje niemal lustrzane odpowiedniki na całym obszarze Indii. Duszara

pochodzi od arabskiego Dhu-esz-Szera i znaczy ten z Szera. Mianem Szera

określano łańcuchy górskie wokół Petry. pojęcie to pojawia się również w

Starym Testamencie: tam kraj Edomitów oraz leżące tu góry nazywa się Seir,

a Seir jest tożsamy z Szera. Posłuchajmy, co mówi na ten temat fachowiec,

Lankaster G. Harding:

"Jehowa był określany mianem 'ten z Seir', innymi słowami była to ta sama osoba

co Duszara. Jehowa mieszkał w kamiennym bloku, nazywanym też często Bet-El, domem boga. Obu stawiano ołtarze w miejscach wznoszących się nad okolicą".

Teraz nasze spojrzenie przykuwa trzypiętrowa budowla wykuta w skale - od razu przypominają mi się świątynie egipskie. Na samej górze wystrzelają w niebo cztery obeliski, po prawej i po lewej stronie kamienna rampa schodzi aż do ziemi. W środku, przed wejściem, wznoszą się pary kolumn. Nie ma tu żadnych inskrypcji, żadnych wskazówek, które mogłyby świadczyć o przeznaczeniu tego monumentu; nazywa się go skromnie obeliskowym grobem. Jakie to proste.

Wjeżdżamy w wąwóz. Stukot końskich kopyt odbija się od skal. Miejscami przejście ma tylko trzy metry szerokości, ściany skalne wznoszą się na wysokość 100 metrów. Jeśli staniemy, usłyszymy skądś odgłos końskich kopyt - przejście ma 1,6 km długości. Jest chłodno. Wysoko nad nami, gdzie skały prawie stykają się ze sobą, wpada odrobina słońca, wyczarowując na czerwonym piaskowcu wspaniałą grę barw w purpurowych, żółtych i błękitnych żyłkowaniach kamienia. Także ściany z prawej i z lewej strony mają barwne warstwy, przechodzące delikatnie jedna w drugą jak w kulce ugniecionej z różnokolorowej plasteliny - biel, brąz, zieleń.

- Kamienna lawina - wolam do Mahmuda - to pewna śmierć! - Okazuje się jednak, że lawiny takie nigdy nie stanowiły tu niebezpieczeństwa, katastrofalne dla ludzi i zwierząt okazywały się raczej pojawiające się nagle masy wody. Jeszcze w 1963 roku utonąła w El-Sik dwudziestosześciorosobowa grupa Francuzów. Niebezpieczeństwo jednak już zażegnano - spływająca woda

jest zatrzymywana przez specjalne mury, a następnie kierowana pradawnym tunelem do nowoczesnego zbiornika.

Gdy znaleźliśmy się w najwyższym miejscu wąwozu, naszym oczom ukazała się oświetlona czerwonym światłem jakby przez szczelinę w kurtynie - niemalże barokowa fasada ogromnego palacu, znajdującego się naprzeciw.

Khazne Fara'un, Dom Skarbów Faraona - mówi Mahmud. Człowiek staje oniemiały przed tym arcydziełem. Ogromny monument wycięto, wykuto i wyrzeźbiono w skale, zawierającej dużo tlenku żelaza. Nigdzie nie widać ani śladu dodatkowych elementów, ani spoiny w kolumnach. Można powiedzieć, że jest to jakby jednolity odlew - tyle że wszystko zrobiono w litej skale. Dwanastie metrów wysokości mają kolumny na parterze, podtrzymujące prawie sześciometrowy fryz z symbolem czarodziejskiej egipskiej bogini Izydy - tarcza słoneczna między rogami krowy. Jeszcze wyżej, jakby na pierwszym piętrze wznosi się sześć kolumn doryckich, a nad nimi, na wysokości czterdziestu metrów, jakby na dachu stoi wielka kamienna urna. Co zawiera?

W 1967 roku Karl-Ench Wilken pisał:

"Spoczywa w niej zamknięta dusza króla, dusza ta wcale nie jest jednak martwa, żyje życiem utajonym... Jakże często ludzie próbowali wspiąć się po fasadzie aż do urny, żeby zrabować bajeczny skarb koronny króla, ktdrego na krótko przed jego śmiercią Aretas zamknął jakoby w tej urnie mocą tajemniczego zaklęcia? Kto jednak się na to poważył, spadał niechybnie przed wejście z pogruchotanymi kosćmi".

Wchodzimy do środka. Ściany są puste. Z prawego przedsionka przejścia prowadzą do pozostałych komór. Pomieszczenie centralne ma trzy nisze,

w których podobno stały kiedyś sarkofagi. Czy było tak naprawdę, można tylko przypuszczać podobnie jak w przypadku twierdzenia, że Dom Skarbów jest "mauzoleum późnego króla nabatejskiego".

O rzut kamieniem, na prawo od Domu Skarbów, wykuto w skale ogromny, prawie kwadratowy otwór - na suficie można dostrzec jeszcze ciemnoczerwony okrąg, przesunięty nieco w lewo. "Ornamentyka" - to wszystko, co może o tym powiedzieć literatura fachowa. Jakże daremna praca dla czystej dekoracji?!

Potem mijamy wielotonowy, prawie foremny Sześcian skalny, który utrzymuje równowagę stojąc na jednym z wierzchołków. Trudno wyjść z podziwu.

Wjeżdżamy następnie do kotliny skalnej, w której leży monumentalne miasto Petra, rozciągające się na powierzchni długości dobrego kilometra

i szerokości około osmiuset metrów - na wysokości 925 m n.p.m. Trudno sobie wyobrazić, żeby miasto takie jak Petra można było opisać za pomocą słów i pojęć, stosowanych zazwyczaj do opisywania miast. To po prostu skalna orgia, pełna niezwyklej fantazji!

Nabożnie i niemalże przepaszajaco Mahmud daje znak, że jeśli chcemy się dostać do świątyni Ed-Deir, musimy zsiąść z koni. Maszerujemy więc na północ doliną pełną zapachu białych, różowo-czerwonych i żółtych oleandrów.

Potem dolina się zwęża i zaczynają się bardzo strome i kręte schody prowadzące w górę. Zdyszani i spoceni oglądamy po drodze 'Grób Lwa' - dwa reliefy, przedstawiające lwy stojące przy wejściu. Nie było tu i nie ma, o czym pisze się w mądrych książkach, żadnego grobu. Od dawna wiadomo, że miejsce to nazwano niewłaściwie, ale nawet w książkach przetrwały relikty przeszłości.

Skarb dla Allaha

Wieleśet metrów wspinaliśmy się górską ścieżką, aż wreszcie dotarliśmy do niewielkiej półki, gdzie znajduje się skalna świątynia Ed-Deir, co znaczy "klasztor". Przypuszczalnie budowlę tą poświęcono nabatejskiemu królowi Obodatowi III, wyniesionemu do godności boskiej. Front Ed-Deir przywodzi na myśl front Domu Skarbów Faraona - fasada świątyni ma 40 metrów wysokości i 47 szerokości, są to więc już wymiary okazałego współczesnego banku. Na samej górze stoi dziewięciometrowej wysokości urna, której tajemnica przetrwała tysiąclecia - jak dotąd nikt nie zajrzał do środka. Pytam o to Mahmuda. Jak na zwolnionym filmie podnosi ramiona i spogląda w niebo. Insz Allah. Tylko bóg o tym wie. Mahmud może nam tylko powiedzieć, co od pradawnych czasów mówi się o tym wśród jego ludu: Mojżesz i jego Izraelici przynieśli tu skarb.

- Ludzie powiadają - wyjaśnia nasz dragoman zrezygnowany - że gdzieś w okolicach Petry leży skarb Mojżeszowy. Pewnego dnia Allah przyjdzie go zabrać...

W pobliżu Góry Aarona

Patrzemy na Wadi Araba, leżącą o 1000 metrów niżej, i na południe - na

nasz cel, Górę Aarona, widoczną w pobliżu. Ni stąd, ni zowąd Ebet pyta

naszego dragomana:

- Czy jesteś wierzącym mahometaninem?

Malimud uśmiecha się filuterme:

- Moze i wierzącym, ale nie za dobrym...

- A to dlaczego?

Ciemne oczy Mahmuda błyszczą w jego wygarbowanej wiatrem twarzy:

- Za mało poszczę... i łamię czasem zakaz Proroka... Lubię alkohol...

Po chwili namysłu, na jaką tylko kobiety mogą sobie pozwolić, Ebet wskazuje

na białą kopułę lśniącą na Górze Aarona:

- Będiesz mógł nas tam zaprowadzić?

Zakłopotany Mahmud drapie się za uchem:

- To będzie trochę kosztowało! Muszą państwo zapłacić trzy konie i za mój

cały dzień, a jeśli zechcą państwo wziąć sprzęt fotograficzny, to jeszcze za

czwartego konia i chłopaka, który go poprowadzi... - spojrzał na nas

pytająco, czy przypadkiem nie zrezygnujemy. Stalismy spokojnie, mówił więc

dalej:

- poza tym będą państwo musieli dać straznikowi grobu obfity bakszysz,

a Harunowi złożyć ofiarę...

- Nie mam nic przeciwko temu - włączyłem się do rozmowy, bo w krajach

arabskich interesy załatwiają mężczyźni. - A czy będę mógł fotografować?

Powledzłaś, że jeśli weźmiemy aparaty...

- Ale nie w świątyni! - dragoman podniósł ręce w obronnym geście. - Nie

wolno zakłócać spokoju proroka!

- Czy kobietom wolno wchodzić do grobu Aarona?

Mahmud rzuca mi udręczone spojrzenie. Potem patrzy długo na moją żonę

i w końcu wypowiada sentencje, która zawsze i wszędzie pasuje do wszystkiego:

- Insz Allah!

Jesli nawet trudno prześledzić labirynty myslowe tutejszych ludzi, to teraz

przynajmniej poczułem, że nasze szanse nie są całkiem beznadziejne. Jesli

Allah zechce.

Dalem Mahmudowi troche czasu na przygotowanie wyprawy.

Rozmyślania w Petrze

Nie lezy w moich zamiarach pisanie przewodnika czy tez historii tego

unikalnego miasta - literatura taka istnieje, wyjasniono w niej prawie

wszystko. Mnie interesują, jak zawsze, problemy niewyjasnione. Mogę sobie

pozwoić - choć często dostaję za to po lapach - na inne spojrzenie.

Marginesem jest dla mnie historia najnowsza, a nawet okres, w którym Petre

odwiedzali Rzymianie, Grecy i rycerze krzyzowi.

Ciekawi mnie przede wszystkim problem pochodzenia miasta, jego legendarnych

bohaterów i slug bozych - takich jak Mojzesz czy Aaron. Chcialbym zrozumieć,

jakiz poryw sprawli, że ludzie wykuli - czy moze wyrzezbili - w skale cale

miasto. Chcialbym poznać motywy powstania wiary, mówiącej o tym, że bóg

istnieje w kamiennym sześcianie (Bet-El - dom bozy) albo że pojawił

się na Ziemi w kamiennym przedmiocie podobnym do obelisku (lingam - kolumna

ognista). Dlaczego ludzie z tych okolic od tysięcy lat szukali na szczytach gór kontaktu z istotami z nieba? Po co budowali ołtarze na najwyższych szczytach, wyczerpując wszystkie swoje siły i pracując z takim poświęceniem?

Dlaczego później składali na tych górach ofiary?

Zbyt naiwne jest dla mnie wyjaśnienie, że niebo od samego początku królowało po prostu w górze nad ludźmi, oni zaś dążyli zawsze do tego, co nieosiągalne.

Wyjaśnienie takie jest oczywiście niewystarczające, kiedy chce się zrozumieć,

dlaczego mieszkańcy wszystkich części świata widzieli bogów schodzących

z nieba - nie były to zarazem jakieś efemeryczne postacie ze snu, lecz

istoty, które z tymi ludźmi rozmawiały, przekazywały im pewną wiedzę

i zadziwiała ich posiadanymi urządzeniami technicznymi. Czy Mojżesza, który

pisal, że cała góra Synaj dymiała i drżała, gdy Pan zstępował na nią w ogniu

(II Mojż. 19, 18), należy uznać za autora historyjek science fiction?

Co to było? Klęska żywiołowa? Cud boski? Czarodziejstwo zainscenizowane przez

kapłanów? Mam niestety za wiele respektu dla Pisma Świętego. Czytam więc

w Biblii:

"Lud nie może wyjść na górę Synaj, gdyż Ty przestrzegłeś nas, mówiąc:

Zakreśl granice dokoła góry i miej ją za świętą. (...) a potem wstąpisz ty

z Aaronem, kapłani zaś i lud niech nie napierają, by wstąpić do Pana, bo by

ich pobili". (II Mojż. 19, 23 n.)

Jeśli się insynuuje, że Bóg przed swoim przybyciem kazał zakreślić "granice

dokoła góry", żeby nie wchodziło mu w szkodę, to wówczas odbieram to jako

zwykle bluźnierstwo. Klęski żywiołowe zaś mają zawsze tę nieprzyjemną

właściwość, że pojawiają się bez zapowiedzi. Nie, tu wierzę raczej Mojżeszowi

i dlatego odbieram to jako konkretny rozkaz Pana, żeby nie dopuszczał ludu do góry - miejsca lądowania, bo może dojść do tego, żeby "ich pobili".

To groteskowe, że właśnie ci krytycy, którzy każde słowo Biblii uważają za świętość, zarzucają mi, że biorę wszystko za dosłownie. Rzeczywiście! Tam, gdzie przekazy biblijne opisują zdarzenia łatwe do rozpoznania, uznaje je za fakty.

Grecki filozof i lekarz Alkamajon z Kroton, pisał w piątym wieku przed naszą erą:

"Ludzie giną dlatego, że nie potrafią połączyć początku z końcem".

Jak się zdaje, to sztuczne wyrównywanie szans w myśleniu panoszy się nadal po dwóch i pół tysiącach lat.

Genealogia, topografia i historia Petry

Pierwsze informacje o stolicy królestwa Nabatejczyków pochodzą z 312 r. prz. Chr. grecki historyk Diodor Sycyluski pisze o ataku na państwo nabatejskie, jaki podjął Antinogos, Jednooki, władca Azji Mniejszej wraz z czterema tysiącami pieszych i sześciuset jeźdźcami. Zwyciężyli Nabatejczycy - część wrogów zwabili w pułapki, część zaś umarła z głodu na pustyni.

Znane są imiona jedenastu władców tego królestwa, którzy rządzą od 106 r. prz. Chr. Później tereny te zaanektował cesarz rzymski Trajan (53-117), czyniąc z nich Prowincję Arabię.

Swojego najważniejszego boga, noszącego imię Duszara, czyli Pan Gór Szera,

wyobrazali sobie Nabatejczycy "od początku jako istotę niebiańską, pozaziemską i bezpostaciową" - bóg ten mieszkał w kamieniu a cześć oddawano mu na szczytach gór. Ku chwale Duszary stawiano kamienne słupy i obeliski. Stoją one po dziś dzień w amfiteatrze w Petrze, który mieścił 8000 widzów. Na Górze Obelisków Nabatejczycy spiantowali szczyt tak, iż powstał tam jakby taras, na nim zaś postawili dwa siedmiometrowe obeliski - symbole Duszary i jego towarzyski Al-Lat, którą łączono z planetą Wenus.

Skąd przybyli Nabatejczycy? Niewątpliwie z rejonu dzisiejszej Arabii Saudyjskiej i Jemenu, gdzie profesor Salibi przeniósł opisy zawarte w Starym Testamencie. Zarówno w Arabii Saudyjskiej, jak i w Jemenie można znaleźć jeszcze budowle typowe dla Nabatejczyków - takie same mogły stać w Petrze. Słynne są w północno-zachodniej części Arabii Saudyjskiej groby skalne w Madain Salih - podobnie jak w Petrze, także i tam całe świątynie wykuto w litej skale. Także i tam nad fryzami świątyń znajdują się urny albo sokoly z rozpostartymi skrzydłami. Podobnie jak w Petrze, także w Madain Salih najwyższe piętro skalnej świątyni wieńczy schody prowadzące w górę - schody do nieba, którymi podobno latający goście zstępowali w ziemskie niziny. Nabatejczycy, mistrzowie w obróbce skaly, nie byli najprawdopodobniej pierwotnymi budowniczymi Petry, lecz odziedziczyli ją po o wiele starszych Edomitach. Petra nie przez cały czas nazywała się tak samo. Józef Flawiusz, współczesny Jezusa, w pierwszej księdze swoich 'Dawnych dziejów Izraela' pisał, że za czasów Mojżesza skalne miasto nazywało się Arke - twierdzeniu temu jednak przeczy Ojciec Kościoła Hieronim z Betlejem, który wie, że najstarsza nazwa miasta brzmiała Sela. Sela znaczy skala - a zatem nazwa Sela

byłaby tozsama z wiernym tłumaczeniem nazwy Petra.

Edomici, przodkowie Nabatejczyków, wywodzili się z biblijnego rodu Ezawa - rodu o zagmatwanej historii, którą jednak muszę tu przytoczyć, bo linia genealogiczna znowu wskazuje na bogów.

Izaak, syn patriarchy Abrahama, splodził Ezawa i Jakuba. Ezaw był starszy, jako pierworodny miał więc prawo do dziedziczenia. Nic sobie z tego jednak nie robił, dopoki nagle zasłona nie spadła mu z oczu. Pewnego razu zmęczony wrócił do domu po pracy w polu. Tymczasem Jakub przygotował cudownie pachnącą czerwoną potrawę z soczewicy. Głodny Ezaw od razu chciał się zabrać do jedzenia, Jakub jednak nie dał mu potrawy, dopoki starszy brat nie zrezygnował z prawa pierworództwa. Ale to jeszcze nie wszystko - podstęp bowiem był bardziej perfidny. Kiedy zgodnie z dobrą tradycją ślepy ojciec chciał pobłogosławić pierworodnego, jego żona podstawiała mu młodszego syna. Starzec pobłogosławił Jakuba! (I Mojż. 27, 1 nn.). Oczywiście oszukany Ezaw nie chciał mieć już nic wspólnego ze swoją rodziną.

Ale Pan w słupie obłocznym był jeszcze wówczas wszechobecny - podarował więc "góry Seir [...] w dziedziczne posiadanie Ezawowi" (V Mojż. 2, 5). Dlatego też potomkowie Ezawa, Edomici, osiedlili się w górach, leżących na granicy dzisiejszej Arabii Saudyjskiej i Jordanii. Lud ten Biblia obdarzyła wieloma imionami: synowie Ezawa, synowie Seir, córki Edomu... i Edomici.

Legenda fenicka mówi, że Ezaw był w pierwszej linii potomkiem boskiego rodu tytanów i walczył z "silami niebieskimi". Biblia nie wspomina wprawdzie nic o śmierci Ezawa, legenda fenicka jednak opowiada o jego pogrzebie na szczycie skały, któremu towarzyszyły liczne cuda.

Do apokryfów - czyli utworów o tematyce biblijnej, nie umieszczonych w kanonie bilijnym - należą testamenty dwunastu patriarchów. Jednym z nich jest testament Judy, czwartego syna Jakuba i Lei.

Podobnie jak wiele innych przekazów, także i ten posługuje się formą pierwszoosobową.

Juda opowiada o swoich narodzinach, o młodości i o swoich walkach. Cziowiek z prawdziwym zdumieniem dowiaduje się o tym, że Juda walczył z olbrzymem Achorem, "który miotał pociski z konia do przodu i do tyłu". W końcu Juda opowiada, że jego ojciec przez osiemnast lat żył w pokoju ze swoim bratem Ezawem - dopiero potem nadciągnął z silnym ludem przeciw Jakubowi. "I Jakub ustrzelił Ezawa z łuku, a Ezawa wyniesiono martwego w górach Seir".

Czy grob Ezawa znajduje się również na jednej z gór w okolicy Petry? A może to właśnie jego grobowiec, związany z wiarą w życie wieczne i w odrodzenie, był najistotniejszym powodem, dla którego przyjaciele i potomkowie tak bardzo chcieli być pochowani w pobliżu? Antropolog Philip C. Hammond ustalił, że "petrejskie monumenty zmarłych [są] dla każdego, kto odwiedza to miejsce, budowlami najbardziej spójnymi i oczywistymi".

Od kiedy ludzie żyli i umierali na ziemi, chcieli być chowani w pobliżu miejsc, gdzie spoczywali ich przodkowie - wierzono bowiem, że wskażą oni właściwą drogę w życiu pozagrobowym, chciano być blisko, kiedy anioł wezwie do odrodzenia. Pragnienie bliskości nawet w życiu pozagrobowym wyjasaloby morderczą pracę, jaką włożono w wykonanie grobów skalnych - są one dostatecznym świadectwem "potrzeby stworzenia właściwego domostwa dla tych, którzy będą żyć w innym świecie".

Od samego początku Edomici wyobrazali sobie boga zupełnie inaczej niż ich żydowscy bracia. Ezaw i Jakub, którzy dorastali w domu patriarchy Izaaka, byli wychowani w takiej samej religii. Można było przypuszczać, że będą przekazywać dalej naukę czystą.

Ale tak się nie stało. Dla Edomitów bóg był postacią widzialną, aktywną - nie zaś wyobrażeniem abstrakcyjnym jak żydowski Jehowa. Jeśli Edomici obawiali się realnej bliskości 'Pana w słupie obłocznym', to Żydzi przyjmowali obecność swego niewidzialnego boga za oczywistość: "wstrząsnęła nimi edomicka wizja boga... był to dla nich po prostu ateizm". To, że Ezaw doszedł do innej wizji boga niż jego brat Jakub, można wytłumaczyć przeżyciami z młodości - przecież to w obecności Boga wszechmogącego oszukano go tak haniebnie.

Ale Co to ma wspólnego z Petrą?

Tak, jeśli Edomici w pierwszym skalnym grobowcu pogrzebali ojca rodu, Ezawa, to logiczne jest przecież, że i późniejsi przywódcy plemienia kazali się chować w pobliżu - na skutek tego Ezaw mógł być, niejako pośmiertnie, założycielem skalnego miasta na pustyni.

Konno do grobu Aarona

Po kilku dniach Mahmud pojawił się znowu i mrugnąwszy oznajmił, że strażnik grobu udał się właśnie na pielgrzymkę do Mekki, co jest dla nas raczej korzystne, bo jego żona jest podobno o wiele mniej uparta. Teraz ona dysponuje kluczami do meczetu na Dżebel Harun. Za pomyślność wyprawy

wypiliśmy puszkę soku pomarańczowego.

Cztery wierzchowce, chłopak do koni i Mahmud czekali na nas nazajutrz

wczesnym rankiem na mizernej łączce za hotelem.

Wąwozem El-Sik, obok amfiteatru, wjechaliśmy na zbocze. Formacje skalne raz migotały jak łuski krokodyla czy blaszane płytki, raz przechodziły w niezwykle czyste czerwone, białe i żółte żyłkowania. Wyprzedziliśmy dzieci, niosące wiadra wody na dragu opartym na ramionach, widzieliśmy beduińskie kobiety w czarnych szatach, machające do nas z jaskiń. Przed sobą, na południowym wschodzie mieliśmy wciąż majestatyczny widok podwójnego szczytu Dżebel Harun, skąd prawie biały budynek lśnił jak kosztowna perła. Ścieżka skalna była tak wąska, że miejsca starczało dla jednego konia.

Wierzchowce, obeznane z terenem, stawiały kopyta z lunatyczną pewnością.

Nagle pośród kamieni pojawił się długi wąż. Konie stanęły, zaczęły parskać, jakby chciały ostrzec przed nim jeźdźców. Mahmud powiedział, że węże i skorpiony nie są tu wcale rzadkością. Później - Ebet i ja zauważyliśmy to dopiero, gdy Mahmud wdał się z nią w głośną dysputę - do naszego orszaku dołączyła jadąca na osiołku kobieta o ogorzalej, prawie męskiej twarzy.

- To żona strażnika grobu - zawołał do nas Mahinud.

Ostatni odcinek drogi prowadzącej na szczyt (1330 m n.p.m.) był bardzo uciążliwy dla niewprawnych jeźdźców - parę razy ja i Ebet chcieliśmy zsiąść i poprowadzić konie, ale Mahmud powiedział, że zwierzyta są przyzwyczajone do chodzenia skalnymi ścieżkami.

Panorama sprawiała wrażenie fantastycznego, dzikiego krajobrazu

marsjańskiego. Z piaszczystych pustynnych dolin wznosiły się czarne i

ciemnobrązowe ostrogi skalne o wyraźnych krawędziach, nad nami szafirowe niebo, od niepamiętnych czasów opiewane przez poetów Wschodu.

Sto metrów poniżej wierzchołka osiągnęliśmy niewielką płaską półkę skalną, sporządzoną najwyraźniej ręką ludzką. Mahmud przywiązał konie do uschlej, prawie skamieniałej gałęzi, stara dozorczyńni zeskoczyła z osiolka, pobiegła żwawo w róg plateau, gdzie znajdowały się jakieś ruiny, i zniknęła w niszy skalnej skąd powróciła po cliwili z liną pomarańczową bańką z plastyku.

Przypomniał mi się austriacki onentalista Alois Musil (1868 - 1944), który zawędrował tu jesienią 1900 roku. Przywiązał konie "w pobliżu kilku znajdujących się tu miedzianych kotłów".

Czasy się zmieniają - tworzywa sztuczne zastępują miedź.

Starucha opuściła bańkę do dziury w ziemi, skąd zaczerpnęła chłodnej i czystej wody. Zbiornik na tej wysokości, sto metrów poniżej wierzchołka!

W tym terenie nie jest to naprawdę zjawiskiem codziennym. Niezwykle rzadko pojawiają się tu obfite opady. Cysterna była wykuta w skale - miała niegdyś zapewnić wodę ludziom pracującym przy obróbce kamieni!

Mahmud podszedł do północno-zachodniej ściany skalnej i machnął na chłopca z naszym sprzętem fotograficznym, żeby poszedł za nim. W tym momencie starucha zaczęła wrzeszczeć przeraźliwym dyszkantem. Lecz ponad jej jazgot rozbrzmiał bas naszego dragomana. Po zadowolonych oczach chłopca od koni poznaliśmy, że Mahmud beczelnie dolewa jeszcze oliwy do ognia. Niestety dumny i pełen godności syn pustyni oznajmił nam po chwili spokojnie, że starucha nie dopuści nas do grobu, jeśli nie zostawimy tu aparatów. Machnąłem banknotami i od razu poczułem, że spoczął na nich pożądliwy wzrok starej kobiety. Mimo

wszystko jednak okazała się nieprzekupna - niezwykłość w krajach Wschodu!

Udałem, że spełniam jej rozkaz, niepostrzeżenie jednak - niech Allah ma mnie

w swojej opiece! - wsunąłem minoxa do kieszeni. Uspokojona starucha pierwsza

ruszyła po schodach. Nasz dobry pasterz Mahmud szedł na końcu. W trakcie

wspinaczki oblewalismy się potem - stopnie były za wysokie, żeby brać je na

jeden krok. Od patrzenia w dolinę można było dostać zawrotu głowy. Właśnie

tam w dole Buckhardt zabił koze, na wspinaczkę jednak nie mógł już sobie

pozwolić.

Na jednym z zakrętów przystanęliśmy na odpoczynek. Skala obok nas nosiła

wyraźne ślady obróbki. Cokoiwiek znajdowało się na górze, musiało być

prawdziwą świętością, bo inaczej straszna harówka kamieniarzy nie miałaby

najmniejszego sensu. Zdyszani osiągnęliśmy wreszcie splantowaną płaszczyznę

na szczycie, gdzie ujrzelismy niewielki biały meczet - około 14 metrów

długości i 7 szerokości. Dach wieńczyła biała kopuła - to ona właśnie

jasniała jak perła, gdy siedzieliśmy na tarasie hotelu "Petra Forum".

Grób Aarona?

Z fałd swojej szaty strazniczka wygrzebała dwa wielkie klucze i wsunęła je

do zamka. Potem wyciągnęła jeszcze trzeci. Monsttum, jakiego jeszcze nigdy

nie widziałem, miało co najmniej 15 cm długości i było nagwintowane. Stara

wcisnęła klucz do okrągłego otworu i zaczęła nim obracać. Drzwi zaskrzypiały

i otworzyły się. Starucha usiadła przy wejściu i zaczęła coś mamrotać do

siebie. Ujrzałem, że Mahmud zdejmuje zakurzone buty i poszedłem za jego przykładem. Z niepokojem czekałem, jak mahometanie zareagują na obecność Ebet - w dzinsach, wiatrówce i białym kapeluszu wciśniętym na krótko ostrzyżone włosy wyglądała niezbyt kobieco, przynajmniej dla staruchy. Lecz w tym momencie uświadomiłem sobie nagle, że od chwili, gdy dołączyła do nas stara, moja żona nie odezwała się ani słowem. Bardzo dobrze. Za moment Ebet pozbyła się butów i poszła za mną. Kątem oka zauważyłem, że stara popatruje na nią nieco zdziwiona.

Najpierw obejrzałem trzy kolorowe dywany, wiszące na ścianach w półmroku - przedstawiały motywy Mekki, stojącego tam wielkiego meczetu i Kaaby: hold dla miejsca narodzin Mahometa. Mahmud wykorzystał okazję i zaczął się głośno modlić, skłaniając się rytmicznie w kierunku Mekki.

Spojrzeniem pełnym ciekawości przebiegłem z nadzieją całe pomieszczenie - miało osiem metrów długości i cztery szerokości. Sufit podpierały dwa czworokątne słupy. Kolo wejścia, na prawo ode mnie, pod bialo-czerwono-zielonym sztandarem islamu stal cenotaf, stworzony jakby dla odprawiania uroczystości pogrzebowych, a udrapowany jaskrawozielonymi chustami z jedwabiu.

Rozczarowanie bylo zupełne. To wszystko, co pozostalo z grobu Aarona? Na co nasz cały wysilek? A do tego koszty? Czy ten pseudogrób jest powodem całego, trwającego już tysiące lat rwetesu wokół proroka Aarona? Na co owa świętość na sztucznie splantowanym szczycie góry? Dokąd prowadzą schody, mozolnie wykute w skale? Nie chciałem jednak wracać, zanim nie zobaczę wszystkiego, co da się zobaczyć.

Lustrując z największą dopuszczalną tu ciekawością pomieszczenie, potajemnie wyciągnąłem z kieszeni minoxa i w chwili, kiedy Mahmud prostował się z jednego z nabożnych skłonów, nie nastawiwszy nawet ostrości ani światła, zrobiłem zdjęcie. W panującej tu ciszy nie można było nie usłyszeć nawet przytłumionego pstryknięcia. Mahmud ukarał mnie pustym, zrezygnowanym spojrzeniem. Ale może na blonie znajdzie się choć znośny wizerunek cenotafu. Teraz mogę go tu zaprezentować.

Z ciemnego kąta pomieszczenia Ebet dała mi znak, żebym się zbliżył.

Wskazała ręką na otwór w kamiennej podłodze i schody prowadzące w dół.

Gdy zacząłem schodzić, Mahmud w jednej chwili przerwał modlitwę i znalazł się obok nas.

- No! No! - wyszeptał błagalnie po angielsku z przerażeniem w oczach.

- Dokąd prowadzą te schody? - zapytałem go szeptem.

- Do grobu Aarona...

- To daj mi tam wejść! - powiedziałem bezczelnie, schodząc drugi stopień.

W drzwiach pojawiła się chusta klucznicy, krzyczącej z rozpaczą. Mahmud chwycił mnie za ramię. Nie wrywałem się, za to wolną ręką wsunąłem mu banknot za koszulę. Skinął głową, ale mnie nie puścił. Wyszeptał tylko:

- No camera! Please, no camera!

Wręczyłem mu minoxa. Odetchnął z ulgą, ale nadal nie był jeszcze zadowolony.

Głową wskazał na Ebet i na wrzeszczącą staruchę, która jakby obawiała się wejść do środka. Ebet zrozumiała od razu, o co chodzi, i skinęła Mahmudowi głową. A po chwili niepostrzeżenie wsunęła mi do ręki małą latarkę. Miałem naprawdę dobrego pilota!

Zszedłem do podziemia. Mahmud towarzyszył mi jak cień. Bał się wyraźnie. Zaslonił sobie oczy przedramieniem. Znalazłem się w wąskim pomieszczeniu o ścianach lśniących od wilgoci. W słabym świetle ujrzałem najpierw żelazną kratę, na niej materiał udrapowany w fałdy - być może materiał ten okrywał prawdziwą mumie. W przeciwległą ścianę wpuszczono okrągły, smoliste czarny kamień wielkości ludzkiej głowy. Mahmud padł na kolana i, nim zdążyłem go o cokolwiek zapytać, dotarł do kamienia i z zachwytem na twarzy obsypał go głośnymi pocałunkami. Dopiero później dowiedziałem się, że Kamień Aarona jest uważany za równie wielką świętość jak legendarny Czarny Kamień w Kaabie w Mekce, że Allah własnoręcznie zniósł go z nieba i zdeponował w tym miejscu dla wyróżnienia grobu swojego sługi, Aarona. Fama głosi, że kamień ten czyni cuda - sprawiał już, że odzyskiwali wzrok.

Mahmud się modlił. Bez przerwy. Nie przeczę, poezulem cześć dla tego miejsca, ale nie mogłem się oprzeć, żeby nie oświetlić całego pomieszczenia latarką.

Nie wierzyłem własnym oczom - przy tylnej ścianie stał jakby sarkofag!

Czworokątny kamienny kształt pokryty kurzem - nie mogłem stwierdzić, czy wykuto go z granitu, czy z marmuru. Nie miałem też najmniejszej szansy na odkrycie zasłaniającej to coś czarnej materii. To przykre - być tak blisko odkrycia tajemnicy i... nie móc jej odkryć!

Przypomniałem sobie nagle, że w pracy Aloisa Musila, który był tutaj osiemdziesiąt sześć lat temu, przeczytałem, iż wyczuł on pod palcami na ścianach i kolumnach kilka "inskrypcji greckich i wiele hebrajskich".

Jeszcze raz oświetliłem ściany, potem zacząłem je obmacywać - nie udało mi się nic znaleźć.

Zafascynował mnie natomiast Czarny Kamień wystający ze ściany - w świetle latarki wyglądał, jakby był pokryty kleistą fosforyzującą substancją: niezliczone maleńkie punkty świetne lśniły w nim niezłym Wszechświat, mieniący się tysiącami barw. Odczucie to mogło być jednak również związane z niesamowitością tego miejsca. Po moich studiach nad kamiennymi kręgami w Anglii pozostało mi przekonanie, że kamienie mogą mówić, że zawierają się w nich myśli z pogranicza snu i jawy. Kamienie są przecież - jak zresztą każda materia we wszechświecie - skryształowaną formą energii. W ich elektronach kryją się informacje, które w świętych miejscach mogą być przecież odbierane przez niektóre osoby o specyficznej wrażliwości. Poezulem się dość niewyraźnie.

Skonczywszy się modlić, Mahmud zaczął nalegać, żebysmy opuścili grób.

Mrużąc oczy wyszedłem na jaskrawe światło dnia i usiadłem na ziemi obok Ebet.

- Czy to był grób Aarona? - spytała.

- Brak mi wiary! - uśmiechnąłem się i po minie Ebet poznałem, że właściwie zrozumiała moją dwuznaczną odpowiedź. - Bez wątpienia spoczywa tu jakaś słynna osobistość przeszłości. Na dole jest sarkofag, święty kamień, a pod czarną materią leży wydłużony kształt, o którym nie potrafię nic powiedzieć.

Nie jest to jednak żaden dowód na obecność w tym miejscu zwłok Aarona. Nie znalazłem tam żadnych napisów nagrobnych ani przedmiotów: ozdoby głowy, pectorału, jaki nosił na piersi, nie mówiąc już o kamieniach urim i tummim.

Nie było też śladu po czarodziejskiej lasce...

Reminiscencje

Wieczorem, gdy znaleźliśmy się już w hotelu, zaniepokoił mnie problem, jaki omawiałem przed paroma dniami z izraelskim pilotem. Dlaczego nie udaje się jednoznacznie zidentyfikować grobu ani jednego proroka ze Starego Testamentu?

Gdyby na Dżebel Harun rzeczywiście pochowano proroka Aarona, to od tej chwili miejsce to na pewno oddziaływałoby na wiernych ze szczególną siłą. Nie ma przecież znaczenia, jaki naród zamieszkuje w danej chwili ten rejon - wszystkie tutejsze ludy czcily bowiem Aarona równie żarliwie! Jeśli miejsce wiecznego spoczynku proroka znajdowałoby się na Dżebel Harun, to wiedzieliby o tym przecież wszyscy wierni w każdym okresie historii. Jak więc naprawdę jest dziś z grobami proroków i założycieli religii?

Prześledźmy to na podstawie czterech przykładów:

Jezus umarł w Jerozolimie. Jeśli nawet chrześcijanie wierzą, że fizycznie wstąpił do nieba to mimo to już w pierwszym stuleciu naszej ery czczono jego grób a przynajmniej miejsce, w którym spoczywały jego zwłoki od chwili zdjęcia z krzyża do chwili zmartwychwstania. W 136 r. cesarz rzymski Hadrian kazał zbudować na tym miejscu świątynię swojej ulubionej bogini Afrodyty - w ten sposób chciał wymazać Jezusa z pamięci ludzi. Na próżno. Niecałe dwadzieścia lat później, w 326 roku, cesarz Konstantyn I wydał rozkaz zburzenia świątyni i zbudowania na tym miejscu siedziby kultu Jezusa Chrystusa. Od tego czasu Bazylika Grobu Świętego - mimo zniszczeń, jakim ulegała w historii Jerozolimy - stale się rozrasta. Wierni nie zapomnieli o tym historycznym

miejscu.

- Apostoła Piotra ukrzyżowano głową w dół w cyrku cesarza Nerona (54 - 68).

Chrześcijanie zebrali następnie smiertelne szczątki apostoła, pochowali je i oznaczyli miejsce pochówku ciężkim kamieniem. Był to okres prześladowania chrześcijan i nie wolno im było zbudować nawet kaplicy. Młoda gmina chrześcijańska oddawała więc cześć apostołowi wprost u jego grobu, dopóki cesarz Konstantyn I w 324 roku nie kazał zbudować tam bazyliki. Od tego czasu Bazylika św. Piotra stała się wraz z Watykanem centrum Kościoła rzymskokatolickiego. Powód: zwłoki apostoła Piotra.

- W Rawennie we Włoszech od półtora tysiąca lat znajduje się potężna budowla z ciężkich monolitów. Jest to grobowiec księcia Gotów Teodoryka I (419-451), który nie był ani założycielem religii, ani prorokiem - tylko twórcą państwa Wizygotów. Jego grobowiec stoi dziś nie naruszony, w stanie prawie takim jak po ukończeniu budowy.

- Gdy Mahomet zmarł w 632 roku w Medynie, kalif Osman ('Uthman ib'Affan) kazał nad miejscem wiecznego spoczynku proroka postawić meczet, rozbudowywany następnie w trakcie stuleci. Pobożni mahometanie nie modlą się tam wcale do Mahometa - modlą się za niego. I będą tak robić wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nawet za tysiąc lat - w świątyni rozbudowanej jeszcze bardziej.

Przykłady tego rodzaju można mnożyć - przypomnijmy sobie choćby mauzolea pierwszych cesarzy japońskich. Wszystkie miejsca tego rodzaju pozwalają na wysnucie następującego wniosku: lud nigdy nie zapomina o grobach osób świętych. Rozrastają się one z biegiem stuleci.

Nie ulega wątpliwości, że postaci Aarona, uwydatnionej w przekazach dzięki cudom i czarom, które czynił, już od śmierci powinno się oddawać cześć najwyższą - porównywalną z czcią, jaką darzy się Mahometa czy świętego Piotra. Ponieważ tak nie jest, nasuwa się przypuszczenie, że od początku nikt nie wiedział, gdzie pochowano Aarona. Z jakich powodów miejsce, gdzie znajduje się jego grób, jest trzymane w tajemnicy? Już dlatego dziwi człowieka - i naprawdę nie można się temu nadziwić - że w miejscach, gdzie rzekomo pochowano Aarona, stoją wyłącznie cenotafy. Jeden znajduje się na górze Ohod koło Medyny, gdzie stał niegdyś kopulasty meczet, który rozpadł się już przed stu trzydziestu laty. Drugie miejsce to - według Biblii - Moseroth na terenie dzisiejszego Izraela. Ale być może na próżno szukamy miejsca wiecznego spoczynku Aarona, bo według jednego z arabskich podań śmiertelne łożo Aarona wzniosło się w niebo razem z jego zwłokami.

A co stało się z Abrahamem?

Nazwa miejsca, gdzie go pochowano, jest od samego początku powszechnie znana, informuje o tym zarówno Tora, jak i Stary Testament - nigdy nie była więc tajemnicą. To jaskinia Machpela. Cześć oddawana patriarsze i ojcu wielu narodów powinna być na pewno o wiele silniejsza od respektu okazywanego Aaronowi. Można to wyrazić przez porównanie okazałości budowli, związanych z takimi miejscami. Miejsce, w którym pochowano Abrahama, powinno się z biegiem stuleci rozrosnąć do wielkości dwóch Watykanów - chociażby dlatego, że w tym samym grobie złożono na wieczny spoczynek jeszcze pięć innych postaci godnych czci. Miejsce to byłoby więc czczone przez Żydów, chrześcijan i muzułmanów!

Jaskinia Machpela w Hebronie jest w równie niewielkim stopniu grobem Abrahama, jak Mamre, leżące poza granicami tego miasta, miejscem jego działalności. Mamre i jaskinia Machpela leżą, jak tego dowiodł profesor Salibi, w saudyjskiej prowincji Asir. "Gaj", w którym osiadł Abraham, "składa się dziś z paru zagajników - rosną tam akacje tamaryszki - w okolicy Namiry i Hirbanu, w głębi kraju Qunfudha". W górzystej okolicy Namiry znajduje się "też miejscowość Maqfala (mqfl), do dziś nosząca nazwę podwójnej jakini (Machpelah mkplh)." Prawdziwy grób Abrahama nigdy nie miał szans stać się miejscem pielgrzymek - Babilończycy pobili Izraelitów, deportowali ich i rozprędzili na wszystkie strony świata. Zwycięzcy jednak nie czcili Aarona, bo wyznawali zupełnie inną religię!

Żeby odkryć groby prawdziwe i zdystansować się od nieprawdziwych, należałoby zbadać za pomocą najnowocześniejszych metod naukowych najważniejsze miejsca święte starych religii - nie raniąc przy tym oczywiście religijnych uczuć wiernych.

"Przeszłość powinna przemówić, my zaś powinniśmy jej wysłuchać. Nie znamy spokoju, dopóki to wreszcie nie nastąpi" - Eriich Kastner (1899-1974).

Insz Allah.

IV. Dzieci Ziemi - dzieci bogów

Czy ludzkość nie ma praojczyzny?

Nie jesteście wyrodkami, dzieci moje,

Jesteście pracowici i leniwi,

Okrutnie łagodni,

Szczodrze chciwi,

podobni w przeznaczeniu wszystkim

braciom waszym -

podobni bogom i zwierzętom.

Johann Wolfgang Goethe (1749- 1832)

Od tysiącleci człowiek poszukuje ogrodu w Edenie, owego raju, w którym został stworzony... a później zeń wypędzony. Dotychczas jednak nikt nie zdołał zlokalizować ojczyzny ludzkości.

Gdy przed kilku laty zacząłem studiować literaturę o ogrodzie w Edenie, nie przypuszczałem, jak różne zdania panują na ten temat.

Gdy tylko dwustu naukowców zaprezentuje swój sąd, od razu pojawia się dwieście lepiej lub gorzej udokumentowanych kontrargumentów. Gdzie leżał ogród w Edenie? Proszę, oto zestaw najważniejszych miejsc, który z łatwością można uzupełnić o dalsze osiemdziesiąt pozycji:

- między Eufratem a Tygrysem;

- nad Gangesem;
- nad Nilem Błękitnym;
- nad zachodnią częścią Nilu Białego;
- nad zatoką Morza Kaspijskiego;
- w Armenii na lewym brzegu Araksu;
- nad Szatt-al-Arab;
- w Prusach nad Bałtykiem;
- nad górnym Dunajem;
- na Cejlonie;
- na Kubie;
- w Palestynie nad Jordanem;
- w okolicy dzisiejszej Jerozolimy;
- poza granicami dzisiejszego Damaszku;
- w Dilmun (obecnie Bahrajn);
- na Krecie;
- w Górach św. Gotharda (Szwajcaria);
- na Wyzynie Kaszmirskiej (Indie);
- na Atlantydzie, która później pogodziła się w morzu;
- w stanie Maryland (USA);
- w okolicach Tiahuanaco (Boliwia);
- na wyzninie Meksykańskiej;
- na różnych wyspach mórz południowych;
- w Krainie Utopii;
- na odległej planecie;

- w pozaziemskim statku kosmicznym;

- rajem była cała Ziemia.

Dwadzieścia pięć linijek, które wstrząsnęły światem

Zaledwie dwadzieścia pięć linijek z Genesis (Genesis (gr.) - powstanie.), czyli Księgi Rodzaju (I Księgi Mojżeszowej), stało się dla setek autorów sygnałem do wymarszu na poszukiwania ogrodu w Edenie - sprawiły one również, że argumentami zaczęto się przetrzucać z jednej katedry do drugiej i spowodowały prawdziwy zalew literatury na ten temat. Oto linijki, które wywołały taki niepokój:

"Potem zasadził Pan Bóg ogród w Edenie, na wschodzie. Tam umieścił człowieka, którego stworzył. I sprawił Pan Bóg, że wyrosło z ziemi wszelkie drzewo przyjemne do oglądania i dobre do jedzenia oraz drzewo życia w środku ogrodu i drzewo poznania dobra i zła. A rzeka wypływała z Edenu, aby nawadniać ogród. Potem rozdzielała się na cztery odnogi. Nazwa pierwszej: Pizzon. To ta, która opływa cały kraj Chawila, gdzie jest złoto. A złoto tego kraju jest wyborne. Tam jest żywica bdelium i kamień onyksowy. Nazwa drugiej Gichon. To ta, która opływa cały kraj Kusz. A nazwa trzeciej rzeki: Chiddekel. To ta, która płynie na wschód od Asyrii. Czwartą zaś rzeką jest Eufrat. I wziął Pan Bóg człowieka i osadził go w ogrodzie Eden aby go uprawiał i strzegł".

(1 Mojż. 2, 8 nn)

W powyższym przekładzie pochodzącym z wydania Brytyjskiego i Zagranicznego

Towarzystwa Biblijnego, mówi się o Eufracie - w innych przekładach również o rzekach Eufrates i Perat, a nawet o Tygrysie. Podanie nazw rzek pozwala przypuszczać że znany jest również omawiany rejon geograficzny. De facto nie jest znany. Przypomnijmy sobie spółgłoskowy sposób zapisu starych tekstów: nazwa Tygrys w alfabecie łacińskim będzie brzmiała 'tgrs', Eufrat zaś i Perat skurczy się do 'prt' albo 'phrt'. Wprowadzenie samogłosek pozwala tu zrobić prawie wszystko. Biblisty nadali rzekom nazwy Tygrys i Eufrat, bo w Księdze Rodzaju napisano, że Bóg umieścił ogrod w Edenie "na wschodzie", a właśnie na wschodzie płynie Eufrat i Tygrys.

Na wschodzie czego? Na powierzchni kuli - a taki właśnie kształt ma Ziemia - "na wschód" zawsze będzie zależało od punktu odniesienia z którego określa się strony świata. W każdym razie Księga Rodzaju zapewnia, że z Edenu wypływa rzeka która "rozdziela się na cztery odnogi". Jeśli więc weźmie się Biblię dosłownie, to okaże się, że zarówno Eufrat, jak i Tygrys można skreślić z listy. Rzeki te nie mają wspólnych źródeł - Tygrys wypływa ze wschodniej części gór Taurus, Eufrat zaś powstaje z połączenia rzek Karasu i Murat w azjatyckiej części Turcji - Anatolii. Geograficzna lokalizacja ogrodu w Edenie jest więc na razie tylko czystym czepianiem się słów.

Trzy wydarzenia

Z Edenu dotarły do nas wieści o trzech wydarzeniach: o stworzeniu człowieka, o grzechu pierworodnym i o wygnaniu z raju. Ale biblijna Wersja tych zdarzeń

pozostaje nadal zagadką, bo jest pełna sprzeczności i nonsensów,

niezauważalnych dla szarego czytelnika Pisma Świętego.

Na samym początku był Jahwe, wszechwiedzący i wszechmocny Bóg Stworzenia.

Nie wiemy, skąd przybył, gdzie mieszkał - wiemy tylko tyle, że w ogrodzie

w Edenie przechadzał się w "powiewie dziennym". Nie wiadomo także, czy robił

tam cokolwiek poza tym.

Ogrod w Edenie był własnością Jahwe, który go sam zasadził, a nawet

spowodował, "że wyrosło z ziemi wszelkie drzewo przyjemne do oglądania

i dobre do jedzenia". W środku ogrodu rosły dwa drzewa szczególne: jednym

było "drzewo życia" drugim "drzewo poznania dobra i zła".

Adam mieszkał w ogrodzie w Edenie, "a aby go uprawiać i strzec" - był więc

jednocześnie ogrodnikiem i stróżem. Warto by się dowiedzieć, przed kim czy

przed czym miał strzec ogrodu - poza nim nie było przecież na świecie ani

jednego człowieka. Ewa jeszcze nie istniała. Interpretacja teologiczna, wedle

której Adam strzec miał ogrodu przed podstępny wężem, jest raczej dość

zabawna: czyżby wąż już wówczas wkręcał się między gałęzie drzewa poznania

dobrego i złego?

Przed tym właśnie drzewem ostrzegał Jahwe ogrodnika: Adam może jeść owoce

ze wszystkich drzew, tylko nie z tego, "bo gdy tylko zjesz z niego, na pewno

umrzesz" (I Mojż. 2, 17). Mocne słowa! W każdym razie wąż był krańcowo innego

zdania: "Na pewno nie umrzecie, lecz Bóg wie, że [...] otworzą się wam oczy

i będziecie jak Bóg, znający dobro i zło" (I Mojż. 3, 4 n.).

No i w końcu doszło do tego, do czego musiało dojść, czyli do

najsłynniejszego w całej historii ludzkości ugryzienia chrupiącego jabłka

i co się stało? Nic! Adam i Ewa przeżyli jakoś ten jarski posiłek. Sprawdziło się jednak proroctwo weza, a Pan potwierdził jego wypowiedź: "Oto człowiek stał się taki jak my" (I Mojż. 3, 22)! Właśnie to przepowiedział wąż, który miał zapewne równie dobre informacje jak Jahwe. Przydarzył się jednak straszny grzech pierworodny. Po zjedzeniu jabłka Adam i Ewa spostrzegli, "ze są nadzy". Ale nie na długo, albowiem sam Bóg sprawił "Adamowi i jego żonie odzienie ze skór i przyodział ich" (I Mojż. 3, 21). Czy za chwilę nagosci pierwsza para małżeńska miałyby być ukarana śmiercią?

Genesis jest w obecnym kształcie niegodne Boga wszechwiedzącego. W ciągu sześciu dni - niezależnie od tego za jaki okres to uznamy - Jahwe stworzył niebo, ziemię, wody, suchy ląd, ziele, drzewa, rzeki, ryby, ptaki, zwierzęta, a nawet dwoje ludzi "na obraz swój" (I Mojż. 1, 27) - potem popatrzył na to, co stworzył, "a było to bardzo dobre", (I Mojż. 1,31). Ale nieco później już: "Zalował Pan, że uczynił człowieka na ziemi i bolał nad tym w sercu swoim" (I Mojż. 6, 6).

No i Co z tym zrobić? Czy jego dzieło było naprawdę "bardzo dobre", czy niendane? Jeśli uzna się go za wszechwiedzącego, to można przypuszczać, że nie był eksperymentatorem, który nie potrafi przewidzieć efektów swoich doświadczeń. Jahwe wiedział od samego początku, że Adam i Ewa połakomią się na owoce drzewa poznania dobra i zła - ergo, grzech pierworodny znajdował się w programie doświadczenia. Trudno tylko zrozumieć, dlaczego - gdy zdarzyło się to, co przewidział - Pan był tak bardzo rozgoryczony, że wypędził nędznie ubranych ludzi z ogrodu w Edenie. Przeklął ziemię, zagroził Adamowi i Ewie, że będą musieli harować "w pocie oblicza" i że ich dzieci będą rodziły się

w bólach.

W trakcie popelnienia grzechu pierworodnego Adam - co muszę uznać za hańbę dla rodzaju męskiego - odgrywał rolę nader skromną. Najpierw Pan zesłał nań głęboki sen, żeby z jego żebra ukształtować kobietę - jest to fakt potwierdzony przez Adama celowo: "Ta [...] jest ciałem z ciała mojego" i ma się nazywać "mężatką, gdyż z męża została wzięta" (1 Mojż. 2, 23). Swojej towarzyszce nadał imię, które Pan jednak ignorował i nadal mówił o "kobiecie". Tuż przed otrzymaniem odzienia ze skór Adam użył ni stąd, ni zowąd imienia "Ewa". Właśnie ta Ewa, która naprawdę wcale nie nazywała się Ewa, uległa czarującym namowom węża i spalażowała zakazany owoc.

A co na to Adam? "Niepotrzebny stał obok w milczeniu. Nie próbuje się nawet bronić przed pokuszeniem. Je tylko dlatego, że je Ewa - najprawdopodobniej znacznie łatwiej było uwieść kobietę niż mężczyznę" - tak komentował to zdarzenie przed 80 laty słynny teolog Hugo Gressmann (1877- 1927).

Demontażu historii stworzenia dokonuję tylko dlatego - nieważne, jak to zabrzmie - że po Bogu Wszechmogącym naprawdę nie spodziewałem się czegoś takiego. Bóg, który popelnia tak kardynalne błędy? Bóg, który przechadza się w powiewach wiatru? Bóg, który nie ma pojęcia, gdzie Adam ukrył się w ogrodzie w Edenie? ("Pan Bóg zawołał na Adama i rzekł do niego: Gdzie jesteś?") Bóg, który eksperymentuje na chybił trafił? Bóg jako specjalista w dziedzinie mikrochirurgii?

Księga Rodzaju jest, co wiele wyjaśnia, legendą złożoną z wielu różnych starych źródeł - wzbogaconą niejako o ludzkie pomyłki i pragnienia. Legend o stworzeniu świata jest tyle samo, ile starych ludów - nawet niewielkich -

każdy z nich miał własne wyobrażenie o powstaniu ludzkości.

Mądry Diodor Sycylijski

Nieomal współczesne poglądy reprezentował grecki dziejopis Diodor Sycylijski, żyjący w I w. prz. Chr. Był on autorem czterdziestotomowej Biblioteki historycznej, do której informacje zaczerpnął, jak twierdzi, ze Starych ksiąg. Diodor był wyrazicielem poglądu, że na początku ludzie "żyli nieporządnie i jak zwierzęta", samotnie chodzili na poszukiwanie żywności, zbierając się w gromadę tylko wtedy gdy atakowały ich dzikie zwierzęta. Ich język był w istocie zbieraniną różnych głosek. Dopiero później nauczyli się rozumieć grymasy sąsiada i przyporządkowywać określonym przedmiotom określone głoski. Ponieważ proces ten przebiegał równocześnie w wielu częściach świata, powstały różne języki, bo każda horda wynalazła w końcu dla siebie inne dźwięki na określenie różnych przedmiotów.

Diodor twierdzi, że gdy na Ziemi żyli praludzie, pojawili się nagle wśród nich bogowie - a każdy lud miał swoich. Diodor pisze o staroegipskich bogach Ozyrysie i Izydzie, którzy odzwyczaili ludzi "wzajemnego zjadania się".

Bogowie uprawiali pszenicę i jęczmień, uczyli ludzi górnictwa, wymyślili wino i "obdarzyli nazwami wiele rzeczy dla których nie było dotychczas określeń".

Kiedy to się zdarzyło?

Świadek Diodor:

"Powladają, że od czasów Ozyrysa i Izidy aż do panowania Aleksandra, który

założył w Egipcie miasto nazwane jego imieniem, upłynęło ponad dziesięć tysięcy lat".

Mądry pan Diodor wcale się nie przesieśzał! Kilka stron dalej pisze o Herkulesie, synu Zeusa i Alkmeny, który pomagał olimpijskim bogom w walce z gigantami. Diodor zarzuca Grekom, że ustalili datę urodzin Herkulesa tylko na pokolenie przed wojną trojańską, bo w istocie zdarzyło się to "w pierwszym okresie, gdy powstawali ludzie. Od tego czasu odliczono w Egipcie ponad dziesięć tysięcy lat, gdy tymczasem od wojny trojańskiej minęło ledwie tysiąc dwieście".

A zatem wedle Egipcjan człowiek rozwijał się na Ziemi w procesie ewolucji, ale kulturę w najszerszym znaczeniu tego słowa przejmował bogów. Pogląd ten pokrywa się w istocie z deklaracją Genesis: Adam został ukształtowany "z prochu ziemi" a Bóg uczynił z niego żywą istotę. Oczywiście, że na produkty stworzenia - ziele, drzewa, ryby, ptaki itp. - nie było na początku określeń: "Nadał tedy człowiek nazwy wszelkiemu bydłu i ptactwu niebios, i wszelkim dzikim zwierzętom" (I Mojż. 2, 20). Efektem działalności Boga było to, że Adam nauczył się mówić.

Można ustyszeć zarzut, że w przekazach egipskich mówi się o dwóch bogach - o Izydzie i o Ozyrysie - w Księdze Rodzaju natomiast tylko o jednym. No tak, ale w oryginale hebrajskim zamiast Bóg napisano 'Elohim', a jest to określenie występujące wyłącznie w liczbie mnogiej. Dlaczego jednak we wszystkich Bibliach świata pisze się Bóg, nie zaś Bogowie? Bo Abraham i Mojżesz głosili monoteizm, wiary w jednego Boga. Od tego czasu teolodzy muszą się godzić z tym faktem, nie mogąc go zarazem zmienić.

W babilońskim eposie 'Gilgamesz' - napisanym w języku akadyjskim, który cofa się do czasów sumeryjskich, a następnie ginie w nie dającej się określić przeszłości, powtarza się mit o stworzeniu ludzi. Gilgamesza, króla południowobabilońskiego miasta Uruk, stworzyli bogowie Szamasz i Addu: "Na ich obraz przez wielkich bogów stworzony [...] w dwóch trzecich bogiem będący, w jednej trzeciej człowiekiem". Towarzysz walk Gilgamesza, Enkidu, żył wśród zwierząt i zachowywał się podobnie jak one: "na całym ciele swoim sierścią porośnięty [...] o ludziach i świecie nie wiedział [...] z gazelami razem karmił się trawą, ze zwierzyzną się tłoczy do wodopoju".

Ta pierwotna sytuacja - człowiek zostaje wyizolowany ze świata zwierzęcego i pod wpływem bogów uczy się mówić - jest nicią przewodnią wszystkich mitów o stworzeniu. Już przed dziesięciu laty przeanalizowałem ją ze współczesnego punktu widzenia. Peter Krassa i Viktor Farkas zrobili to samo w swojej książce 'Uczyńmy człowieka', podobnie zresztą jak inni autorzy francuscy i amerykańscy. Tylko na uniwersytetach nic się nie zmieniło. Zgodnie ze starą zasadą jeden docent opiera się na drugim, ten drugi zaś tkwi ciągle w dniu wczorajszym. Smród tysięcy.

Wiele więcej niż science fiction

Jak będą więc wyglądać mity o stworzeniu, jeśli spojrzymy na nie przez okulary współczesności?

Przed tysiącami lat - czy tych tysięcy było dziesięć, trzydzieści czy sto,

nie wiemy - na naszej planecie wylądował pozaziemski statek kosmiczny, którego załoga miała zadanie rozprzestrzeniać inteligencję i doprowadzać do mutacji form życia, istniejących już na innych planetach. Rozprzestrzenianie inteligencji we Wszechświecie jest nieubłagana koniecznością każdej cywilizacji rozumnej, poruszającej się po Kosmosie, ponieważ tylko zgodnie z zasadą powiększającej się w trakcie toczenia kuli śnieżnej inteligencja będzie wielokrotnie pomnażana; a dopiero w razie dostatecznego rozprzestrzenienia się istot inteligentnych w Kosmosie będzie możliwa komunikacja międzygwiazdowa.

Dlaczego jednak przybysze nie osiedlili się na Ziemi na stałe? Bo formy życia istniejące już na danej planecie są najlepiej przystosowane do warunków na niej panujących: budowa ciała jej mieszkańców jest odpowiednia do siły ciężkości planety, na której żyją, są odporni na miejscowe bakterie i przystosowani do oddychania atmosferą o takim właśnie składzie.

Gdy goście z Kosmosu wylądowali na Ziemi, istniały tu już od dawna miliony różnych form życia. Pośród nich byli również nasi przodkowie, hominidy, o których można się też wyrazić mniej naukowo: orangutany, goryle, szympansy oraz inne gatunki małp. Istoty pozaziemskie schwytały po jednym egzemplarzu każdego gatunku, który dawał nadzieję na pozytywny rezultat doświadczeń. Potem pobrały z takiego egzemplarza komórki, w których pod mikroskopem elektronowym zmieniały struktury w molekułach DNA (DNA - kwas dezoksyrybonukleinowy, naturalny składnik jąder komórkowych. Maternalny nosnik informacji genetycznych. W eksperymentach transformacji udaje się przenosić cechy dziedziczne.). Być może wystarczała już wymiana pojedynczych genów -

proces praktykowany obecnie z dobrym skutkiem w laboratorach. Komórce

jajowej, przeobrazonej dzięki procesowi sztucznej mutacji, pozwalano

wykształcić się na pożywkę w jajo płodowe. Mogło się nawet zdarzyć - co

praktykuje się i dziś - że płód rozwijał się in vitro. Dzieci z próbowki!

Możliwe jest również to, że samicy tego samego gatunku wszczepiano do macicy

komórki jajowe sztucznie zapłodnione. (Metodę taką stosuje się od lat do krów

i świń nasieniem byków zarodowych i knurów.) Po okresie ciąży rodził się

potomek, posiadający wszelkie niezbędne cechy przeobrazonego DNA. Potomek ten

miał wprowadzić taką samą budowę ciała, taką samą czaszkę i takie same reakcje

odpornościowe jak jego przodek, ale od pozostałych przedstawicieli gatunku

odróżniały go dodatkowe cechy dziedziczne - ciekawość, umiejętność

porozumiewania się przy pomocy mowy, mózg gromadzący doświadczenia, które

można w dowolnej chwili wywoływać i stosować, poczucie piękna (rzeźba,

malarstwo, śpiew), skłonność do zawierania przyjaźni... i potrzeba posiadania

religii, łącznie z kultem zmarłych.

Model ten nie zaprzecza darwinowskiej teorii ewolucji - jest logicznym

uzupełnieniem. Missing link, tak poszukiwane brakujące ognisko w rozwoju

człowieka, było w istocie skutkiem celowej mutacji przeprowadzonej na jednym

z naszych najwcześniejszych przodków.

Patrząc na to wszystko z dzisiejszego punktu widzenia, wydaje się bardzo

prawdopodobne, że istoty pozaziemskie chroniły pierwszego człowieka przed

jego środowiskiem - w tym celu umieściły go właśnie "w ogrodzie w Edenie".

Nie mógł on być bowiem narazony na żadne niebezpieczeństwo - ani na ukąszenie

jadowitego skorpiona, ani węża. Potem - dopiero potem pojawiła się "mezatka".

Tak zupełnie bez kobiet trudno by się jednak obejść...

Pierwsi ludzie nie umieli się jeszcze posługiwać językiem - znali tylko chrząkrnięcia. Jedyne istoty pozaziemskie mogły nauczyć Adama i Ewę - pozostanmy już przy tych imionach - posługiwania się językiem. Dlatego też język pierwszej generacji ludzi był językiem bogów! Przypuszczenie to potęguje jeszcze legenda o budowie wieży Babel: "Cała ziemia miała jeden język i jednakowe słowa" (I Mojż. 11, 1).

Nadszedł jednak dzień, kiedy istoty pozaziemskie wyruszyły w drogę do nowych układów słonecznych, żeby obdarzyć je kolejnymi populacjami istot inteligentnych. W trakcie pożegnania mogła mieć miejsce następująca scena: - Dzieci - powiedział dowódca do pierwszej pary ludzi - sprawiliśmy, że stalicie się istotami obdarzonymi inteligencją, bez nas nie różnilibyście się od zwierząt!

Adam i Ewa uklękli przed obcymi i czcili ich jako bogów. Dowódca jednak nie przyjął tego holdu:

- Nie jesteśmy bogami, jesteśmy istotami z krwi i kości, tak jak wy. Nie czyńcie sobie nigdy a to nigdy wizerunków Boga, ponieważ Bóg jest niepojęty i niewyjasnialny.

Dalszy ciąg tej wymyślonej rozmowy możemy już przeczytać w I Księdze Mojżeszowej (1, 28):

"Rozradzajcie się i rozmnażajcie się, i napelniajcie ziemię, i czynie ją sobie poddaną; panujcie nad rybami morskimi i nad ptactwem niebios, i nad wszelkimi zwierzętami, które się poruszają po ziemi!"

Zadanie zostało sformułowane jasno. Istoty obdarzone inteligencją powinny

sie rozmnażać i panować nad istotami inteligencji pozbawionymi.

Najważniejsze jednak było danie ludziom na przyszłość surowego przykazania:

Adamowi i Ewie oraz ich potomstwu - nie wolno było pod żadnym pozorem mieć stosunków płciowych z tymi krewniakami, na których nie przeprowadzono mutacji. Ta przelotna przyjemność bowiem mogłaby znaczyć regresję genetyczną. Za ekscesy tego rodzaju groziła kara śmierci. Mimo to zdarzył się taki przypadek - ktoś sparzył się z dzikim członkiem gatunku, a sodomia ta przeszła do legendy pod nazwą grzechu pierworodnego. Dopiero teraz ludzie obdarzeni inteligencją przypomnieli sobie o groźbach, o karach zapowiedzianych przez bogów - zaczęli się bać. Zapanowała trwoga. Ludzie uwierzyli, że dzięki ofiarom, dzięki daninie krwi uda im się przebłagać bogów.

Cale wieki po popelnieniu grzechu pierworodnego przez ludzi istoty pozaziemskie powróciły na naszą planete, żeby sprawdzić, jak wschodzi siew inteligencji. Inspekcja nosiła wszelkie znamiona horroru. "Zalowali bogowie (Elohim - liczba mnoga!), że uczynili człowieka na ziemi i boleli nad tym w sercu swoim." Sprawdziła się też groźba kary śmierci. Wielu jednak ludzi obdarzonych inteligencją żyło w rozproszeniu, trudno ich było dosięgnąć, bogowie zdecydowali się więc na rozwiązanie radykalne. Utopili nieudany wyleg.

Taka interpretacja legendy o Adamie i Ewie ma sens - przynajmniej z dzisiejszego punktu widzenia; można ją też pogodzić zarówno z teorią ewolucji, jak i z przekazami religii. Spór, toczący się obecnie w Ameryce między kreacjonistami (którzy wierzą, że człowieka stworzył Bóg)

a ewolucjonistami (którzy są przekonani o słuszności teorii Darwina) jest niepotrzebny. Obie strony mają rację.

A właśnie z powodu takiego poglądu na ten problem zarzuca mi się często rasizm - nawet jeśli zjawisko wykreowania ludzi dysponujących inteligencją przez istoty pozaziemskie byłoby z powodów etycznych nie do przyjęcia. Moi krytycy jednak zdają się nie dostrzegać, że przecież nigdy nie mówiłem o określonej rasie ludzkiej. Chodzi mi tylko i wyłącznie o przemiany hominidów w ludzi obdarzonych inteligencją. A do tego rodzaju należą wszystkie rasy. To nie ja wynalazłem potop i lud wybrany.

Nowe możliwości

Czy uda się wykazać słuszność nowej interpretacji powstania gatunku Homo sapiens? Jak znaleźć impuls do zmiany punktu widzenia?

- Ptolemeusz (ok. 100 - 160) był przekonany, że Ziemia jest ośrodkiem

Wszechświata. Było to myślenie geocentryczne, niesłuszne.

- Mikołaj Kopernik (1473 - 1543) głosił, że Słońce znajduje się w centrum

układu planet. Sądził jednak, że planety obiegają Słońce po orbitach kołowych

(nie zaś eliptycznych) i że gwiazdy, które znajdują się jeszcze dalej,

zachowują się podobnie. Teoria heliocentryczna, choć w zasadzie słuszna, była

jednak również nie do końca prawidłowa.

- Ewolucjoniści uważają, że człowiek jest ośrodkiem życia we Wszechświecie.

Jest to myślenie antropocentryczne - również słuszne.

Człowiek zawsze się uważał i uważa nadal za istotę niezwykle ważną - chciałby, żeby wszystko kręciło się wokół niego. Pogląd ten, słuszny w najwyższym stopniu, legł u podstaw teorii ewolucji. "Czym jest człowiek? W każdym razie nie koroną stworzenia, jak sobie wyobraża" (Wilhelm Raabe).

Ten jednak, kto żyje pośród miliardów ludzi, nie uważając się zarazem za wyjątek specjalny, zrozumie zapewne że Ziemia nie zajmuje uprzywilejowanego miejsca pośród milionów innych systemów planetarnych, istniejących we Wszechświecie.

To dziwne. Stare plemiona indyjskie Ameryki Północnej i Południowej (na które zwraca się coraz baczniejszą uwagę z powodu ich tradycji nawiązującej do zjawisk przyrody) od niepamiętnych czasów wiedziały, że człowiek jest tylko jedną z wielu form inteligentnego życia, jakie istnieją we Wszechświecie. Członkowie tych plemion nigdy nie uważali się za coś szczególnego:

- Indianie Paunisi, mieszkający w dzisiejszym stanie Nebraska w USA, wierzą, że człowiek został stworzony z gwiazd, a niebiańscy mistrzowie przybywali potem co pewien czas na Ziemię, "żeby mężczyznom i kobietom powiedzieć jak najwięcej o rzeczach, o których powinni wiedzieć".

- Indianie z plemienia Odżibwejów (Ontario w Kanadzie) twierdzą, że należą jakoby do wspólnoty "niebiańskich ludzi". Niebiańscy ludzie są "nie aniołami, lecz Indianami o jaśniejszej barwie skóry, ubranymi w szkarłatne tuniki z kapturami".

- Plemię Czirokezów (południowo-zachodnia Georgia, USA) opowiada natomiast następujący mit o stworzeniu: "Na początku wszelkie formy życia mieszkały

w niebie... Mieszkańcy niebiańskich domostw chcieli je opuścić,

niebiańskie domostwa bowiem stawały się coraz bardziej przeludnione...".

- Indianie Miccosukee (południowa Floryda) utrzymują: "Bardzo dawno temu

pewne plemię indiańskie zstąpiło z nieba do jeziora Miccosukee na północy

Florydy. Członkowie tego plemienia dopłynęli do brzegu i zbudowali miasto

Miccosukee. Od tego właśnie miasta Indianie Miccosukee wywodzą swoje imię".

- Indianie plemienia Saliszanów (Kolumbia Brytyjska, Kanada) opowiadają:

"Niegdyś ludzie knuli, chcąc wywołać wojny z niebiańskimi ludźmi...".

- Irokezi (stan Nowy Jork) twierdzą, że całą ziemię pokrywały niegdyś wody,

zamieszkane przez monstra. "Wysoko w górze było niebo, zaludnione przez

istoty nadnaturalne...".

- Indianie Tootoosh (południowo-zachodnie wybrzeże Oceanu Spokojnego, USA)

znają wiele podań o grzmiących ptakach. Jeden z ich totemów, przedstawiający

właśnie grzmiącego ptaka, jest symbolem "miasta niebiańskich ludzi".

To tylko kilka mitów o pochodzeniu człowieka - mity te są nadal kultywowane

przez plemiona indyjskie. Na skromne pytanie Beethovena: "Czym jestem

wobec Wszechświata?" - można spokojnie odpowiedzieć: proszę zapytać Indian!

Znam historię plemienia Majów-Quiché z 'Popol Vuh', bliskie są mi również

inkaskie mity o stworzeniu; wiem o religii Indian Hopi, zawierającej

informacje o ich niebiańskich mistrzach, Kaczynach. Dzięki temu, że tyle lat

zajmowałem się legendami starych ludów, mogę twierdzić, iż mojej uwagi nie

uszedł ani jeden przekaz, w którym przodkowie tych ludów nie zapewnialiby, że

ich mistrzami były istoty przybyłe z nieba. Tylko my, mądrzy wszytkowiedzący

ludzie dwudziestego wieku, kategorycznie temu zaprzeczamy. Tylko my jesteśmy

najwięksi!

Dzieci, jak ten czas leci

Antropocentryczne przecenianie własnej wartości naruszyła wprawdzie już nieco nauka, która twierdzi, że życie na Ziemi powstało z materii martwej, nieożywionej. Recepta jest całkiem prosta: trzeba wlać odrobinę prabulionu do shakera, dobrze potrząsnąć i przyprawić, przepuszczając przez wszystko wyładowania elektryczne odpowiedniej mocy. Jeśli będzie się to robić odpowiednio długo, to w naczyniu powstaną - abrakadabra - najbardziej złożone białka, potem lancuchy DNA, wreszcie żywe komórki.

Cud! Tylko czy nauka wierzy w cuda?

Nie chciałbym powtarzać tego, co napisałem na ten temat już przed dziesięciu laty, będę jednak bezczelny i zwrócę uwagę, że od tego czasu wielu znanych naukowców próbowało obalić moje argumenty. Napisałem wówczas, że pierwsze formy prymitywnego życia na Ziemi nie powstały same z siebie - a z pustych sal akademickich odezwało się echo: Ten człowiek nie ma najmniejszego pojęcia o biologii molekularnej i chemii organizmów żywych! A jaką sytuację mamy dziś?

Należy zdecydowanie oddzielić od siebie dwa kręgi zagadnień:

1. Jak powstało życie na Ziemi?
2. Jak powstała inteligencja ludzka?

Miliony lat dzielą odpowiedź na pytanie pierwsze od odpowiedzi na drugie.

Najpierw postaram się odpowiedzieć na pytanie drugie. Inteligencja ludzka powstała na skutek celowej mutacji, dokonanej w sztuczny sposób na wybranych egzemplarzach hominidów. Na pytanie, czy ewolucja miała miejsce, czy nie - odpowiadam: oczywiście, ewolucja dokonywała się (i dokonuje nadal).

Paleontologia może udowodnić zachodzenie mutacji, zmian materiału dziedzicznego oraz występowanie selekcji. Nie znany jest tylko przeskok do Homo sapiens. Istnieją góry teorii, udowadniających coś wręcz przeciwnego - Są to tylko teorie.

O wiele ważniejszym - ba! - decydującym krokiem naprzód byłoby objęcie badaniami paleontologicznymi również starych przekazów! Bo teraz wszystko wygląda trochę jak przedstawienie teatru absurdu. Nie mija nawet rok, gdy publiczności pokazuje się w światłach rampy nową kość, najnowszy szkielet

najnowsze pracownice.

Przed dziesięciu laty, gdy pisałem książkę 'Dowody', paleontolodzy spodziewali się, że Homo erectus (człowiek wyprostowany) ma całe półtora miliona lat. Tymczasem Richard Leakey wraz ze swoimi współpracownikami z Narodowego Centrum Badań Prehistorycznych i Paleontologii w Nairobi wygrzebał w Kenii kolejny nowiuteńki szkielet - ten Homo erectus był o 100 tys. lat starszy od swojego poprzednika. Cóż jednak znaczy dla paleontologii 100 tysięcy lat! Jeśli uzna się, że kolejne generacje następują po sobie co 30 lat, to oba szkielety dzieli tylko około 3300 generacji. Czaszka najstarszego egzemplarza Homo erectus pozwala określić czas, w którym żył - było to 2,5 mln lat temu.

Między tak popularnym neandertalczykiem - który żył przed 50 tysiącami lat - a Homo erectus rozciąga się więc 81 tysięcy generacji. Drobiazg.

Paleontolodzy są wspaniałomyślni. Nowe kości, nowe daty - i za każdym razem tryumfalne fanfary, że kolejny szkielet czy kolejne szczątki pochodzą od naszego najstarszego przodka. O święta naiwności!

A tak naprawdę to przecież cały czas prowadzi się badania nad szczątkami prehistorycznych małp! Nie mam nic przeciwko szczęściu, towarzyszącemu każdemu nowemu znalezisku - każde z nich bowiem może być dla specjalistów w dziedzinie teorii ewolucji epokowe. Można by się dowiedzieć, od kiedy dany gatunek małp mógł stać na tylnych łapach oraz czy przeguby ich rąk wykształciły się na tyle, żeby stosować prymitywne narzędzia. (Także dziś małpy żyjące na wolności posługują się prostymi narzędziami.)

Moi drodzy, ta małpia blazenada ma naprawdę niewiele wspólnego z problemem

powstania ludzkiej inteligencji.

Ewa - kobieta młoda?

Paleontologia doczekała się ostatnio groźnego konkurenta - to antropologia molekularna. Przedstawiciele tej nowej dziedziny wiedzy "Produkują" drzewa genealogiczne, opierając się na badaniach genetycznych, Jest to inspiracja niezwykle obiecująca, w tym przypadku mam jednak niejasne przeczucie, że pewnego dnia efekty tych badań zostaną objęte tajemnicą, bo wcześniej czy później odkryje się pochodzenie różnych ras, a o rasach przecież mówić nie wolno.

W ubiegłym roku amerykański genetyk z Uniwersytetu Emory w Atlancie, Douglas C. Wallace, udał się na poszukiwania naszej kochanej pramatki Ewy. Jego zespół zbadał mitochondria (Mitochondria są składnikami komórki, zawierającymi DNA mitochondrialne, przekazywane wyłącznie przez stronę macierzystą.) pobrane od 600 kobiet z całego świata. Z rezultatów badań wynikało, że człowiek powstał przed 100 tysiącami lat. Wallace: "Istniała kobieta, która posiadała owe mitochondria. Jeśli była tylko jedna, to musiała nią być Ewa!". Żyjący przed 1,6 czy 2,5 milionami lat Homo erectus nie ma więc nic wspólnego z naszą Ewą. Wcale mnie to nie dziwi...

Przedstawiciele antropologii molekularnej prowadzą badania niezwykle różnorodne. Grupa uczonych z Uniwersytetu Berkeley w Kalifornii, która chce się dowiedzieć, z jakiego rejonu geograficznego Ziemi wywodzi się człowiek,

zebrała dane genetyczne od 147 kobiet z Afryki, Azji, Kaukazu, Nowej Gwinei oraz z Australii (od przedstawicieli pierwotnych mieszkańców tego kraju, Aborygenów). Badania porównawcze wykazały, że mieszkanki Afryki miały największy udział w genetycznym drzewie genealogicznym ludzkości. Z obliczeń komputerowych wynikło, że rozprzestrzenianie się tych genów zaezło się najwyżej 180 tys. lat temu i postępowało z prędkością około jednego kilometra rocznie.

Zupełnie inną drogą poszli genetycy J. S. Jones i S. Rouhani z University College w Londynie oraz zespół pod kierownictwem S. Weinscoata z Uniwersytetu w Oxfordzie, wkraczając na nowe, nader płodne obszary nauki. Zbadali oni geograficzny rozrzut betaglobiny (Betaglobina - część hemoglobiny.) u ośmiu grup ludnościowych. Badacze doszli do przekonania, że kiedyś, gdzieś w Afryce, istniała "populacja początkowa", składająca się co najwyżej z sześciu ludzi. "Jeśli było tak naprawdę - mówią Jones i Rouhani - to ludzkość w trakcie decydującej fazy ewolucji była rodzajem narażonym na wymarcie". Wyniki badań są alarmujące. Jeżeli "populację początkową" ograniczy się do trzech par, a nawet do jednej kobiety, wówczas szkielety kości sprzed milionów lat będą dowodem tylko na to, że wszystkie te resztki, pokazywane nam w teatrze absurdu, nie należały wcale do naszych bezpośrednich przodków - są one co najwyżej relikami naszych przodków pośrednich. Nie mogą też być pozostałościami po "populacji początkowej", ta bowiem pojawiła się dopiero przed 180 czy 100 tysiącami lat.

Genetycy z wielu uniwersytetów pracują już od kilku lat nad wspólnym międzynarodowym projektem - chcą zestawić mapę genów, z której daloby się

odczytać pełne informacje o dziedziczności. Informacje te są kodowane własnie w genach i przenoszone na potomków. Geny Są odcinkami podwójnej, skręconej spirali DNA - można ją porównać do skręconego zamka bityskawicznego, którego ząbkami są łańcuchy kwasów nukleinowych (kwasy nukleotydowe - zbiorcze określenie dla kwasów DNA i RNA.). Łańcuch DNA znajduje się w jądrze każdej komórki. Gdyby dało się wyciągnąć stamtąd taką nić, to miałaby ona prawie dwa metry długości. Jak jednak w maleńkiej komórce, widocznej tylko pod mikroskopem, mieści się taki olbrzym? A w ludzkim ciele znajdują się miliardy komórek...

Nić składa się z łańcuchów cząsteczek, które z kolei składają się z atomów.

Wyobraźmy sobie, że komórka ma wielkość piłeczki do ping-ponga~ a my musimy tam wepchnąć skręconą, poplątaną nić mającą - odpowiednio - dwadzieścia kilometrów długości. Jeśli weźmiemy cztery pojemniczki z farbami - czerwoną, zieloną, żółtą i niebieską - i przy pomocy ostrej igły wpuścimy do piłeczki minimalną ilość barwiącego płynu, to nić przejmie te kolory.

Otwórzmy teraz piłeczkę i rozwiemy naszą nić na dwudziestokilometrowym sznurku do suszenia bielizny. Zauważymy wówczas, że zabarwione będą tylko niektóre odcinki.

W tym modelu nicią było DNA, geny zaś oznaczono odcinkami barwnymi różnej długości. Każdy taki odcinek odpowiada pewnej cesze - na przykład kombinacja czerwono-niebiesko-żółta kolorowi włosów, czerwono-żółto-niebieska rośnięciu paznokci, żółto-zielono-biała brązowemu kolorowi oczu. I tak dalej. Gdy tylko będzie wiadomo, za co odpowiada która barwa, kod genetyczny będzie odszyfrowany. W terminologii fachowej kolory te nazywa się sekwencjami

nukleotydów a wyraża abstrakcyjnie za pomocą wielkich liter i cyfr w postaci kluczy kodowych.

W pamięci komputera, zainstalowanego w Europejskim Laboratorium Mikrobiologicznym, zgromadzono już ponad cztery miliony odczytanych sekwencji nukleotydów. Niby strasznie dużo, lecz w istocie wcale nie tak wiele, jeżeli pomyśleć, że ludzkie dziedzictwo jest określane trzema miliardami układów "liter", a w każdej komórce znajduje się około 50 tysięcy genów. Proces dekodowania jest żmudny i długotrwały, dlatego też uniwersytety oraz instytuty, zajmujące się problemami genetyki, łączą się w zespoły i każde laboratorium pracuje tylko nad jednym wycinkiem łańcucha DNA. Mapa genów codziennie się powiększa. Niezwykle szybkie komputery obliczają kombinacje. Wymienia się między sobą rezultaty badań. W kalifornijskim Caltech, amerykańskiej elitarnej szkole wyższej, wynaleziono Gen-Myzer - specjalną maszynę sterowaną komputerem. Aparat ten bada sekwencje nukleotydów pod względem nowych kompozycji barwnych (w sensie naszego modelu) i porównuje wyniki z sekwencjami już zbadanymi, potem wydziela nowe i prowadzi dalsze obliozenia. Gen-Alyzer nie jest czymś jednostkowym - urządzenie to, produkowane seryjnie, jest już oferowane na rynku.

Jeszcze dwadzieścia lat temu projekt stworzenia kompletnej mapy genów byłby uznany za przedsięwzięcie absurdalne - dziś tacy eksperci jak laureat Nagrody Nobla James Dewey Watson (współodkrywca podwójnej spirali DNA) oczekują, że uda się ją skompletować już za dziesięć lat. Najpóźniej do tego czasu Gen-Alyzer wypełni, przesieje i uporządkuje mapę do tego stopnia, że wreszcie uda się ustalić, czy i kiedy w historii rozwoju ludzkości nagła ingerencja

zewnątrzna spowodowała decydujące zmiany. Mapa genów stanie się otwartą księgą historii. Będzie się można z niej dowiedzieć, że w trakcie rozwoju ludzkości miały miejsce manipulacje genetyczne, dokonywane na naszych przodkach. Może wreszcie wówczas nie będzie się ode mnie żądać przedstawiania reliktywów techniki pozaziemskiej na udowodnienie mojej teorii.

"Życie można zrozumieć, patrząc nań tylko wstecz. Życie jednak trzeba naprzód"
- powiedział Soren Kierkegaard (1813 - 1855).

Kod genetyczny i stworzenie

Do czego doprowadzi pewnego dnia rozszyfrowanie kodu genetycznego? Dzięki temu będziemy mogli bawić się w bogów, podobnie jak kiedyś istoty pozaziemskie bawiły się Adamem i Ewą.

Spójrzmy jeszcze na nasz sznurek, na którym wisi dwudziestokilometrowa nić DNA. Założmy, że w odległości 10,5 km od początku znajduje się kombinacja barwna odpowiedzialna za włosy kasztanowe, na 8,1 km za rude. Chcemy otrzymać człowieka o rudych włosach. To proste: wycina się kombinację barwną z 10,5 km i zastępuje ją kombinacją z 8,1 km. Potem nić się wiąże i wciska powtórnie do pilki ping-pongowej.

Podobnie postępują genetycy, tyle że ich praca jest o wiele bardziej skomplikowana i pracochłonna. Łańcuch DNA poddają pod mikroskopem elektronowym działaniu bakterii i specjalnych wirusów. "Biochemicznymi nożyczkami" - są to tak zwane enzymy restrykcyjne - łańcuch DNA jest

przerywany w oznaczonych miejscach, a miejsca ingerencji zmieniane (mutowane) przez wmontowanie w nie innej sekwencji DNA. po takim zabiegu komórka rozmnaża się nadal, tyle że zmutowany gen daje pożądaną efekt - rude włosy. W wielkich centrach badawczych istnieją mapy genów, odpowiedzialnych za choroby dziedziczne. Zespół z bostonskiego Massachusetts General Hospital pod kierunkiem specjalisty w dziedzinie genetyki molekularnej, Jamesa Guselli, zlokalizował w chromosomie nr 4 gen odpowiedzialny za występowanie płasawicy Huntingtona, choroby centralnego układu nerwowego. Publikacje naukowe od dawna donoszą już bez ogródek o diagnostyce genetycznej - diagnozy nie stawia już nasz lekarz domowy, lecz genetycy. Na przykład odczytuje się z wód płodowych, czy embrion nie jest obciążony chorobą dziedziczną. Jeśli tak, to na całe miesiące przed porodem można zlikwidować defekty genetyczne. Pewnego dnia, niezbyt już odległego, genetycy skonstruują człowieka i zwierzę niejako według miary... tak samo jak przed tysiącami lat istoty pozaziemskie postępowały z naszymi prymitywnymi przodkami - hominidami.

Dla wielu sztuczny człowiek z mapy genów jest czymś potwornym. Od razu przychodzą im na myśl orwellowskie wizje człowieka manipulowanego. Obawiają się, że człowiek zacznie uważać się za boga, widza całej armii osobników o zaprogramowanych cechach, wyobrażają sobie pełną armię sportowców, których muskulatura jest dostosowana do rodzaju uprawianego sportu, przewidują pojawienie się ludzi, widzących w zakresie promieniowania podczerwonego - w ciemności. Z retorty wylania się nowy Frankenstein, człowiek-zwierzę o węchu psa, słuchu kota, pazurach tygrysa. Czy zagrozi nam człowiek o luskowatym pancerzu, nie bojący się ognia; inny o skrzydłach orła,

wykonujący loty szpiegowskie nad terytorium wroga; człowiek o ciele konia - czyli centaur? Czy jednak nie prowadzi to nas prosto do mitologicznego gabinetu potwornosci, gdzie mamy i Pegaza, i wielogłowego węża, i latającego lwa, czyli gryfa (którego zresztą można często zobaczyć na reliefach w muzeach), i Minotaura, i człowieka-skorpiona, i wreszcie człowieka-rybę? Poruszając się po niewidzialnej granicy, dzielącej przeszłość od przyszłości, dziwię się zawsze, że tak wiele rzeczy, które dziś uznaje się za fantom przyszłości, istniało już niegdyś!

Dlatego więc teraz, gdy znaleźliśmy się u progu inżynierii genetycznej, nie przyjmuje się do wiadomości treści starych ksiąg. Można tam przeczytać, że w dawnych czasach istoty hybrydowe żyły podobno w hordach, plemionach, a nawet w jeszcze większych formach społecznych. Można się tam dowiedzieć o zwierzętach trzymanyh w świątyniach - zwierzęta te były rozpieszczane przez okoliczną ludność. Sumerijscy władcy urządzali zapewne dla zwykłej uciechy - polowania na ludzi-zwierzęta. W swoich 'Historiach egipskich' Herodot opowiada o dziwnych czarnych gołębiach, które były jakoby człeko-zwierzęcymi samicami i o ludziach żyjących przy ujściu perskiej rzeki Araks, którzy łączyli się z rybami i byli podobno ludźmi-rybami pokrytymi łuskowatą skórą. Platon twierdził w 'Uczcie':

"Bo naprzód trzy były płcie u ludzi, a nie, jak teraz, dwie: męska, żeńska.

Była jeszcze i trzecia prócz tego: pewien zlepek z jednej i drugiej [...]

miała też cztery ręce i nogi w tej samej ilości [...] Strasznie to były silne

istoty i okropnie wolnomyślne, tak że się zaczęły zabierać do bogów [...]"

(Przeł. Władysław Witwicki).

Tacyt (Roczniki Xy, 37) przedstawiał wieczorne orgie w domu Tygellinusa, podczas których kopulowano "przy współudziale ludzi-zwlerząt". Na reliefach, jakimi jest pokryty Czarny Obelisk Salamannasara II, znajdujący się obecnie w British Museum, nietrudno rozpoznać istoty ni to ludzkie, ni to zwierzęce.

W Luwrze, w Muzeum Tureckim w Ankarze, w muzeach w Bagdadzie i gdzie indziej - wszędzie widziałem wizerunki przedstawiające hybrydy ludzi i zwierząt. Na zabytkach sztuki asyryjskiej wyobrażenia takie również nie są rzadkością.

Zamieszczone obok wyjaśnienia mówią o uwięzionych ludziach-zwierzętach, których - spętanych i doprowadzanych przez wojowników - zabierano z Krainy Musri jako daninę dla władcy.

Czy źródłem mitów była wyłącznie rzeczywistość? Kto potrafi patrzeć, odnajdzie na kamiennych wizerunkach bękarty ludzko-zwierzęce - eksponaty te, znajdujące się w muzeach, opatrzone tabliczkami z kuriozalnymi napisami. Pod postacią wyobrażającą lwa o ludzkim ciele czytamy: "Figura mitologiczna". Pod postacią mającą ciało człowieka a głowę i skrzydła orla czytamy: "Uskrzydłony geniusz". Bogowie powiedzieli kiedyś prorokowi Ezechielowi, że mają oczy, a jednak nie widzą. Twierdzenie to nie straciło nic na aktualności.

W przyszłości genetyka mogłaby, przynajmniej teoretycznie, zrekonstruować owe hybrydy, doprowadzić niejako do ich zmartwychwstania.

Od dawna znane są już możliwości mikrochirurgii. Zarówno w genetyce amerykańskiej, jak i niemieckiej udało się umieścić w komórce zarodkowej myszy gen wzrostu pobrany od szczura. Efekt - mysz ogromnej wielkości. Profesor Horst Kräusslich, kierujący Instytutem Hodowli Zwierząt Uniwersytetu Ludwika Maksymiliana w Monachium, skonstruował nowy gatunek świni. Dzięki

przeszczepowi obcych genów swinia przyszłości będzie miała większą wagę, lecz zarazem mniej tłuszczu - będzie też bardziej odporna na choroby zakaźne jakie dotychczas atakowały ten gatunek. Nowy koń wierzchowy czy nowy byk - zwierząt tych nie uzyska się już na drodze krzyżowania gatunków, lecz za pomocą manipulacji genetycznych. Na stole można już spotkać nowe warzywo, "pomniaka" - łączące w sobie cechy pomidora i ziemniaka.

Genetykom z University of California w San Diego udało się stworzyć coś porażającego wzrok: świecące liście tytoniu i świecące marchewki! Jeśli się dysponuje odrobiną wiedzy, to jest to bardzo proste - robaczki świętojańskie promieniują zimnym światłem, powstającym z utleniania tlenem atmosferycznym znajdującej się w ich organizmie substancji białkowej zwanej lucyferyną w obecności enzymu, zwanego lucyferazą. Za produkcję tego enzymu odpowiedzialny jest określony gen - wyizolowano go i wszczepiono, najpierw bakteriom, później w komórki tytoniu i marchwi: "Efekt tego zabiegu sprawdzono w bardzo prosty sposób. Po dodaniu lucyferyny i substancji magazynującej energię, zwanej ATP (kwas adenozynotrójfosforowy), rośliny zaczęły świecić.

W przypadku tytoniu enzym kumulował się przeważnie w korzeniach i w łodygach, lecz również żyłki liści świeciły całkiem wyraźnie". Należy zadać pytanie, czemu ma to służyć. Świecący gen może być w przyszłości umieszczany jako marker, czyli znacznik, uwidaczniający inne geny wprowadzane do DNA. Dzięki zjawisku bioluminescencji marker pozwala się umiejscowić: Tu jestem!

Genetycy są bliscy przechytrzenia natury i wykorzystania jej dla dobra człowieka. Erytropoetyna jest hormonem produkowanym przez nerki w bardzo niewidkich ilościach. Hormon ten pobudza komórki szpiku kostnego do

wytwarzania czerwonych ciałek krwi. Jeśli jest go za mało, to w przypadku chorób nerek dochodzi często do niebezpiecznego zmniejszenia się ilości czerwonych krwinek (anemia). Ratunek nadszedł od genetyków z Northwest Kidney Center w Seattle (USA). Na drodze inżynierii genetycznej udało się im stworzyć ów hormon tak ważny dla życia. Hormon sztuczny spełnia swoją funkcję równie dobrze jak naturalny.

Latem 1986 roku FDA, amerykańskie biuro zajmujące się sprawami dopuszczania żywności i lekarstw do sprzedaży, a uważane za niezwykle surowe, zezwoliło po raz pierwszy na powszechne stosowanie szczepionki stworzonej na drodze inżynierii genetycznej. Szczepionka ta zapobiega infekcji niezwykle złośliwym wirusem Hepatitis B wywołującym zapalenie, a następnie marskość i raka wątroby.

Prawie co tydzień słyszy się, widzi bądź czyta kolejne ostrzeżenia przed stosowaniem inżynierii genetycznej. Trwają dyskusje nad przepisami, które miałyby zapobiec manipulacjom na genach ludzkich. Po świecie krąży widmo genetyki. Walka toczy się na dwóch frontach - jedni boją się manipulacji jak czarnego luda, inni znów chcieliby poddać kontroli całość prac badawczych.

Można to porównać z problemami związanymi z wykorzystaniem energii atomowej - można ją w prawdzie stosować do celów pokojowych, ale i do produkcji broni.

Jeżeli nawet jeden kraj wyłączy swoje reaktory atomowe, to przecież nie będzie mógł kontrolować pracy reaktorów w innych państwach. Inżynieria genetyczna także może być użyta w złej bądź w dobrej sprawie. Jeśli więc w jednym kraju przepisy zabronią przeprowadzania takich doświadczeń, to w innym będą one mogły być kontynuowane bez przeszkód natury prawnej. Wydaje

się, że genetycy państw zachodnich - o innych na razie nic nie wiadomo - dobrowolnie narzucają sobie pewne ograniczenia. Nie chcą mieć nic wspólnego z doświadczeniami, które prowadziłyby do zmiany "tożsamości człowieka".

Niezwykle piękny, szczytny i słuszny zamiar - ale jak skontrolować czy wszyscy się doń zastosują? Technologia genetyczna nie wysyła żadnych promieni - dla jej potrzeb nie trzeba też dokonywać eksplozji. Nawet najczulszy miernik nie wykazuje, w którym laboratorium manipuluje się genami. Poza tym badania takie są prowadzone nie tylko w szkołach wyższych, finansowanych i kontrolowanych przez państwo - istnieje wiele laboratoriów prywatnych oraz instytutów badawczych, podlegających koncernom farmakologicznym, które dysponują zresztą najnowocześniejszą aparaturą. Tak więc również w dziedzinie technologii genetycznej panuje stara prawda wojskowych: "Jeśli my tego nie zrobimy, wówczas zrobią to inni, a może to mieć jeszcze gorsze skutki".

Ósmy dzień stworzenia

Wszystko zaczęło się przed jedenastu laty, 30 sierpnia 1976 roku. Właśnie wówczas profesor Har Gobind Khorana z Massachusetts Institute of Technology w USA, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny, zdołał po raz pierwszy stworzyć gen w sposób całkowicie sztuczny. Od tamtej chwili genetycy zaczęli nie tylko wymieniać naturalne sekwencje nukleotydów w DNA, lecz również projektować - niejako na desce kreślarskiej - i składać sekwencje nukleotydów i skomplikowane białka. Dziedzinę biologii syntetycznej nazywa się, już bez

ogródek w języku fachowym "proteindesign" albo "proteinengineering".

W lutym 1987 roku czasopismo "Bild der Wissenschaft" doniosło, że profesor Berndt Gutte z Uniwersytetu Zuryskiego zdołał wytworzyć na drodze syntetycznej, na podstawie pojęcia modelowego białko zawierające dwadzieścia cztery aminokwasy". To sztuczne białko powinno zmniejszać działania uboczne środka owadobójczego, znanego pod nazwą DDT. Ale pałeczkę przejął już kolejny uczony. Prof. Ernst-Ludwig Winnacker wraz ze swoim współpracownikiem Ronaldem Merzem z uniwersytetu w Monachium "przetłumaczył" sekwencje aminokwasów nowego, syntetycznego białka i skonstruował sztuczny gen, który potem wszczepił do materialu dziedzicznego bakterii 'Eschenchia coli' - a następnie dowiódł, że baktene o genotypie, czyli zespole genów warunkujących właściwosci dziedziczne, przeobrazonym w laboratorium, mogą produkować białko, wytwarzane dotychczas sztucznie. Nad informacją o wynikach tych badan "Bild der Wissensehaft" umieścił nagłówek: Ósmy dzień stworzenia.

Za tymi rzeczowymi, choć może nieco nudnymi dla laika informacjami kryje się dynamit. Geny bowiem nie są dowolnie złożonymi brylami cząsteczek, lecz nosicielami infonnacji genetycznych. Nawet jesli droga do celu będzie trwała dziesiątki lat, to przecież kiedyś uda zaprojektować i stworzyć na nowo genotypy wszystkich form życia. Kiedyś, w krórymś z laboratoriów odezwie się może dziwnie brzmiący głos: pies zacznie mówić.

W Instytucie Genetyki Uniwersytetu Bielefeld speejalisci w dziedzinie biologii molekularnej pracują nad projektem, który sprawia wrażenie basni.

Nie tylko chłopi - wszyscy wiedzą o tym, że ziemie użyźnia się związkami azotu. Globalne zuzycie nawozów azotowych dochodzi do 80 mln ton rocznie!

Dopiero pod ciśnieniem dwustu atmosfer i w temperaturze 500°C daje się uzyskać z azotu i wodoru amoniak, który jest surowcem do produkcji nawozów azotowych. W glebie żyją bakterie produkujące nawozy azotowe w sposób naturalny, "ale ich możliwości są za małe albo wykorzystywane w niewłaściwy sposób, żeby mogły zapewnić roślinom dostateczny dopływ azotu".

Genetycy powiedzieli sobie: Jeśli bakterie potrafią coś robić w niewielkiej ilości, to rośliny - również formy życia - powinny to robić w dużo większej.

Celem było wyprodukowanie roślin uprawnych, które same wytwarzałyby potrzebne im nawozy azotowe. Profesor genetyki Alfred Pühler pisze: "W efekcie rośliny te, po przeprowadzeniu manipulacji genetycznej, powinny być w stanie wiązać azot z powietrza i przetwarzać go na amoniak - różne gatunki pszenicy produkowałyby na przykład własne nawozy mineralne".

Wkrótce wytworzy się enzym, który dokona sztuki zamiany jednej cząsteczki N_2 na dwie cząsteczki amoniaku (NH_3). Na razie starano się odszyfrować materiał genetyczny tego enzymu. Ustalono, że poszukiwany genotyp składa się z całej "baterii genów" (prof. Pühler), zawierającej 14 genów pojedynczych.

Brytyjskim genetykom z Uniwersytetu Sussex udało się przenieść tę "bateryję genów" na bakterie *Escherichia Coli*, czyli pałeczki okrężnicy, żyjące w jelicie grubym człowieka i licznych zwierząt. (Sztukę tę powtórzono później w Hielefeld przy pomocy metod inżynierii genetycznej.) Dysponowano więc bakteriami żyjącymi dotychczas w układzie trawiennym, które teraz robiły coś, do czego nie przeznaczyła ich natura - zamieniały azot atmosferyczny w azot chemicznie czysty. Kolejnym krokiem będzie przeniesienie tych informacji

genetycznych do organizmów roślin uprawnych. Nie udało się jeszcze przebyć ostatniego odcinka, prowadzącego do "pszenicy, która sama się nawozi".

Profesor Pühler twierdzi w "Bild der Wissenschaft", że pszenica taka jest "jeszcze bardzo odległą fikcją". Badaczy cechuje ostrożność w ocenie czasu dzielącego ich od ostatecznego rozwiązania problemu, ale niekiedy układy gwiazd - jak uczy doświadczenie - sprawiają, że czas ten jest częstokroć dużo krótszy, niż się zakładało...

Już teraz więc należałoby zająć się tym, co będzie potem: powielaniem ssaków.

Uczeni bowiem zamierzają przenieść cały genotyp na nową istotę, nie wprowadzając zarazem żadnych zmian w kodzie genetycznym. Proces taki nazywa się klonowaniem (Klon (gr. pęd, gałązka) - potomstwo jednego osobnika, powstałe na drodze bezpłciowej i posiadające identyczne cechy dziedziczne.).

Chodzi tu o "tworzenie kopii, identycznych genetycznie" przez transplantację jądra komórkowego. Metodę tę przetestowano już na myszach, żabach, jagniętach i bydło domowym. Kiedyś przyjdzie kolej na genotyp ludzki. Amerykański dziennikarz Dayid M. Rorvik, zajmujący się reportażem naukowym, już w 1978 roku napisał w książce "Na obraz i podobieństwo swoje. Klonowanie człowieka", że pewien starzejący się milioner zdeponował swoje komórki rozrodcze - może za jakiś czas ich jądra wszczepi się w pozbawione jąder komórki jajowe pobrane od młodych kobiet - w ten sposób w procesie klonowania stworzy się jego duplikaty. Tym samym starzec ów stał się niejako niesmiertelny.

Dlaczego jednak człowiek, tak przecież niedoskonały, chce mieć swoje kopie? Istnieją po temu zrozumiałe powody. Na przykład bezdzietne małżeństwo może sobie zażyczyć syna, który będzie wyglądał dokładnie tak jak jego ojciec.

Osoba, która przeżyła wypadek, będzie sobie mogła zażyczyć dokładnego odpowiednika osoby, która w tym wypadku zginęła. A może kopie wielkich ludzi, na przykład laureatów Nagrody Nobla, byłyby pożyteczne dla ludzkości. Może. W trakcie rozmów ze specjalistami w dziedzinie genetyki człowiek spotyka się dziś ze zdecydowanym, ba! - pełnym przerażenia odrzuceniem możliwości klonowania ludzi, bo po pierwsze nie istnieją jeszcze po temu odpowiednie środki, a po drugie nie pozwala na to etyka i moralność. Kiedy pojawi się wreszcie pierwszy człowiek uzyskany metodą klonowania - zdrowy jak ryba, uodporniony na raka i AIDS, o niezwykle wysokim stopniu inteligencji a zarazem ładnym wyglądem - wówczas zmienią się też zapewne zasady moralności a genetycy nie będą się mogli oprzeć pragnieniu tworzenia takich duplikatów. Warto w tym miejscu zacytować epigram, jakiego uczyliśmy się w szkole: *Tempora mutantur et nos mutamur in illis* - czasy się zmieniają i my wraz z nimi.

Przestrzeń naszej wolności

Przed dwunastu laty Manfred Eigen, laureat Nagrody Nobla, napisał m.in., że będzie możliwe sztuczne, to znaczy na drodze innej niż naturalna, reprodukcje każdej istoty żywej na podstawie jej naturalnego materiału genetycznego.

Sztuczny człowiek stanie się rzeczywistością dużo prędzej, niż przypuszczają ostrożni naukowcy. Z końcem lutego 1987 roku magazyn naukowy "Nature"

doniósł, że japońscy genetycy stworzyli super-sekwencer, który jest w stanie odszyfrować milion "liter" DNA dziennie. Osiem aparatów tego typu zdolaloby w ciągu półtora roku przeanalizować cały ludzki materiał genetyczny. Łączny koszt projektu ocenia się na miliard marek - nie jest to wcale suma rzucająca człowieka na kolana, jeśli się pomyśli o inwestycjach związanych z lotami kosmicznymi.

Rozwój zawsze następuje skokowo, dowodząc nierzadko, że praktyka może wyprzedzać najśmielsze spekulacje. W kwietniu 1987 roku amerykański urząd patentowy (US Patent and Trademark Office) oświadczył, że w przyszłości ochroną patentową będą także "wielokomórkowe organizmy żywe", o ile zostaną oparte na programie genetycznym, nie występującym w przyrodzie.

Zalegalizowano w końcu osiągnięcie, które praktykowano już od dawna. Do marca 1987 roku zgłoszono w LSA do patentu ponad 200 drobnoustrojów przeobrażonych genetycznie - jedne mogły na przykład neutralizować wycieki ropy naftowej, inne produkować insulinę. W kwietniu 1987 przedstawiono 15 wniosków patentowych na zwierzęta, które nie występują w przyrodzie. Na przykład naukowcom z Uniwersytetu Kalifornijskiego udało się uzyskać na drodze biotechniki mieszańca kozy i owcy - kozoowcę. Zwierzę to ma przód owcy, tył kozy. przerażonych krytyków tej metody uspokojono oświadczeniem, że monstrum jest tylko prototypem serii - kalifornijscy projektanci zwierząt pracują nad ulepszeniem tego modelu.

Kto więc będzie miał jeszcze czelność twierdzić, że nigdy nie było latających koni? Latające myszy (nietoperze) i latające ryby istnieją od tysiącleci.

Można sobie tylko zadać pytanie, czy wyrodki te są produktami ewolucji, czy

może pochodzą z laboratoriów istot pozaziemskich. Maj 1987 roku. Profesor Bruno Chiarelli z Uniwersytetu Florenckiego zaszokował światową opinię publiczną oświadczeniem, że możliwe jest wyhodowanie hybrydy małpy i człowieka. Trzeba tylko zapłodnić komórkę jajową, pobraną od samicy szympansa, spermą mężczyzny. Wyznanie profesora, że ze względów natury etycznej plód zlikwidowano, świadczy wyłącznie o tym, że hybryda taka istniała! Chiarellemu chodziło o sprawy przyziemne, uważał, że istoty takie mogłyby służyć do wykonywania wszelkich ciężkich i nudnych zajęć od wywożenia smieci do pracy przy tasmie; byłby to poza tym żywy bank przeszczepow. Sprawdza się więc wszystko, co powtarzam już od dwudziestu lat - na świecie nie ma nic nowego, a historia ciągle się powtarza. Hic et nunc - powiadali starożytni Rzymianie - tu i teraz! A filozof Karl Jaspers postulował: "Przyszłość, jako przestrzeń naszych możliwości, jest przestrzenią naszej wolności".

Pytanie bez odpowiedzi

Jak powstało życie na Ziemi?

Aż do początku XIX wieku ludziom wystarczało wyjaśnienie zawarte w Pismie Świętym: stworzył je Pan Bóg. Potem na planie pojawił się Karol Darwin (1809-1882) ze swoją teorią ewolucji - i wszystko się zmieniło. Od tego czasu przynajmniej naukowcy byli usatysfakcjonowani modelem ewolucji: setki milionów lat temu jeden gatunek oddzielił się od drugiego, a i wewnątrz

samych gatunków następowały atale jakieś zmiany - mutacje. Z prapsa powstało wiele psich gatunków, z pracłowieka - różne grupy hominidów.

Wydawało się, że Darwin przedstawił ideę spójną i logiczną. Nie dawała ona jednak odpowiedzi na pytanie dotyczące życia w ogóle. Wprawdzie wszelkie formy życia dadzą się wyprowadzić z jednej praformy, ale nie wiadomo, jak praforma ta powstała.

Oczywiście z komórki, mówią naukowcy, bo komórka jest najmniejszą formą życia. Ale skąd wzięła się komórka?

Próba odpowiedzi na to pytanie rozpoczęła wspaniałe czasy biologii molekularnej. Należy zbadać komórkę - aż po najmniejszą jej cząsteczkę, oraz jej skład chemiczny - wówczas dowiemy się wreszcie, jak się to wszystko zaczęło.

Rozpoczęto więc badania komórki, które trwają już ponad siedemdziesiąt lat. pozwoliły one w doskonały sposób poznać życie wewnętrzne tej najmniejszej formy życia, ale niestety słowa Goethego sprawdziły się również tu: "Każde rozwiązanie problemu rodzi kolejny problem". Uznano, że komórka jest w istocie pewnym zbiorem związków chemicznych. Jak jednak związki te układają się w konieczny porządek genetycznego materiału dziedzicznego? Skąd cząsteczki wiedzą, które z nich powinny się połączyć, a które nie? Stawianie takich pytań doprowadziło do zajęcia się problemem ewolucji chemicznej. Dziś badania dotyczące ewolucji prowadzi się na trzech płaszczyznach:

- ewolucja chemiczna: odłączenie się substancji chemicznych od pramasy;
- samoorganizacja cząsteczek w komórki, mające zdolność rozmnażania się: jak z materii nieożywionej powstała żywa komórka?

- rozwój poszczególnych gatunków: Darwinowska teoria ewolucji.

Manfred Eigen twierdzi, że chemia podlega prawom fizyki. Wiadomo, że fizyka wykazała, iż w każdej cząsteczce materii istnieją ładunki elektryczne - dodatnie i ujemne. Dotyczy to również molekul - w zależności od sytuacji powinny się przyciągać lub odpychać. A więc również wszelkie procesy w makrocząsteczkach (Makrocząsteczka - cząsteczka zbudowana z wielkiej liczby atomów.) zachodzą zgodnie z prawami fizyki. Gwałtowne starania o znalezienie wielkiego zbiegu przypadków w trakcie ewolucji można by w końcu odesłać do lamusa. Największym problemem owej teorii było to, że długie łańcuchy cząsteczek w prabulionie łączyły się wprawdzie, ale po chwili rozpadały.

Do zbudowania komórki potrzeba wielu białek. Najmniejsze wyobrażalne białko składa się co najmniej z 239 molekul. Jest to prawdziwe monstrum, zbudowane z różnych aminokwasów - a wszystkie muszą być ze sobą połączone w określonej kolejności. Nieprawdopodobieństwo przypadkowego powstania takiej struktury wyliczył profesor James E. Coppedge, były dyrektor Centrum Badań

Prawdopodobieństwa Biologicznego - wyniosło ono 1:1023. To doprawdy przerażający totalit 1:100 000 000 000 000 000 000 000. Kto odważy się zagrać?!

Przypadek był również ojcem chrzestnym pierwszej komórki, powstała ona bowiem w warunkach, jakie panowały wówczas w prabulionie i praatmosferze.

Atmosfera ta nie miała oczywiście nic wspólnego z atmosferą dzisiejszą - składała się przede wszystkim z metanu i amoniaku. Gdyby znalazł się w niej tlen, to podziałałby na komórke jak śmiertelna trucizna. Jeśli więc pierwsze komórki rozwijały się w atmosferze metanowo-amoniakowej, to dopływ tlenu

zabilby je od razu. Nikt temu nie przeczy. Dlaczego jednak w podręcznikach nie zwraca się na to dostatecznej uwagi? Dlaczego przemilcza się wyniki eksperymentów chemobiologicznych? Dlaczego w tajemnicy trzyma się wyniki obliczeń matematycznych, związanych z tym problemem?

Z wycieczki w krainę biologii i chemii organizmów żywych zostaje nam w głowie, że komórka może się rozmnażać tylko wtedy, jeśli zawiera gotowy program genetyczny, choćby nawet najskromniejszy. Program ten przekazywany jest potem - jak paleczka w sztafecie - komórkom następnym, aż w końcu proces ten doprowadza do powstania prostej formy życia - bakterii.

Baktera jednak stanowi formę życia, dysponującą pewną funkcją - musiała więc przejąć program genetyczny z DNA swojej pierwszej komórki. Skąd pierwsza komórka bakterii otrzymała program, pozwalający jej powstać? Skąd DNA pierwszej komórki pobral rozkaz do budowy bakterii? I jakie hokus-pokus przeobraziło później tę bakterię w inną, o tak odmiennych funkcjach?

Prawdopodobieństwo powstania najprostszej bakterii na skutek przypadkowych zmian wynosi - jak wyliczył profesor Harold Morowitz, fizyk z Uniwersytetu Yale - 1:10 100 000 000 000. Gdybyśmy chcieli zapisać tę liczbę normalnie, to na wszystkie zera nie starczyłoby miejsca w tej książce.

Darwinizm - pomyłka

Profesor Bruno Vollmert jest wybitnym znawcą substancji makrocząsteczkowych a zarazem dyrektorem Instytutu Polimerów Uniwersytetu Karlsruhe. Specjaliści

w dziedzinie chemii polimerów zajmują się syntezą tworzyw sztucznych, składających się z wielkich łańcuchów cząsteczek. Gdy problem związany jest z powstawaniem cząsteczek, to kompetentna jest właśnie chemia molekularna. Przez całe dziesięciolecie Vollmert wraz ze swoim zespołem prowadził badania nad powstaniem DNA. Wynik tych badań okazał się druzgocący dla zwolenników teorii ewolucji - DNA nie może powstać samo z siebie. Vollmert twierdzi, że chemik, specjalizujący się w dziedzinie polimerów, ani nie da sobie wmówić, ani sam sobie nie wmówi, że w prabulionie mogły powstać w sposób przypadkowy makromolekuły w rodzaju DNA - dotyczy to także łańcuchowego przyrostu DNA w trakcie przechodzenia od niższego gawunku zwierząt do wyższego.

Vollmert:

"Darwinizm jest więc raczej rodzajem światopoglądu, ideologią, nie zaś teorią, udowodnioną przez naukę... Uważam darwinizm za nieszczęśliwą pomyłkę, zawdzięczającą swój bezprzykładny sukces tylko i wyłącznie antropocentrycznemu myśleniu życzeniowemu".

Oczywiście tezy Vollmerta, zawarte w jego epokowej książce 'Cząsteczka i życie' zostały obalone. Orędownicy idei, która twierdzi, że życie powstało z materii nieotywionej, wskazywali na wzajemne oddziaływania fizyczne materii, a przede wszystkim na to, że składniki chemiczne miały przecież do dyspozycji miliony lat, żeby się odnaleźć i połączyć w odpowiedni sposób. Celowo jednak przemilczano fakt, że musiała mieć tu miejsce nieprzerwana sekwencja milionów przypadków.

Nauka pragnie być dokładna, odrzuca więc wszelkie przypadki pojawiające się w jej teoriach. Tylko przypadkiem przypadki te są mile widziane - jeśli chce

się ich użyć jako zapchajdziury. Nie wszystkie składniki nauki są ze strunobetonu.

Ponieważ problemu powstania życia nie wyjaśniono jednoznacznie, profesor Fred Hoyle, wówczas dyrektor Instytutu Astronomii Teoretycznej w Cambridge, oraz profesor Nalin Chandra Wickramasinghe, kierownik Katedry Matematyki Stosowanej i Astronomii na uniwersytecie w Cardiff w Walii, badali na modelach matematycznych możliwości powstania życia na Ziemi. Zadali sobie pytanie, czy enzymy mogły powstać na skutek ewolucji chemicznej z prabulionu.

Oto oświadczenie obu uczonych:

"Założyliśmy, że prabulion zawierał dwadzieścia istotnych biologicznie aminokwasów o tym samym stężeniu. Oceniliśmy ostrożnie, że o prawidłowym funkcjonowaniu biologicznym rozstrzyga 10 miejsc na enzym. Konieczne okazało się więc przeprowadzenie ponad 20 10 doświadczeń, żeby powstał jeden enzym mogący funkcjonować, a prawdopodobieństwo otrzymania n takich enzymów za sprawą przypadku wynosi $1:20 \cdot 10^n$. Gdy jednak n osiągnie wartość 100, wtedy liczba koniecznych doświadczeń przekroczy liczbę atomów całego Wszechświata. Czujemy się zmuszeni do postawienia wniosku, że życie jest zjawiskiem natury kosmicznej".

Życie jako wynik zjawisk kosmicznych? Jeżeli tak, to jakich? Nikt tego nie wie. Człowiek nie zazna spokoju, dopóki nie znajdzie odpowiedzi na to najważniejsze z pytań. Wiemy już, że podstawą wszelkiego życia jest komórka, komórka zaś składa się z makrocząsteczek; że makrocząsteczki są uszeregowanymi atomami i że atomy kryją w sobie wielką liczbę cząsteczek subatomowych. Cząstki te są światem wiecznego ruchu i promieniowania - na

przykład elektron drga 1023 razy na sekundę. Tym samym musimy opuścić świat znanej nam materii i wejść w sferę nieuchwytności - jedni nazywają ją bogiem, inni duchem. W każdym razie wiadomo już, że przez cały czas otacza nas niewidzialny i nie dający się zmierzyć świat promieniowania, mieniącego się wszystkimi kolorami tęczy. Świat ten jest wszechobecny, przenika przez nasze ciała, istnieje w całym Wszechświecie. A może to właśnie ów świat porządkuje łańcuch cząsteczek? Zamienia materię nieożywioną w drgania pełne życia.

V. Odwieczne spotkania trzeciego stopnia

Mieć odwagę...

Nawet oczy mają swój chleb powszedni:
niebo.

Ralph Waldo Emerson (1803 - 1882)

Koniecznien trzeba odnaleźć choć jedną kosc naszych prarodzców - Adama bądź Ewy. Jakich odkryć mogliby dokonać na podstawie takiego znaleziska

specjaliści w dziedzinie antropologii molekularnej?

"To zależy od wieku i stanu kości." Takiej właśnie odpowiedzi udzielił mi genetyk z uniwersytetu w Bazylei. "W przypadku pięćsetletniej jedno białko pozwoliłoby nam ustalić, czy znalezisko pochodzi od małpy, czy od człowieka.

Wprawdzie po upływie tysięcy lat DNA pozostaje w stanie prawie nie zmienionym, białka jednak i pozostałe części komórki są całkowicie odwodnione. Mimo to elementy DNA, pobrane z mumii Egipcjan zmarłych przed czterema tysiącami lat, udawało się jeszcze klonować."

Genetycy z uniwersytetu w Uppsali poddali badaniu na zawartość DNA fragmenty dwudziestu trzech mumii egipskich. Pisał o tym magazyn "Nature". W trakcie badania zwłok dziecka, zmarłego przed 2400 laty, stwierdzono, co następuje:

Z tkanki podskórnej dało się wyizolować sekwencję DNA mającą 3400 par podstawowych. Potraktowano je fenolem i etanolem, a następnie łańcuchy dołączono do plazmidu bakteryjnego, czyli do fragmentów DNA, mogących się replikować poza komórką bakteryjną. W procesie klonowania uzyskano tysiąc kopii tego DNA, które następnie przekazano do różnych instytutów badawczych.

Badania wykazały pewną ilość tak zwanych mutacji genowych, jakie również obecnie zdarzają się u ludzi. Był dowód na to, że DNA pobrany od mumli

zmienił się tylko nieznacznie w ciągu tysiącleci. Dobry stan tkanki

podskórnej uczeni przypisali temu, "ze mumifikacja nastąpiła przez

odwodnienie zwłok w natrycie naturalnym czyli mieszaninie węgla sodu

i chlorku sodowego". Notatkę na ten temat zamieszcila również "Neue Zürcher Zeitung":

"Udane klonowanie DNA pobranego od mumii budzi zainteresowanie z wielu

powodów. Pewne sekwencje DNA w genomie (Genom - pojedynczy zespół chromosomów komórki, zawiera określony zespół czynników dziedzicznych.) człowieka są nadzwyczaj zmienne, mogą być więc stosowane do określania stopnia pokrewieństwa oraz do określania pochodzenia danej grupy ludności".

Wyników tych właśnie badań oczekiwałem z taką nadzieją. Jeżeli z DNA pochodzącego od ludzi zmarłych w zamierzchłej przeszłości będzie można odczytać stopień pokrewieństwa i pochodzenie to trzeba będzie kiedyś wreszcie potwierdzić fakt że my ludzie nosimy w sobie geny pochodzące nie tylko od naczelnych lecz również od istot pozaziemskich. Do przeprowadzania takich analiz nadają się oczywiście tylko mumie, które zachowały młodość! Mumie takie jednak istnieją. W 1975 roku archeolodzy chińscy odkryli w Hupeh nad środkowym biegiem Jangcy-ciang mumię człowieka mniej więcej pięćdziesięcioletniego, zachowaną w tak dobrym stanie, jakby człowiek ten zmarł niedawno. Ale na zewnętrznej warstwie bandażu, spowijającego mumię, zapisano datę śmierci: od daty tej upłynęły już 2142 lata! Lecz skóra tego człowieka była nadal elastyczna, stawy giętkie, a w szczęce nie brakowało ani jednego zęba. Ten nadzwyczaj dobry stan zawdzięcza mumię umieszczeniu jej w kilku coraz to mniejszych, zamkniętych sarkofagach oraz szczególnym właściwościom nieznanego czerwonego płynu, w którym ją zanurzono. Naukowcy chińscy po dziś dzień nie potrafią - albo nie chcą - powiedzieć nic na temat cudownego płynu użytego do konserwacji zwłok.

W przypadku mumii zachowanej tak dobrze można by oczywiście odczytać duże sekwencje komórkowego DNA. Podobne szanse istnieją również w przypadku zwłok zakonserwowanych w lodzie - na przykład mumii znalezionych w lodowcach

Peru.

Czy nie przepuścimy szansy zbadania komórek naszych prarodziców za pomocą metod stosowanych w genetyce?

Grób Ewy znajduje się, jak pamięć sięga, na skraju saudyjskiego miasta

Dzidda. Jeśli chodzi o Adama, przekazy podają cztery miejsca pochówku.

'Encyklopedia islamu' pisze, że Adam po wygnaniu z raju udał się na wyspę

Sarandib - dzisiejszy Cejlon. (Nie zanotowano niestety, czy zrobił to na

piechotę, czy statkiem, czy zaniósł go anioły.) Wznosi się tam góra, którą

portugalczyki ochrzczili mianem Pico d'Adam - turyści co dzień podziwiają tam

glgantyczne ślady stóp pozostawione jakoby przez Adama.

Po dwustu latach wygnania, które Adam spędził na północnym wybrzeżu Oceanu

Indyjskiego, archanioł Gabriel przyprowadził go z powrotem do Ewy,

przebywającej nadal w Arabii. Nasz praojciec uaktywnił się, zbudował

w dzisiejszej Mekce świątynię, nazwaną później Kaaba - po śmierci Seta zaś,

który był jego synem, pochował go, jak twierdzi Encyklopedia islamu,

"w jaskini pełnej skarbów, a leżącej u podnóża Abu-Quabais", najwyższej góry

w okolicy Mekki. Inna legenda mówi, że zwłoki Adama przewieziono po potopie

do Jerozolimy i pochowano powtórnie pod górą Kalwarią. Arabska Księga Bóstw

z kolei przenosi grób Adama do jaskini na górze Naud w Indiach.

Do apokryfów Starego Testamentu należy tekst 'Życie Adama i Ewy'. Wersja,

którą mam przed sobą, pochodzi z 730 r. po Chr., opiera się jednak na

rekopisach o nieznanym wieku. Wedle tej legendy Adam został przeniesiony po

śmierci do "raju", gdzie archanioł Michał zabalsamował jego zwłoki wonnymi

olejkami i zawinął w płótno. Pan we własnej osobie zamknął grób "trojkątną

pieczęcią".

Gdzie można by więc szukać grobu Adama?

- Pod górą Kaiwarią w Jerozolimie? - Nie sądzę.
- Pod górą Naud w Indiach? - Nieznana jest góra o takiej nazwie
- W jaskini na górze Abu-Quabais? - Możliwe.
- W "raju"? - Bardzo możliwe.

Czyżbym zaprzeczał sam sobie? Przecież w poprzednim rozdziale napisałem, że nikt nie wie, gdzie znajdował się raj, czyli ogród w Edenie.

Wystarczy jednak zaakceptować wyniki badań, przeprowadzonych przez profesora Salibiego w saudyjskiej prowincji Asir. Tam właśnie zlokalizował on wiele nazw pojawiających się w Biblii oraz położenie raju. Salibi pisze:

"W Wadi Tabala, niedaleko Rausan, znajduje się inna oaza, zwana 'Adana ('dnh), która po dziś dzień nosi nazwę biblijnego Edenu ('dn). Patrząc z biegiem rzeki, niedaleko od Rausan leży oaza Gunaina (gnynh - zdrobnienie od gn, a gn znaczy po hebrajsku ogród), którą zaopatrują w wodę rzeki wypływające z 'Adany. Nie dla wszystkich będzie to przyjemne, ale właśnie tam znajduje się ogród w Edenie, który zresztą nazywa się tak po dziś dzień".

Grób olbrzymki Ewy

Jeżeli raju należy szukać na terenie dzisiejszej Arabii Saudyjskiej, to również tam powinien się znajdować grób Adama oznaczony "trojkątną pieczęcią". Zebrane informacje na ten temat byłoby zadaniem dla naukowców

reprezentujących rdznie dziedziny wiedzy. Adam jest nie byle kim dla ludzkości - jest jej ojeem. W chłodnym, skalnym grobowcu jego zwłoki mogły przetrwać tysiąclecia - ostatecznie zabalsamowaniem ciała zajmowała się najlepsza siła fachowa owych czasów, jaką bez wątpienia był archanioł Michał. Pozwolę tu sobie na smiale spekulacje: istoty pozaziemskie celowo zakonserwowały ciało Adama żeby jego zwłoki przetrwały dla potomności. Istoty te wiedziały, że kiedyś wszystko będzie można odczytać z jednego nie naruszonego łańcucha DNA. Jeżeli więc ogród w Edenie znajduje się w Arabii Saudyjskiej, to nikogo nie powinna dziwić lokalizacja grobu Ewy w tym samym rejonie. Już w 1840 roku francuski badacz-podróżnik Maurice Tamisier odwiedził ten grób, leżący na północny wschód od Dziddy. Według jego opisu była to niewielka czworokątna budowla zwieńczona mini-kopułą - drzwi budynku wychodziły na wschód, okna zaś na północ i na południe. Ściany wewnątrz budowli, jak pisał Tamisier, "są pokryte legendami i sentencjami z Koranu", a w podziemiu znajduje się pomieszczenie, w którym widać czarny kamień, leżący dokładnie nad pępkiem Ewy.

Niemiecki badacz Heinrich von Maltzan odwiedził Dziddę ledwie dziesięć lat później, opisał jednak grób nieco inaczej. Drzwi wejściowe skierowane są według niego na zachód, ściany są "nagie i puste". Być może miał na myśli zewnętrzną stronę budynku. Maltzan potwierdza jednak obecność kamienia, "wysokiego mniej więcej na półtora i szerokiego na pół stopy", ozdobionego rytami a leżacego dokładnie w miejscu, "pod którym znajduje się prawdziwy pępek Ewy".

W tym punkcie więc wszyscy byli zgodni: grób Ewy był miejscem wiecznego

spoczynku olbrzymki! potwierdza to także topografia okolicy: zwłoki olbrzymki

leżą na linii północ-południe, poprzecznie w stosunku do budowli nagrobnej,

kamień oznacza środek ciała. Głowę wskazuje kamienna płyta leżąca poza

budynkiem, podobnie zresztą jak stopy, które zamarkowano dwoma pionowymi

kamieniami. Między głową a stopami rozciąga się, bagatelk, 130 metrów!

A zarys ciała olbrzymki jest ujęty w dwa niewysokie, równoległe murki.

Już w X wieku po Chr. historycy arabscy wspominali o grobie Ewy. Twierdzili

też, że słowo Jeddah wywodzi się od arabskiego Jaddah i znaczy "babka".

Twierdzeniu temu jednak zaprzecza doskonały znawca Arabii Eberhardt

Wohlfahrt, wywodząc Jeddah od Gidda. Gidda była niewielkim portem naturalnym

- tam kalif Osman założył w 647 r. osadę, z której powstała dzisiejsza

Dzidda. Byłoby naprawdę zabawne szukać na mapie babcinego miasta mając

zarazem w pamięci babkę nas wszystkich.

Przez całe wieki pielgrzymi zdążający do Mekki wychodzili na ląd arabski

w Dziddzie i odwiedzali grób Ewy. Ale duchowi doradcy konserwatywnego króla

Abd al-Aziza, który do historii wszedł pod imieniem Ibn Sauda, uznali modły

do pramatki Ewy za objaw pogaństwa - w modlitwie można przecież wzywać tylko

Allaha. Ponieważ król nie chciał, żeby "na serce religii islamskiej padały

cienie pogaństwa", rozkazał Anno Domini 1928 zniszczyć grobowiec Ewy.

Z opisanych budowli pozostały zaledwie murki obramowujące grób.

A jednak! pobożny król saudyjski kazał zburzyć tylko budowle znajdujące się

nad grobem - to zaś, co znajdowało się niżej, pozostało po dziś dzień nie

naruszone. Saudyjczycy wyświadczyliby ludzkości wielką przysługę, gdyby

pozwolili swoim archeologom wykopać szyb poszukiwawczy w miejscu wiecznego

spoczynku Ewy. Zachodni genetycy czekają z niecierpliwością na odrobinę DNA pobranego ze zwłok pramatki. Saudyjczycy na pewno od tego nie zbiednieją - jakże jednak wzbogacą ludzkość.

Według apokryficznego tekstu Życie 'Adama i Ewy' Ewa była też pierwszym człowiekiem, który na własne oczy widział pozaziemski lądowik: "Wówczas Ewa spojrzata ku niebu i ujrzała, że zbliża się swietlisty wóz, ciągnięty przez cztery Isnlące orły, których wspaniałości nie zdoła opisać nikt zrodzony z łona matki". Była także świadkiem osobliwego widowiska: "I spójrz, oto Pan, potężny, wsiadł do wozu; ciągnęły go cztery wiatry, wiatrami kierowały cheruby, anioły zas niebiańskie szły wprzódy...".

Ozywiony ruch na niebie

Zwolennicy UFO okresliliby to mianem "spotkania trzeciego stopnia". Do spotkań pary pierwszych ludzi z istotami z Kosmosu dochodziło codziennie.

Adam, dopiero co wyrwany ze świata zwierzęcego, musiał przecież przejść szkolenie. Jego nauczycielem był przedstawiciel inteligencji pozaziemskiej.

W 'Legendach żydów z pradawnych czasów' można przeczytać, że podczas pobytu w ogrodzie w Edenie na Ziemię zstąpił anioł "[. ..] i nauczał Adama, i napisał dlań księgę, i udzielał mu swoich przestrog w każdej rzeczy.

I ukazał mu porządki planet, i poprowadził go wokół świata [...]"

Genetycy z dalekiej gwiazdy byli bardzo zapobiegliwi! Niczym troskowi rodzice ostrzegali swoje dzieci przed niebezpieczeństwami świata. Informacja zawarta

w 'Legendach żydów z pradawnych czasów' jest dla obrazu współczesnej interpretacji legendy o Adamie i Ewie tym, czym kamyk kończący układanie skomplikowanej mozaiki: legenda owa twierdzi, że Adam nie latał ot tak sobie nad ogrodem w Edenie i nad Ziemią - on leciał "wokół świata". Tak samo jak dziś latają pojazdy kosmiczne...

Istoty pozaziemskie były obecne na Ziemi także po śmierci naszych przodków - kontrolowały przebieg eksperymentu "Ludzkość". Świadczą o tym postaci żyjące w różnych epokach - Henoch, Abraham czy Ezechiel. Także poza światem Biblii meldowano o spotkaniach z istotami pozaziemskimi, a spotkania takie zdarzały się w trakcie całej historii ludzkości. 'Leksykon paleoastronautyki' poświęca całe piętnaście stron historycznym pojazdom UFO.

Fragment, który pochodzi z czasów faraona Totmesa III (1580 - 1436 r. prz. Chr.), mówi o "kułach ognistych na niebie". Rzymski historyk Pliniusz Starszy (24 - 79 r. po Chr.) opowiada w Księdze II (Kosmologia) 'Historii naturalnej' o licznych najdziwniejszych zjawiskach widzianych na niebie. Oto przykład:

"Puklerz gorejący przeleciał od zachodu ku wschodowi, iskrząc się przy zachodzie słońca, za L. Waleryusza i K. Maryusza konsulów". Obaj panowie żyli około 100 r. prz. Chr. Inni konsulowie widzieli na firmarnencie "wiele słońc" i "trzy księżycy naraz".

Gdy w 332 r. prz. Chr. Aleksander Wielki oblegał Tyr, nad obozem macedońskim pojawiło się nagle "pięć tarcz lecących w szyku bojowym". Obiekty te powoli okrążyły twierdzę, a "tysiące wojowników obu armii obserwowało je ze zdziwieniem". Można pomyśleć, że było to zjawisko typowe dla masowej hipnozy, ale tymczasem z największej "latającej tarczy" wystrzeliły nagle błyskawice,

trafiając w waly i wieże. Mury się rozpadły, a żołnierze Aleksandra Wielkiego wdarli do Tyru. Po udzieleniu niespodziewanej pomocy militarnej "latające talerze" z Kosmosu zniknęły z wielką szybkością na błękitnym niebie.

Masowe wyparcie

Dawno temu oglądałem film "The Last Countdown". Kirk Douglas występuje tam w roli dowódcy amerykańskiego lotniskowca "Nimitz". Na skutek działania tajemniczej siły potężny, supernowoczesny lotniskowiec - wraz ze znajdującymi się na jego pokładzie samolotami i całą załogą - przenosi się w czasie o czterdzieści lat wstecz. Urządzenia radiowe milczą. Nikt nie wie, co się stało. Dowódca wysyła dwa samoloty na lot zwiadowczy. Po chwili piloci dostrzegają w oddali japońskie myśliwce z drugiej wojny światowej. Spotkanie jest na wskroś groteskowe - dwa odrzutowce o zmiennej geometrii skrzydeł i jednosilnikowce o napędzie śmigłowym! Japońscy piloci z osłupieniem, przestraszeniem i zdziwieniem patrzą na nieznane pojazdy, które bawią się w kotka i myszkę z ich samolotami, wyprodukowanymi w 1940 roku a przypominającymi niezgrabne kaczki.

Problem ukazany w "The Last Countdown" stał się w naszym stuleciu rzeczywistością - istoty pozaziemskie bawią się nami w kotka i myszkę.

Pojawiają się niespodziewanie, obserwują nas, demonstrują swoją przemożną technikę lotniczą wariackimi manewrami na niebie, kpią sobie z nas po prostu.

Nie mam bzika na punkcie UFO, a prawdę mówiąc żadnego jeszcze dotąd nie

widziałem - wprowadzić moje archiwum rejestruje ponad tysiąc zdarzeń związanych z tymi pojazdami, to jednak nie napisałem książki o UFO. Choć może powinienem to zrobić, bo zdarzenia paru ostatnich dziesięcioleci są naprawdę zastanawiające.

Właściwie to nie chciałem się włączać do dyskusji - znam literaturę na ten temat. W dziwacznych spekulacjach, próbujących wyjaśnić poszczególne fenomeny UFO, jest prawie wszystko - mamy tu więc zbiorowe psychozy, i roje motyli i szarańczy, i spadające części rakiet kosmicznych, i jasne światło planet, i samoloty błyszczące w sloticu, niewidocznym już dla obserwatora.

Znam relacje naukowo-techniczne, encyklopedie o UFO, wszystkie te ostrzegawcze, krytyczne i wszechwiedzące głosy, przyczynki socjologów i psychologów, które dużo mówią o "masowym wyparciu", próbując wyjaśnić tym zdarzenia, których grupy ludzkie nie chcą uznać za prawdę.

Mnie natomiast chodzi o obiektywną znajomość zjawisk, które zdarzały się w przeszłości i zdarzają nadal. Jeśli coś jest oczywiste, to nie będę zachowywał się jak słynne małpie trio - jedna małpka zasłania sobie oczy, druga zatyka uszy, trzecia zasłania usta. Sytuacja związana z "masowym wyparciem" zmieni się, jeśli ludzie zaakceptują fakt, że nie są sami w Kosmosie i że Ziemia nie jest systemem zamkniętym. Taki właśnie jest mój punkt widzenia. Będąc podróżnikiem, który raz znajduje się w przeszłości, innym znów razem w przyszłości, wiem, że ludzie od tysiącleci zachowywali się podobnie jak my - odrzucali to, czego nie chcieli przyjąć do wiadomości.

Masowo. Czy jednak nieodparte fakty można tłumić w nieskończoność? Oto kilka twardych orzechów do zgryzienia.

17 listopada 1986. Godzina 17:10

Transportowy Boeing 747 japońskich linii lotniczych JAL, lecący z prędkością 786 km/h, zbliża się od północno-północnego zachodu do Anchorage na Alasce.

W kabinie jest pierwszy pilot Kenji Terauchi, 47 lat, drugi pilot Takanon Tamefuji oraz inżynier pokładowy Yoshio Tsukuda. Lot z Paryża nad kręgiem polarnym przebiegał spokojnie, za godzinę i dwanaście minut samolot wylądował w Anchorage.

Nagle, około sześciu kilometrów przed maszyną, pojawia się jaskrawe światło, potem zaś w tej samej odległości, tylko około sześciuset metrów niżej -

drugie. Kapitan Terauchi pomyślał w pierwszej chwili, że są to samoloty wojskowe, które za chwilę zejdą mu z kursu. Nie zmieniał więc kierunku lotu.

Dziwne światła zniknęły niespodziewanie, aby pojawić się znów, prawie w tej samej chwili, na lewo od Boeinga.

W trakcie dwudziestosiedmioletniej pracy za wolantem kapitanowi Terauchiemu

udawało się wielokrotnie wychodzić z niebezpiecznych sytuacji, ale to, co

przeżywał teraz wraz z załogą, sprawiło, że krew zastygła mu w żyłach:

równoległym kursem leciał ogromny "obiekt o kształcie orzecha włoskiego".

Z obiektu przernkały światła. Później Terauchi przyznał, że obiekt ów był

dwu- lub trzykrotnie większy samolotu, a towarzyszyły mu jeszcze dwa obiekty

nieco mniejsze.

O zdarzeniu Terauchi zawiadomił przez radio naziemną kontrolę lotów, prosząc

jednocześnie o zgodę na wykonanie manewru wymijania. Zgodę otrzymał.

Zmniejszył więc wysokość lotu o 1000 metrów. Obiekt zniknął na parę sekund, żeby po chwili pojawić się znów przed maszyną. Drugi pilot włączył teraz radar meteorologiczny. Na ekranie było wyraźnie widać zarówno obiekt większy, jak i dwa mniejsze - wszystkie znajdowały się w odległości 12,6 km przed maszyną.

Zdenerwowany dyżurny ze stacji naziemnej pyta, co się dzieje. Terauchi opisuje wszystko i znów prosi o zgodę na wykonanie manewru wymijania. Robi kilka zwrotów, ale obiekt cały czas trzyma się samolotu - raz z prawej, raz z lewej strony, innym razem jest pod spodem. Terauchi ocenia manewry obiektu jako "niewiarygodnie szybkie i zwinne". Tymczasem Boeing 747, lecący teraz z prędkością 270 km/h, zbliża się do Anchorage - światła miasta są już wyraźne. Na ich tle załoga samolotu widzi sylwetkę obiektu, który po chwili znika równie nagle, jak się pojawił. Samolot JAL ląduje w Anchorage o godzinie 18:24.

Najdziwniejsze w tym przypadku, udokumentowanym aż po najdrobniejszy szczegół, jest to, że obiekt wraz z dwoma mniejszymi został zarejestrowany zarówno przez radar meteorologiczny samolotu, jak i przez radary służby kontroli lotów. Nie zarejestrowały go natomiast amerykańskie satelity zwiadowcze. Jedno jest pewne - obecności tych obiektów nie da się w żadnym razie wytłumaczyć fenomenem natury.

19 maja 1986. Godzina 17:14

Na ekranach radarów centrali obrony powietrznej w pobliżu Rio de Janeiro

pojawia się trzynaście obiektów, poruszających się w kierunku zachodnim z prędkością 1400 km/h. Brazylijskie lotnictwo wojskowe podnosi natychmiast w powietrze dwie maszyny typu Mirage i dwa myśliwce przechwytyjące F-5.

Dwudziestopięcioletni podporucznik Kleber Caldas Marinho zbliża się do obiektów mniej więcej na odległość 25 kilometrów w pobliżu miasta Sao José dos Campos. Musi jednak zawrócić, bo kończy mu się paliwo. Po wylądowaniu mówi: "Było to pulsujące światło, czerwone i białe, przeważnie jednak białe.

Nie była to na pewno ani gwiazda, ani samolot. Nie mogło to być nic ziemskiego".

Pilot F-5, kapitan Marcio Jordao powiedział że zbliżył się wprawdzie do obiektów na odległość 40 kilometrów, nie zdołał jednak zwiększyć prędkości lotu. Widzialność była doskonała. Na niebie nie było ani jednej chmurki.

W tym rejonie nie notowano również w tym czasie innego ruchu powietrznego.

Jednego z pilotów Mirage przez kilka minut eskortowało trzynaście niesamowitych obiektów. Pilot ten powiedział po wylądowaniu. "Siedem obiektów towarzyszyło mi z jednej, sześć z drugiej strony, w pewnej chwili odleciały z potworną prędkością".

Minister lotnictwa wojskowego Brazylii, generał brygady Otavio Moreira Lima, oświadczył na konferencji prasowej, że obce obiekty "zapiaszczyły" ekrany systemów radarowych Rio i Sao Paulo, narażając bezpieczeństwo ruchu powietrznego - z tego właśnie powodu podniesiono w powietrze cztery samoloty.

"Nie mam żadnego wyjaśnienia dla tego zjawiska - nie mogę więc też go tu przedstawić." Wszystko trwało prawie trzy godziny.

Brazylijskie lotnictwo wojskowe powołało specjalną komisję, która

przesłuchala pilotów i przeanalizowała zapisy radarów. Ponieważ nie znaleziono wyjaśnienia tego fenomenu, sprawozdanie wylądowało w czeluściach archiwów. Obcy znów zabawili się z Ziemianami w kotka i myszkę. A ze zdarzenia nie wyciągnięto oczywiście żadnych konsekwencji.

2 października 1978 roku. Godzina 19:06

Dwudziestoletni pilot Frederick Valentich leci z Melbourne wypożyczoną błękitno-białą Cessną 182 w kierunku Kings Island. Zarówno jego nauczyciel pilotażu, jak i znajomi twierdzą, że jest to człowiek rozsądny i raczej mało mówny. Valentich przebył już połowę drogi i zbliża się właśnie od północno-północnego wschodu do Cape Wickham, najbardziej wysuniętego na północ skrawka Kings Island. Wysokość lotu - 1400 m.

O 19:07 pilot melduje wieży kontrolnej lotniska w Melbourne, że leci za nim potężny pojazd powietrzny, mający cztery szerokokątne źródła światła.

Pracownicy nadzoru lotów pytają, Valenticha, czy może zidentyfikować obiekt.

Valentich: "To nie jest samolot. To jest..." Łączność się urywa. Nadzór lotów kilkakrotnie wywołuje jeszcze pilota, żądając żeby podał bliższe informacje o tym, co widzi. Po dwóch minutach milczenia Valentich melduje się powtórnie i mówi drżącym głosem: "Halo, Melbourne! To nadlatuje na mnie ze wschodu..."

Chyba się mną bawi... Nie mogę ocenić jego prędkości... Przeleciał obok...

Ma wydłużony kształt... Nic więcej nie widzę... Teraz nadlatuje od prawej...

Jakby stanął w powietrzu... Skręcam... On skręca razem ze mną... Silnik przerywa, gaśnie..."

W chwilę potem pracownicy wieży kontrolnej usłyszeli w słuchawkach odgłos przypominający ocieranie się metalu o metal. Łączność urwała się definitywnie. Tego samego wieczora rozpoczęto poszukiwania z powietrza.

W północny rejon akwenu przylegający do Kings Island wysłano statki. Po dziś dzień jednak nie udało się znaleźć najmniejszego śladu po Fredencku

Valentichu i maszynie, którą pilotował. Przez kilka dni wypadkiem zajmowała się prasa australijska i nowozelandzka. Potem zainteresowanie wypadkiem zaczęło powoli wygasać.

Ze zdarzenia nie wyciągnięto oczywiście żadnych konsekwencji. I nigdy się ich nie wyciągnie. Ale opinia publiczna została oszukana przez czynniki oficjalne. Twierdzenie to mogę i muszę poprzeć dowodami.

Przez całe dziesięciolecia czynniki oficjalne USA - lotnictwo wojskowe, marynarka wojenna, ministerstwo obrony, CIA a nawet supertajna NSA (National Security Agency, czyli Rada Bezpieczeństwa Narodowego) - zapewniały, że nic im nie wiadomo o UFO, że ani nie gromadzi się na ten temat informacji, ani nie wymienia danych powołując się na Freedom of Information Act, prawo gwarantujące obywatelom swobodny dostęp do informacji, grupom zwolenników UFO udało się dotrzeć do akt, które udowodniły wszystkim, że dotychczasowe komunikaty oficjalne były po prostu kłamstwem. Największy brukowiec Ameryki "National Enquirer", żądny każdej sensacji, opublikował w formie książkowej wyciągi z tajnych akt. Już bowiem w 1968 roku NSA stwierdziła: "Fakt, że od dawien dawna istnieją świadeciwa pojawiania się UFO nad całym światem oraz ich obecność potwierdza również znaczna liczba uznanych uczonych, wykazuje dowodnie, że UFO nie są oszustwem". Tylko w okresie trzech miesięcy - tyle

tajny dokument - amerykańskie lotnictwo wojskowe zarejestrowało trzydzieści pięć przypadków UFO, których nie dało się wyjaśnić. "Dla każdego problemu istnieje wyjaśnienie proste, jasne i niewłaściwe" - napisał niegdyś amerykański publicysta Henry Luis Mencken (1880-1956). Kłamstwo nie jest chyba najwłaściwszym sposobem rozwiązania tego problemu.

Zbierano i zbiera się nadal dane o UFO. Czynniki oficjalne wiedzą znacznie więcej, niż podają do wiadomości publicznej. Po co ta cała tajemniczość? Z obawy, że wśród ludności wybuchnie panika? Jestem pewny, że sfery rządzące nie doceniają narodu, który jest świadom życia pod groźbą różnych niebezpieczeństw, chciałby jednak je poznać! Żyjemy w czasach dziennikarstwa demaskatorskiego, które odkrywa wszelkie tajemnice. Tajne akta są tabu w równie niewielkim stopniu jak numery prywatnych kont. Jeśli zaś chodzi o tajne akta dotyczące UFO, życzyłbym sobie na tym polu radykalnych odkryć.

Moskwa, koniec stycznia 1985 roku

Czasopismo związków zawodowych "Trud" donosi o przypadku zaobserwowania UFO nad terytorium Związku Radzieckiego.

Przed kilkoma dniami samolot pasażerski TU-134A odbywał lot nr 8352 z Tbilisi przez Rostów do Tallina. Gdy na nocnym niebie nad maszyną pojawiła się duża jasna gwiazda, z której cienka wiązka światła pobiegła ku powierzchni ziemi, zostawiając na niej świetlne koło - najpierw jedno a potem dwa inne, jeszcze jaśniejsze - czteroosobowa załoga uznała to za jakieś dziwne zjawisko. Piloci przypuszczali, że światło jest wysyłane przez

nieznany obiekt latający, który znajduje się na wysokości około 40-50 kilometrów. Było ono tak silne, że zarówno załoga, jak i pasażerowie widzieli domy i ulice, leżące 10 tysięcy metrów niżej. Nagle promień skierował się na samolot. Załoga opowiadała potem, że punkt świetlny, otoczony przez barwne pierścienie, oslepił wszystkich siedzących w kabinie. Lecz po chwili "gwiazda" błyskawicznie spadła z nieba, przecinając kurs samolotu, a następnie towarzyszyła maszynie, niczym eskorta honorowa, aż do Tallina. Radziecki uczyony Nikołaj Zeltuchin, wiceprzewodniczący Komisji do Spraw Zjawisk Paranormalnych Akademii Nauk ZSRR, wyjaśnił fenomen "globalnymi zjawiskami atmosferycznymi i geofizycznymi, obejmującymi wiele tysięcy kilometrów kwadratowych - natura tych zjawisk nie jest jeszcze znana nauce". To, co widzieli piloci, było po prostu - jak twierdzi Zeltuchin - "złudzeniem optycznym"! Złudzeniem! Nietrudno zrozumieć, że władze radzieckie wprowadzają swój naród w błąd tak samo jak władze amerykańskie swój.

Sfilmowanie UFO

W połowie grudnia 1978 roku meldowano w Nowej Zelandii o wielu przypadkach pojawienia się UFO. W nocy było widać światła przemykające po niebie. Stacje radarowe rejestrowały dziwne echa, których nie dawały samoloty. Informacje te zainspirowały do działania reporterów Programu "0" telewizji australijskiej w Melbourne, Quentina Fogarty'ego, który - żeby obejrzeć z bliska powód tak sensacyjnych doniesień - wraz z grupą operatorów,

zaopatrzonych w kamery, wszedł na pokład transportowca Argosy.

Wystartowali we wczesnych godzinach rannych 31 grudnia 1978. Wkrótce po oderwaniu się od pasa startowego lotniska Wellington wszyscy znajdujący się na pokładzie zauważyli wokół samolotu dziwne światła. Wyglądało to tak, jakby "ktoś albo coś czekało tylko na początek filmowania". Zarówno radar naziemny, jak i radar meteorologiczny samolotu wykazały obecność wielu obiektów. Geoff Clauser, główny nawigator kontroli lotów Wellington, powiedział później, że UFO widoczne na ekranach radarów były tej samej wielkości co samolot: "Mieliśmy wyraźne, zdecydowane echa. Niekiedy na ekranie było widać do dziesięciu UFO".

Fogarty, który do tego dnia absolutnie nie wierzył w UFO, w następujący sposób opisał całe wydarzenie: "To było cudowne. Światła na niebie. Jedno z nich podążało za nami, potem do pierwszego dołączyło drugie, lecące nieco niżej. Atmosfera panująca w samolocie była naprawdę napięta. Nakręciliśmy ładny kawałek filmu, ale okazało się, że obiektyw był trochę za ciemny. Potem UFO pojawiło się z prawej strony, zupełnie blisko. Widziane przez obiektyw 120 mm o zmiennej ogniskowej, było niewielkie, podobne do spodka mającego u góry i u dołu światła. Złożyłem obiektyw 250 mm i wówczas pojawił się jaśniejszy obraz UFO, które leciało z tą samą prędkością co my, trochę wyżej - potem przesunęło się trochę do przodu i na prawo, potem znalazło nieco pod nami, a w końcu pojawiło się z boku. po chwili namysłu oceniliśmy, że obiekt ma na pewno trzy do czterech pięter wysokości".

W wywiadzie dla australijskiej gazety "The Advertiser" Fogarty powiedział 2 stycznia 1979 roku: "Gdy kontrola radarowa z Wellington poinformowała nas,

że obiekt znajduje się tuż za samolotem, zaczęliśmy się bać... Przypomniała mi się historia Fredencka Valenticha i pomyślałem sobie, że to już naprawdę koniec".

Fragmenty filmu wyświetliły stacje telewizyjne wielu krajów. Operator David Crockett określił efekt swojej pracy mianem "najbardziej fantastycznego kawałka", jaki udało mu się nakręcić. "Zdarzenie to przeobraziło całe moje życie. Teraz wierzę, że naprawdę istnieje coś, o czym nie wiemy."

A jak na temat tej szczególnej dokumentacji filmowej wypowiedziała się nauka?

Astronom Peter Read powiedział w audycji, nadanej przez rozgłośnie Radio New Zealand: "Nie wierzę w takie rzeczy jak UFO. To była po prostu Wenus!"

O, święta naiwności! Od kiedy Wenus daje odbicie na ekranach radarów?

"Błogosławieni, którzy nie mając nic do powiedzenia trzymają język za zębami!" - Oscar Wilde (1856-1900).

22 czerwca 1976 roku. Godzina 21:37

W pobliżu południowo-wschodnich wybrzeży Fuerteventury (Wyspy Kanaryjskie) krąży korweta hiszpańskiej marynarki wojennej "Atrevida" - nagle od horyzontu odrywa się intensywny punkt świetlny i zbliża do okrętu. Załoga przypuszcza że są to reflektory lądującego samolotu, lecz nagle światła gasną, a z nieba pada nowy promień i przez dwie minuty obmacuje wybrzeże. Nie słychać wprawdzie żadnego dźwięku, ale załoga nadal sądzi, że są to niezwykle silne reflektory śmigłowca. Potem następuje rzecz niewiarygodna: ze światła powstaje świetlny krąg, który

rozdziela się na dwie "soczewki" - dolną i górną. Górna połowa nieustannie się wznosi, ginąc w końcu marynarzom z oczu - dolna natomiast w dalszym ciągu oświetla brzeg i morze.

Zdarzenie to można by skwitować ogólnym stwierdzeniem: jakieś światła na niebie, gdyby nie to, że w tym samym czasie doktor Francisco Padron Leon jechał do pacjenta taksówką, którą prowadził Francisco Estevez Garcia. Wóz pokonał właśnie jeden z zakrętów, gdy nagle, sześćdziesiąt metrów przed oczyma obu mężczyzn, a dwa metry nad ziemią zawisła kula, wyglądająca niczym przejrzysta, kryształowa bańka mydlana. Taksówka stanęła. Mężczyźni pomyśleli sobie, że będą pewnie zaraz świadkami wspaniałego spektaklu natury.

Taksówkarz: "Chciałem przyjrzeć się temu z bliska, otworzyłem drzwi samochodu i zacząłem wysiadać, ale doktor złapał mnie za ramię. Mimo to wyszedłem [...] i zbliżyłem się mniej więcej na odległość dwudziestu pięciu metrów".

Potem obaj mężczyźni ujrzeli "wewnątrz kuli jakby platformę [...] i dwie duże istoty". Doktor powiedział później, że może dokładnie opisać każdy szczegół, bo patrzył na nie przez całe dwadzieścia minut: obcy, znajdujący się w kuli, mieli po około 2,7-3,0 m wzrostu i byli ubrani w czerwone jednoczęściowe dresy z czarnymi kapturami; ich ramiona kończyły "kuliste twory, i nie mogę powiedzieć, czy były to ręce, czy rękawice". Dr Padron stwierdził, że niczego takiego dotąd nie widział i że obaj obcy promieniolali "majestatycznym światłem" - stali naprzeciw siebie, obsługując chyba jakieś urządzenia.

W końcu spojrzeli w kierunku taksówki.

Taksówkarz: "Ci dwaj faceci patrzyli na mnie. Ja patrzyłem na nich [...].

Byłem trochę wściekły, a prawie wcale się już nie bałem". Lekarz podał do

protokolu, że w środku szklanej kuli poruszała się przejrzysta rura, z której wypływało "coś niebieskiego", co spowijało obiekt. Na oczach obu mężczyzn kula powiększała się coraz bardziej, aż osiągnęła wielkość dwudziestopiętrowego budynku, przy czym wymiary obcych nie uległy żadnej zmianie. Lekarz i taksówkarz rzucili się do ucieczki. Obejrzawszy się ujrzeli, że kula znika, lecąc z ogromną szybkością w kierunku sąsiedniej wyspy, Teneryfy.

O zdarzeniu tym, które miało miejsce latem 1976 roku, pisało wiele europejskich gazet. Na wyspie zaroilo się od dziennikarzy, wypytyujących o wszystko mieszkańców i turystów. Wiele osób przyznało, że widziało UFO; potwierdzono także obecność "mężczyzn w czerni". Ale dopiero następnego dnia okazało się, że w przypadku przejrzystej kuli chodziło na pewno o przedmiot najzupełniej realny - nie o trójwymiarową projekcję, którą mógł urządzać jakiś żartowniś czy przedsiębiorstwo turystyczne, chcące rozreklamować wyspę. Kula unosiła się między innymi nad polem cebuli, na którym rano znaleziono spiralne ślady - rosilny były połamane. Zjawy, duchy i wizje nie pozostawiają śladów widocznych w dziennym świetle.

Rzeczowi przeciwnicy UFO po zapoznaniu się z takimi opiniami powiedzą, że przeżycia związane z UFO zdarzały się zawsze. A następnie zadadzą pytanie, dlaczego właśnie owe zjawiskowe istoty były istotami spoza Ziemi. Bardzo niekorzystne dla wszystkich w miarę poważnych opisów spotkań z UFO są właśnie różne bzdury, opowiadane często przez wielu, za wielu ludzi. Przekazując sobie informacje z drugiej, a nawet z trzeciej ręki wyolbrzymia się to, co spokojnie można wyjaśnić zjawiskami naturalnymi. Osoby, chcące zwrócić na

siebie uwagę, również opowiadają często niesamowite historie. Nawet jednak gdy się odrzuci wszystkie oszustwa tego typu i wszelkie fenomeny przyrody, nadal będziemy mieli do czynienia z wielką liczbą przypadków UFO, których istoty nie będziemy potrafili wyjaśnić. Zdjęcia, filmy, echa na ekranach radarów świadczą o czymś wręcz przeciwnym, niż chcą nam wmówić tak zwani fachowcy. Każdy, kto w sposób możliwie obiektywny spróbuje zająć się tym problemem, od razu trafi na całkowicie sprzeczne wypowiedzi fanatycznych zwolenników UFO. Czy są one jednak naprawdę tak sprzeczne?

Wszystko już było

"Wszystko już było" - mawiał prawie przy każdej okazji rabin Ben Akiba, jeden z bohaterów sztuki Unel Acosta Karla Gutzkowa (1811 - 1878). Po tej niewielkiej wolcie udaję się teraz na swoje tereny. Że wszystko już było... można udowodnić na podstawie starych tekstów, zawierających wypowiedzi na temat zjawisk widocznych czasami na niebie i latających wozów. Na tej samej podstawie można również udowodnić, że opisy takie były pełne sprzeczności. Ewa widziała "światlisty wóz, ciągnięty przez cztery lśniące orły". Prorok Ezechiel opisał "chwałę Pana" jako obiekt mający "koła, obręcze, oczy i skrzydła". Abrahama wyniesiono na orbitę wokółziemską w statku kosmicznym, komfortowy tron Salomona zaś wszedł do annałów jako "latający tron". Równie chaotyczne i kontrowersyjne są opisy latających barek i statków w literaturze staroindyjskiej: raz mówi się tam o kosmicznych miastach, raz o

satelitach, innym znów razem o "wielopiętrowych pojazdach niebiańskich wysadzanych drogimi kamieniami"; pojazdy te czasem mają skrzydła i koła a czasem nie, czasem wydają ogłuszający hałas, czasem zaś ciche brzęczenie.

Takie opisy antyczne przedstawiają mistrzów niebiańskich w bardzo różny sposób: raz byli to olbrzymi, raz istoty znajdujące się w pojazdach kosmicznych i mające na głowach hełmy, innym razem znów wyglądali "trochę jak człowiek w lnianych szatach", co zauważył zresztą już Ezechiel.

Gdy dysponuję takimi informacjami, wówczas przestają mi już przeszkadzać sprzeczności w wypowiedziach na temat UFO - sprzeczności takie są po prostu niejako tysiącletnią tradycją. Podobnie jak wówczas, także dziś istoty niebiańskie prawie nigdy nie kontaktują się z osobami będącymi u władzy, lecz zawsze ze zwykłymi mieszkańcami Ziemi. Dlaczego?

W ciągu paru ostatnich lat astronomowie i matematycy wyrazili w czasopiśmie fachowych i książkach swoje zdanie na temat możliwości istnienia kolonizacji intergalaktycznej. Obliczono stopień prawdopodobieństwa pojawienia się cywilizacji pozaziemskich oraz prędkość ich rozprzestrzeniania. Większość uczonych skłania się ku twierdzeniu, że we Wszechświecie powinno się właściwie roić od cywilizacji galaktycznych. Gdzież podziewają się jednak owe pozaziemskie istoty? Dlaczego nie utrzymujemy z nimi oficjalnych kontaktów?

Profesor James W. Deadorff z Oregon State University w Cornvallis (USA) zajął się tym problemem w solidnej pracy naukowej. Przedstawił tam hipotezę, wedle której Ziemia uważana jest za ogród zoologiczny i traktowana przez istoty pozaziemskie tylko jako miejsce przejściowego schronienia. Warunkiem istnienia tego ZOO jest przychylność strażników. Zwierzęta żyją obok siebie

w pokoju. Zwiedzającym zaś zabrania się dotykania i niszczenia terrariów, w których przebywają egzotyczne salamandry, oraz miejsc lęgowych rzadkich gatunków ptaków. Wszyscy zwiedzający trzymają się więc kodeksu niemieszania się w sprawy mieszkańców ZOO.

Profesor Carl Sagan uważa, że być może istnieje we Wszechświecie prawo, zapobiegające "Impenalizmowi kosmicznemu" - a może coś takiego jak Codex galaetica, wedle którego słabo rozwinięte społeczeństwa planetarne powinny być kształcone a jednocześnie chronione. Cywilizacje o długiej historii i doświadczeniu w lotach kosmicznych wiedzą zapewne, jak traktować kultury na początkowym etapie rozwoju - zachowują się podobnie jak mieszkańcy krajów wysoko cywilizowanych udający się do odległych rejonów świata, gdzie spotykają przedstawicieli prymitywnych plemion.

Gdy przypuszczenie to przetransponuje się na wymiary galaktyczne, wówczas będzie można wyciągnąć wniosek, że każda cywilizacja planetarna mogła już od chwili swoich narodzin albo zetknąć się z pozostałymi członkami kosmicznej rodziny, podróżującymi po Wszechświecie... albo się unicestwić. Tak jak na Ziemi istnieje proces ewolucji, tak w skali kosmicznej istnieje proces selekcji: albo mieszkańcy danej planety zjednoczą się i wyruszą kolonizować galaktykę, albo wyniszczą się w sporach, doprowadzając do ruiny swoje osiągnięcia. Społeczeństwo planety musi dowieść, że ma dość siły, aby samodzielnie wyruszyć w Kosmos i żyć w pokoju z istotami z innych planet. Deardorff: "Nie ma lepszej drogi niż samounicestwienie, żeby tego dowieść".

Profesor Michael D. Papagiannis z Uniwersytetu Bostońskiego posuwa się jeszcze dalej, reprezentując pogląd, że każda cywilizacja będzie kiedyś

zmuszona do poznania granic i do przewyższenia swojego wzrostu materialnego

- następnie cywilizacja ta będzie dążyć już tylko do celów niematerialnych, w końcu nasza Galaktyka będzie "zamieszkała przez cywilizacje o wysoko rozwiniętej etyce, ustabilizowane i duchowe".

Nie wiemy, ile cywilizacji istnieje w naszej Galaktyce. Wśród nich znajdują się zapewne również cywilizacje agresywne - co może być spowodowane innym metabolizmem (przemianą materii) tych istot albo nabyciem uczucia agresji po wygranej wojnie międzyplanetarnej bądź w trakcie niebezpiecznych podróży kosmicznych. Cywilizacje nastawione pokojowo próbowałyby zapewne zapobiec mieszaniu się cywilizacji agresywnych w rozwój społeczeństwa danej planety. Istnieje wiele powodów takiego postępowania. "Jednym z tych powodów mogłoby być to - mówi Deardorff - że Homo sapiens jest nieco do nich podobny."

Kolejnym - że społeczeństwo potrzebujące ochrony nosi w sobie geny istot pozaziemskich; możliwe jest również, że jakiejś cywilizacji galaktycznej pomagano niegdyś w podobny sposób i dlatego czuje się ona zobowiązana do takiego zachowania.

Profesor Ronald Bracewell jest słynnym radioastronomem ze Stanford University w Kalifornii. Reprezentuje on pogląd, że każdy rząd trzymałby w tajemnicy radiowe posłania od istot pozaziemskich - przede wszystkim ze względu na interes bezpieczeństwa narodowego. Powodów takiego postępowania należy szukać w nadziei, że dzięki takim informacjom dane państwo zdobędzie przewagę nad pozostałymi - nie tylko w dziedzinie militarnej, lecz również w socjologii, technice, ekonomii i kulturze. Nawet gdyby prywatnym instytutom badawczym udało się przejąć, rozszyfrować i opublikować posłania od istot pozaziemskich

- to i tak rządy uznają to oficjalnie za błąd albo za żart "i natychmiast otoczą całe zdarzenie tajemnicą". Profesor Bracewell sądzi, że istoty pozaziemskie uprzedzą zapewne taką akcję, propagując swoje posłanie od razu na całym świecie.

Jak to jednak możliwe, jeśli ziemskie ZOO jest objęte embargiem?

Niespodziewane pojawienie się istot pozaziemskich - gdyby ukazały się nagle nad wielkimi stadionami sportowymi albo włączyły zniechęca do naszych programów telewizyjnych - oznaczałoby zdjęcie tego embarga. Przychylnie nam cywilizacje galaktyczne wiedzą jednak, że mogłoby to być szokiem dla światowej opinii publicznej i spowodować globalny chaos. "Straszne byłyby same konsekwencje natury religijnej", nie mówiąc już o komplikacjach militarnych. Każdy rząd uznałby od razu, że istoty pozaziemskie są tajną bronią przeciwnika i natychmiast zaatakowano by się nawzajem. Potworny balagan spustoszyłby szkoły wyższe, sparaliżowałby nas szok kulturalny. Istoty pozaziemskie znajdują się w dość kłopotliwym położeniu - z jednej strony embargo, z drugiej przychylność - chciałyby nam pomóc, nie wywołując jednak chaosu. Wydaje się, że istnieje tu tylko jedno rozwiązanie: ich posłania muszą być dawkowane przez dłuższy czas, żeby ani rządy, ani ostoje nauki nie odpowiedziały na nie gwałtem. Z jednej strony posłanie takie powinno dotrzeć do opinii publicznej, ale z drugiej dla naukowców "nie powinno być możliwe do zaakceptowania i wiarygodne. Czynniki rządowe, których doradcami są zazwyczaj naukowcy, nie podjęliby wówczas żadnej kontrakcji i embargo pozostałoby nie naruszone. Zrozumienie tego, co dzieje się wokół naprawdę, postępowałoby powoli i stopniowo - a w każdym razie prędzej, niż

kiedy ludzkość będzie wewnętrznie gotowa do zaakceptowania pozaziemskiego posłania".

Zmiana sposobu myślenia

Te modele myślowe zgadzają się z wydarzeniami ostatnich siedemdziesięciu lat. Z istotami pozaziemskimi mają kontakty pojedyncze osoby, które otrzymują od nich informacje stosownie do możliwości intelektualnych. Wiadomo, że osoby, które brały udział w takich spotkaniach, opowiadają o swoich przeżyciach w kręgu znajomych będących na tym samym poziomie umysłowym. Przyjmuje się zarazem, że wśród osób tych zdarzają się oszusti oraz ludzie, którzy za wszelką cenę chcą zwrócić na siebie uwagę wywołując tym chaos informacyjny. W rzeczywistości chaos ten istnieje i tak, bo jest spowodowany powszechną zmianą sposobu myślenia - to przecież zrozumiałe, że we wszystkich mediach mnożą się informacje zarówno prawdziwe, jak i nieprawdziwe. Ten nowy prąd myślowy zmusi naukowców do wypowiedzenia się na temat istot pozaziemskich. Wyjaśnienia bowiem domagają się politycy. "Dla rozstrzygnięcia, czy posłanie jest prawdą, czy nie" konieczne jest "zastosowanie logicznych procesów myślowych". Kolejnym krokiem będzie wzajemne porozumienie naukowców na ten temat, jeszcze następnym - zniesienie blokady informacyjnej, jaką niegdyś postawiono przed tym, co do dziś zdawało się niemożliwe. No i proszę - ani nie wybuchła wojna, ani nie zapanował kompletny chaos, a jednak ludzie uwierzyli wreszcie w istnienie istot

pozaziemskich.

Jak daleko poszedł już proces zmiany sposobu myślenia, dowiodła przed kilku laty ankieta amerykańskiego magazynu "Industrial Research Development". Zadano w niej między innymi pytanie o istnienie UFO - 27% ankietowanych naukowców zdecydowanie wierzy w UFO, 34% uważa je za prawdopodobne, 12% nie ma zdania, 19% uważa je za mało prawdopodobne, a tylko 8% reprezentowało pogląd, że UFO nie istnieje. 61% ankietowanych, którzy uznają realność UFO, świadczy o tym, jak otwarcie podchodzi społeczeństwo amerykańskie do tego problemu.

Jesteśmy wycwiczeni w przyjmowaniu do wiadomości tylko tego, co daje się zwążyć bądź zmierzyć. Właśnie z tego powodu większość naukowców traci kontakt z jakże gwałtownym rozwojem sytuacji. W lutym 1987 roku "Der Spiegel" napisał o zamęcie duchowym, jaki ogarnął dużą część mieszkańców Brazylii, supernowoczesnej stolicy państwa o tej samej nazwie. W artykule zacytowano słowa dziennikarza z "Journal de Brasil": "Tylko w stolicy Brazylii człowiek śledzący w knajpie może spokojnie opowiadać, że miał kontakty z istotami pozaziemskimi, i nie będzie wysmiany". Mieszkańcy tego miasta mówią, że nawet założenia i projekt ich supernowoczesnej stolicy zostały zainspirowane przez istoty pozaziemskie. Twierdzą również, że człowiek należy do cywilizacji międzyplanetarnej i jest tylko "gościem na tej planecie"! Wypowiedź tę skomentowano oczywiście stwierdzeniem, że idee tego rodzaju zawsze znajdują zwolenników wśród członków ruchów ezoterycznych na całym świecie, "nigdzie jednak oficjalna ocena takiego sposobu myślenia nie jest tak postępową jak właśnie w Brazylii".

13 grudnia 1973 roku

Claude Vorilhon, dziennikarz sportowy a z zamiłowania kierowca rajdowy, jedzie w kierunku łańcucha wzgórz pochodzenia wulkanicznego, wznoszącego się nad Clermont-Ferrand. Parkuje samochód w pobliżu krateru Puy de Lassolas - ma zamiar przez chwilę odetchnąć - "niebo było raczej szare, a w niższych partiach terenu snuły się pasma mgły". Nagle Claude spostrzega czerwone światło, bezgłośnie zbliżające się do niego, i rozpoznaje UFO o średnicy siedmiu metrów, które unosi się dwa metry nad ziemią. Z UFO wysiada obca istota o "oczach w kształcie migdału i długich ciemnych włosach, mająca na sobie zielone, jednoczęściowe ubranie" i zbliża się do młodego Francuza na odległość dziesięciu metrów. Silnym, nosowym głosem istota wyjaśnia, że przybywa z odległej planety i ma dla dziennikarza posłanie, które Vorilhon otrzyma, jeśli pojawi się w tym samym miejscu następnego dnia o tej samej porze.

Claude oraz istota pozaziemska spotykali się wiele razy. Obcy wyjaśnił, że jego ludzie odwiedzają Ziemię już od tysiący lat. Rozmowy te złożyły się potem na wiele książek. Claude Vorilhon porzucił swój zawód, przybrał imię Rael i stworzył ziemską religię istot pozaziemskich. Jego ruch ma już ponad dziesięć tysięcy zwolenników. Założenia sekty: Nie ma ani Boga, ani duszy, która po śmierci człowieka spokojnie opuszcza ciało. Ludzi stworzyły w laboratorium bardzo dawno temu istoty przybyłe z innej planety.

Nie mam pojęcia, czy Claude Vorilhon alias Rael przeżył spotkanie naprawdę - może naczytał się po prostu Dänikena - nie wiem także, czy jego nagłace

posłanie nie kieruje się przypadkiem w stronę portfeli członków sekty.

Bezsprzeczne jest tylko to, że Rael, mimo wszystkich przeciwności, rozbudowuje swoje zrzeszenie. Nie interesowałbym się czymś takim, gdyby był to przypadek jednostkowy. Ale na całym świecie roi się od Vorilhonów, działających z mniejszym bądź większym powodzeniem na bardzo podatnym gruncie.

18 listopada 1982 roku

Andreas Schneider, piętnastoletni Niemiec, mieszka z rodzicami w pobliżu Santa Cruz na Teneryfie. Pewnej nocy zbudziło go przemożne pragnienie wyjścia z domu. Gdy znalazł się na dworze, ujrzał, że unosi się nad nim UFO świecące czerwienią, błękitem i zielenią. Chłopiec stracił przytomność. Doszedł jednak do siebie we wnętrzu UFO. Pięć bardzo miłych istot oprowadziło go po pojeździe, przekazując najświeższe informacje; przepowiedziały one także, iż z końcem naszego stulecia na Ziemi nastąpi straszliwy kataklizm; stwierdziły zarazem, że niestety nie będą mogli nam pomóc, "bo my tylko się z nich śmiejemy, atakujemy ich statki i strzelamy do nich".

Andreasa poznałem przed kilku laty, opowiedział mi wówczas historię na swój dziecienny sposób. Miły, sympatyczny, zupełnie normalny chłopiec. Nie wiem oczywiście, czy to, co przeżył, było snem związanym z okresem dojrzewania, czy po prostu fantazjował... A może wyrządzam mu krzywdę takimi posądzernami, bo zdarzenie, które opisał, było jednak prawdziwe. W każdym razie odnoszę wrażenie, że Andreas przeżył coś nadzwyczajnego. Nie chciałbym narzucac się

z rolą sędziego, który musi rozstrzygnąć, czy miało to miejsce

w rzeczywistości, czy wszystko odbyło się tylko w mózgu chłopca. Czy jest to jednak tak ważne, skoro - jak twierdzi profesor Papagiannis - chodzi o cywilizację duchową?

Od wielu lat znam człowieka, który przez całe życie pracował jako pilot DC-8 w wielkim towarzystwie lotniczym - jego mózg jest więc bez wątpienia normalny i musi funkcjonować precyzyjnie. Nagle mężczyzna ten zaczął odbierać telepatyczne posłania od istot pozaziemskich - bezpośrednio przez swoje nie uszkodzone szare komórki. Czy to obłąd? Na pewno nie, bo człowiek ten żyje nadal tak samo jak my. "Obłąd" byłby natomiast najwłaściwszym określeniem diagnozy, mówiącej o chorobie psychicznej. Gdyby nie było wiadomo o tysiącach podobnych przypadków, to rzeczywiście - można by uznać za obłąd przypadek jednostkowy. Z biegiem czasu w mojej bibliotece pojawiły się 183 książki na temat UFO, w których opisano ponad 500 kontaktów ludzi z istotami pozaziemskimi. Do tego dochodzi ponad 1000 relacji o zaobserwowaniu UFO i kolejne opisy przeżyć ze spotkań z obcymi. Czy może ludziom usuwa się po prostu grunt spod nóg? Nie potrafią pogodzić się z rzeczywistością, jaka ich otacza? Coraz powszechniej ulegają zbiorowej psychozie? (Psycholodzy bardzo chętnie określają w ten sposób zbiorową podświadomość.) A może jest to coraz powszechniejsze zwątpienie w ostatnią instancję naszego bytu?

Znalazłszy się na granicy rozpaczy, Artur Schopenhauer (1788 - 1860) napisał:

"Jeżeli Bóg stworzył ten świat, to ja nie chciałbym być Bogiem; jego ból rozdarłby mi serce".

Nasi psycholodzy mają oczywiście w zanadrzu stosowne wyjaśnienie - obwiniają

o to przede wszystkim samo społeczeństwo, które jest spragnione kontaktów tego rodzaju. Winę za ten stan rzeczy ponoszą również zagrożenia natury militarnej oraz świadomość postępującej degradacji środowiska itd.

Panowie wybaczą! Jak bowiem zaklasyfikować przeżycia załogi japońskiego Boeinga 747 nad Anchorage? Gdzie podziewa się zaginiony australijski pilot Fredenck Valentich i jego samolot? Co zrobić z filmami, na których utrwalono UFO nad Nową Zelandią? Jakież to światła z nieba wygniotły spiralne ślady na polach cebuli i dlaczego UFO pojawia się tak często na ekranach radarów?

I dlaczego przed tysiącami lat opowiadano o takich samych wydarzeniach, mimo że wówczas informacje o tym nie mogły przecież rozprzestrzeniać się tak łatwo i rozbudzać ludzkiej fantazji? Czy niebianscy mistrzowie ze staroindyjskich i starohinduskich przekazów są wytworami naszych czasów? Jak to możliwe, że dzieci z odległych wsi - do których nigdy nie docierała telewizja ze swoimi codziennymi potwornościami - miewają kontakty z istotami pozaziemskimi? Pozwolę sobie sięgnąć po przypadek szczególny, który zaświadczy, że w błąd wprowadzają nas nie tylko politycy, lecz również władze Kościoła. Dla potrzeb mojej książki 'Objawienia' musiałem bowiem zbadać przypadki, zarejestrowane w trakcie tysiącleci przez różne religie.

Wizje z Fatimy

Przypadek, którym chciałbym się teraz zająć, miał miejsce w portugalskiej wiosce Fatimie. Dzieci z pasterskich rodzin - Jacinta Martos, Francesco

i Lucia Santos - przeżyły Anno Domini 1917 siedem objawień maryjnych, a każde zdarzyło się trzynastego dnia miesiąca, od maja do października oraz dodatkowo 19 września.

"Chcę, żebyście tu przybyli trzynastego następnego miesiąca" - usłyszało troje fatimskich dzieci. Madonna pojawiła się punktualnie na umówionym miejscu. Oczywiście dzieci opowiadały o objawieniach z zachwytem. Latem i jesienią 1917 roku zdarzenie to zaczęło być znane poza granicami Portugalii.

Na początku w centrum przekazu znajdowała się tylko trójka dzieci. Trwało to jednak krótko, później bowiem pociągnęły do Fatimy nie kończące się pielgrzymki. Według wiarygodnych relacji 13 października 1917 roku na cud w Fatimie czekało około 70-80 tysięcy ludzi. Ale miało się to opłacić.

Czekano na objawienia, które przedtem wywierały ogromne wrażenie nie tylko na dzieciach. Deszcz lał jak z cebra; Warunki były więc raczej podle. Zdarzyło się jednak coś, co również było częścią nadzwyczajnego widowiska. Chmury rozstały się nagle i ukazał się skrawek błękitnego nieba. Zaczął się słoneczny cud z Fatimy. Informacje o wszystkim, co pozwolę sobie za chwilę zrelacjonować, można znaleźć w stosownych aktach.

Słońce zaczęło się zataczać i drżeć, wykonywało gwałtowne ruchy w prawo i w lewo - w końcu, jak kolo ogniste, zaczęło obracać się z wielką prędkością wokół własnej osi. Strzelały zeń zielone, czerwone i błękitne kaskady barw, zalewające całą okolicę nierzeczywistym i - tak, właśnie tak! - niezwykłym światłem. Zjawisko to obserwowali dziesiątki tysięcy osób, a naoczni świadkowie utrzymują, że słońce zatrzymało się potem na kilka minut, jakby

chciało dać ludziom chwilę wytchnienia. Lecz wkrótce znów zaczęło wykonywać fantastyczne ruchy, znów było widać olbrzymie fajerwerki nierzeczywistego światła. Obserwatorzy twierdzą, że nie dawało się to opisać słowami. Po kolejnej przerwie słońce znów zaczęło się poruszać w równie wspaniały sposób. Cud trwał 12 minut a widać go było w promieniu 40 km.

Podczas każdego objawienia dzieci otrzymywały posłania, spisywane przez Lucię, która była najstarsza z trojga - urodziła się 22 marca 1907 roku.

Wszystkie objawienia były poprzedzane błyskawicami - towarzyszyły im dziwne szmery i trzaski. Lucia powiedziała, że w trakcie oddalnia się zjawiska słyszała odgłos, jakby w oddali "wybuchał fajerwerk".

Podczas piątego objawienia, które zdarzyło się 13 września, kilka tysięcy pielgrzymów i gapiów widziało wyraźnie świetlną kulę, która powoli i majestatycznie wznosiła się w niebo. Lucia zapisała, że Matka Boska pojawia się zawsze w zbliżającym się "blasku światła", a dzieci zauważyły Madonnę dopiero wówczas, gdy świetlny punkt zamierał nad rosnącym tu dębem korkowym. Gdy w trakcie przesłuchania zapytano Lucię, dlaczego podczas objawień tak często spuszczała wzrok i nie przez cały czas patrzyła na Świętą Panią, odrzekła: "Bo czasem mnie oslepiła".

Jut w książce 'Objawienia' zaryzykowałem przypuszczenie, że całe to widowisko było w istocie demonstracją obecności istot pozaziemskich; napisałem wówczas że trzeba odrzucić bezsensowną myśl, iż objawienia te miały cokolwiek wspólnego z religią. Umknęło mi wówczas niezwykle ważne spostrzeżenie, które tymczasem przemyślałem konsekwentnie do końca w swojej książce 'Tajne posłanie z Fatimy' Johannes Fiebag.

Dwoje dzieci, Jacinta Martos i Francesco Santos, zmarło niedługo po objawieniach. Lucia Santos wstąpiła do klasztoru i przekazała spisane przez siebie posłania odpowiedniemu biskupowi. Trzecie posłanie - tyle Lucia - miało być odczytane i ogłoszone przez Ojca Świętego w 1960 roku.

I rzeczywiście - w swoim czasie zapieczętowaną "trzecią tajemnicę fatimską" dostarczono papieżowi Piusowi XII, który nie naruszony dokument oddał Świętemu Oficjum, "bo tak chciała Najświętsza Pani" (Lucia).

W 1959, czyli na rok przed datą otwarcia zapieczętowanego dokumentu, czasopismo "Bote von Fatima" zacytowało Lucię: "[...] nie mogę wdawać się w dalsze szczegóły, bo są one jeszcze tajemnicą, która może być przekazana tylko Ojcu Świętemu i biskupowi Fatimy, obaj jednak nie chcą się nią sugerować [...] Posłanie ma pozostać tajemnicą do 1960 roku [...]".

W 1960 roku na Stolicy Piotrowej zasiadł Jan XXIII. Dokument otwarto za zamkniętymi drzwiami papieskiego biura. Tłumaczem był monsignore Paul José Tavares. Gdy dostojnicy opuścili pomieszczenie papieskie, ich twarze "wyrażały głęboki przestach, jakby przed chwilą ujrzeli ducha". Papież Jan XXIII powiedział wstrząśnięty: "Nie możemy ujawnić tajemnicy. Wywołałaby ona panikę".

Oczywiście od razu pojawiły się plotki. Przebąkiwano, że trzecia tajemnica z Fatimy zapowiada straszliwy kataklizm i że będzie to pewno kolejna wojna światowa. Kościół zaprzeczył pogłoskom. Kardynał Ottaviani, wtajemniczony w posłanie z Fatimy, oświadczył na konferencji prasowej: "Mogę tylko stwierdzić, że wszystko, co mówi się teraz o tajemnicy z Fatimy, jest pozbawione jakichkolwiek podstaw [...]". Katolicki tygodnik "Bildpost"

zamieścił 30 września 1984 roku wywiad, którego udzielił mu Alberto Cosme do Amaral, biskup diecezji Leiria. Biskup powiedział między innymi: "Trzecia tajemnica z Fatimy nie ma nic wspólnego ani z bombami atomowymi i głowicami nuklearnymi, ani z raketami typu Pershing i SS-20, ani wreszcie z unicestwieniem świata. Jej treść dotyczy raczej naszej wiary". Kardynał dodał jeszcze, że Kościół ma "ważkie powody", żeby zrezygnować z ogłoszenia trzeciej tajemnicy fatimskiej.

Dla Kościoła rzymskokatolickiego Maria jest Matką Boską - co jest dogmatem ogłoszonym przez papieża ex cathedra. A zatem niewypelnienie przez Watykan jej rozkazu, polecającego przekazać ludzkości trzecią tajemnicę z Fatimy w 1960 roku, jest *contradictio in re* - sprzecznością w sprawie. Wiosną 1987 roku, z okazji uroczystości Roku Maryjnego (1987/88) oraz w związku ze zbliżającym się jubileuszem 2000 roku od Narodzin Chrystusa papież Jan Paweł II znów podkreślił centralne znaczenie Matki Boskiej dla Kościoła. Jezus jest Bogiem w Trójcy, obok Ojca i Ducha świętego. Bóg ten jest ponadczasowy - zna przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Matka Boska rozkazała, żeby ogłosić trzecią tajemnicę z Fatimy, ale adresat wzdurzył się wykonać ten rozkaz. Czy Bóg wszechwiedzący nie mógł przewidzieć takiej reakcji?

Z "ważkich powodów" (biskup do Amaral) Watykan odmawia ogłoszenia tajemnicy, bo "wywołałaby ona panikę" (papież Jan XXIII). Zdobędę się więc na zuchwalość i spróbuję napisać, co moim zdaniem może zawierać trzecia tajemnica z Fatimy:

"W imieniu Ducha, który przenika wszystko, pozdrawiamy Was, Mieszkańcy Planety Ziemia! Osiągnęliście próg technologii, które wywołają wielkie zmiany. Ludzi ogarnie niepokój. Konflikty i wojny zakłócą porozumienie

między narodami. Cokoiwiek zamierzacie zrobić, róbcie z uwagą i z szacunkiem dla bliźnich, róbcie to ze skromnością i bojaźnią przed ponadczasowym Duchem Wszechświata. Unikajcie nienawisci i waśni, nie dopuszczajcie do wojen. Wojna bowiem jest niszczycielem największym, a Wasz Świat był w przeszłości często niszczone przez wojny. Pamiętajcie o tym, że nie żyjecie sami we Wszechświecie. Wiele form życia składa się na ogromną Rodzinę Galaktyk. Przygotujcie więc ludzi na spotkanie innych form życia z Kosmosu. Na dowód prawdziwości posłania przedstawiamy Wam wspaniale widowisko na firmamencie. Zrozumiecie wówczas, że nasza władza nie pochodzi z tej Ziemi.

Jak długo Kościół nie ujawni trzeciego posłania z Fatimy, na którym mała Lucia napisała, że ma być ogłoszone w 1960 r., tak długo będę twierdził, że jego treść odpowiada pod względem sensu mojej propozycji. Byłoby to więc posłanie bulwersujące, a Kościół nie wiedziałby, co z tym fantem zrobić - wywołałoby ono szok wśród wiernych. Jego opublikowanie - jeśli treść rzeczywiście byłaby taka - potwierdziłoby tylko, że w Fatimie nie pojawia się Matka Boska, lecz zupełnie ktoś inny.

Papież Jan XXIII, za którego urzędowania zapadła decyzja o zakazie ogłoszenia trzeciej tajemnicy fatimskiej, zwrócił się w 1963 roku do wiernych encykliką 'Pacem in terris'. Jan Paweł II, jak żaden z jego poprzedników na Stolicy Piotrowej, podróżuje po świecie. Latem 1986 roku zaprosił do kościoła św. Franciszka w Asyżu na modlitwy i wymianę poglądów - był to ewenement w historii Kościoła - głowy innych wyznań. Czy papież, który zna trzecie posłanie z Fatimy, poinformował na jego podstawie Dalajlamę, arcybiskupa Canterbury i książąt innych kościołów o przyszłości świata i o tym, co nas

czeka?

"W ludzkim życiu zdarzają się chwile, gdy człowiek znajduje się bliżej ducha świata niż kiedykolwiek i może zadać pytanie losowi" - Fryderyk Schiller (1759-1805).

1987 r.